

Brian Stableford

Gry wojenne

Tłumaczył Juliusz P. Szeniawski

War Games - 1981

Pl - 1990

“Kto walczy z potworami powinien się strzec, by walka nie uczyniła go jednym z nich. Bo kiedy długo patrzysz w odchłań, odchłań zaczyna patrzeć w ciebie”

F.W. Nietzsche (1844-1900)

Remy sięgnął do niszy umieszczonej na wysokości ramienia i pociągnął za sznur dzwonka. Jego technika polegała na ostrym szarpnięciu i szybkim wypuszczeniu sznura z dłoni. Sposób, w jaki odzywał się dzwonek, był czymś w rodzaju wizytówki; nie było dwóch ludzi, którzy pociągali by za jego sznur w dokładnie taki sam sposób. W Ziaracie bogaty człowiek zawsze zawczasu wiedział, kto stoi u jego drzwi.

Otworzył mu siocoński służący; wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym wprost przed siebie, odsunął się bez słowa na bok i przepuścił Remy'ego do głównego hallu. Na dworze powietrze było ciepłe i ciężkie od zapachu nocnych kwiatów, którymi gęsto obsadzono całe centrum miasta, by uchronić je od odoru niesionego przez wiatr z zamieszkanym przez biedotę przedmieść. Wewnątrz domu powietrze było chłodniejsze, a pokrywające ściany girlandy żółtych pnączy rozsiewały zapachy znacznie subtelniejsze, lecz mimo to szybko usuwające z pamięci wspomnienie intensywnych woni miasta. Mrok hallu rozjaśniał kandelabr woskowych świec. W większości pokoi Yerema zainstalował oświetlenie elektryczne, lecz idąc za przykładem Calvarów pozostawił miejsca, gdzie naśladowano zwyczaje siocońskiej arystokracji. Każdy siocoński wielmoża przestępujący próg jego domu dowiadywał się od razu, że gospodarz, tak jak wszyscy obcy w tym mieście, szanuje miejscowe zwyczaje i pielęgnuje tradycje Ziaratu. Był to element ceny za tolerancję, a tej potrzebują nawet dobroczyńcy. Ziarat zawdzięczał swój dobrobyt kupcom z klanu Calvarów, a bezpieczeństwo najemnikom Yeremy, ale veichowie nie stali się przez to wcale mniej obcy i nie mogli sobie pozwolić na lekceważenie nawet subtelności międzyrasowej dyplomacji. Odnosiło się to również do Remy'ego, z tym że jego sytuacja była jeszcze bardziej skomplikowana: żył w mieście siocońców, pod protekcją veicha, sam będąc człowiekiem.

Nie czekając aż służący zamknie za nim ciężkie drzwi, ruszył dalej. Skierował się do pokoju zarezerwowanego do przyjmowania gości nie będących siocońcami, sam otwierając i zamykając za sobą drzwi przedpokoju i rozsuwając ciężkie zasłony.

Stół zastawiony był do lekkiego posiłku, będąc raczej symbolem gościnności gospodarzy, niż obiecując pełne zaspokojenie głodu. Yeremy nie było w pokoju; na gościa czekała jego córka, Valla. Koniuszkami palców dotknęła delikatnie koniuszki palców jego dłoni, a potem przyłożyła je do swego czoła. Remy postąpił podobnie, kończąc powitanie rytualnym pochyleniem głowy. Usiedli na wysokich krzesłach o twardych, prostych oparciach. Siocońska arystokracja biesiadowała na miękkich poduszkach, ale nawet -

Calvarowie, którzy nie byli klanem wojowników, uważali nadmierną dbałość o wygody ciała za przejaw dekadencji i upadku ducha.

- Przyszedłeś za wcześnie - powiedziała Valla w języku klanów. - Yerema bierze jeszcze kąpiel.

- Dał mi do zrozumienia, że to pilne - odparł Remy w tym samym języku. Sięgnął odruchowo do kieszeni koszuli, jakby chciał pokazać list, ale nie dokończył tego gestu.

- To nie ma znaczenia - powiedziała, przechodząc na język nie należących do klanów; z trzech języków, które znali oboje, tym właśnie najwygodniej było im się posługiwać. Obyczajom stało się już zadość.

- Na przedmieściach zaczęła krążyć pogłoska o gromadzeniu się plemion kreshów. Czy to o tym Yerema chce ze mną mówić?

- Częściowo - odparła. - Dziś w południe próbowano zamordować króla. Niedoszły zabójca należał do jednego z tych plemion.

Remy pozwolił sobie na okazanie zaskoczenia i przez dłuższą chwilę trawił w milczeniu usłyszaną wiadomość. Zdecydował nie analizować jej w tej chwili; w odpowiednim momencie Yerema sam mu powinien wszystko wyjaśnić. Odłożył całą sprawę na bok i powrócił do języka klanów, by powiedzieć Valli:

- Pięknie wyglądasz.

Uśmiechnęła się na sposób swej rasy, bardziej oczami niż ustami. Delikatne, srebrzyste futerko, tworzące maskę wokół jej oczu, było jedwabście gładkie, starannie wyczesane i wypielęgowane. Przy każdym jej ruchu czuł subtelny zapach, ledwie wyczuwalny przez jego powonienie. Ubrana była w białą tunikę, tradycyjny letni ubiór wszystkich wyższych klas Ziaratu, obojga płci. Szata była oczywiście nieskazitelnie czysta - właśnie ta czystość była głównym symbolem statusu jej właściciela. Valla nie nosiła jej z tą samą niedbałą pewnością siebie, z jaką robiły to na przykład dziewczęta z klanu Calvarów. Jako członek klanu wojowników przyzwyczajona była do bardziej praktycznych ubiorów.

Remy spojrzał na nakrycie stołu. Przygotowano zimne mięso, solone pokrojone na bardzo cienkie plastry, równie cienkie kromki twardego chleba i chłodzone owoce. Także wytrawne wino chłodziło się w kubelku lodu, który zaczynał się dopiero topić.

- Czy przy twoich siocońskich gościach również stawiacie na stole lód? - spytał. - Czy też przeszkadzałyby im to, że wasze lodówki zasilane są elektrycznością?

- Calvarowie codziennie dostarczają lód do pałacu - odparła. - Lód jest w końcu tylko zestalona woda. Mądry człowiek po prostu jej używa. I nie pyta w jaki sposób została ona zestalona w ostatnich miesiącach lata.

Jego spojrzenie powędrowało ku oknu, nie oszklonemu, lecz przesłoniętemu jakimś zwiewnym, błękitnym muślinem, który jednak powstrzymywał jakoś napływ natrętnego zapachu nocnych kwiatów.

- A więc lato się kończy? - spytał z nutą zaskoczenia w głosie. - Mieszkam tu już piętnaście lat, a jednak ciągle jeszcze nie potrafię się zorientować, kiedy następuje zmiana pory roku.

Tego nie da się wyczytać z kalendarza - powiedziała. - Oznakami są zapachy godzin południa i nocy. Veichowie znacznie łatwiej potrafią je wykrywać niż ludzie. Jesteśmy w tym bliżsi sioconom. Ale wy za to znacznie lepiej przystosowaliście się do życia w pełnym słońcu.

To, że ludzie lepiej widzą w dzień, zaledwie równoważy wasze i sioconów lepsze widzenie nocą - odparł uprzejmie. - Jeżeli otrzymaliśmy w ogóle jakąś rekompensatę za niedoskonałość powonienia, to może nią być tylko większa wrażliwość naszego dotyku. Wy macie nosy; ja mam czubki palców.

Uważnym spojrzeniem obrzuciła opuszki swoich palców, cieńszych niż u ludzi, pokrytych twardszą powłoką i zakończonych węższymi paznokciami. - Tak - powiedziała po chwili. - Chyba masz rację.

- Ale to jest tylko kwestia mniejszej lub większej wrażliwości tego samego zmysłu - dodał Remy. - Są ludzie o wzroku i powonieniu takim jak u veichów, są veichowie równie zręczni jak ludzie. Byłoby niedorzecznością przesadzać w ocenie występujących między nami różnic. Pochodzimy ze wspólnego pnia. Tak przynajmniej o nas mówią.

- Wierzysz w to? - spytała cicho.

- Że pochodzimy z jednego pnia? Na to wygląda, choć ja sam nie jestem zagorzałym wyznawcą teorii zasiedlenia.

Z tej części ścieżki naszego ewolucyjnego rozwoju, którą udało się poświadczyć jakimikolwiek dowodami, wynika jasno, że wszyscy jesteśmy potomkami małych lemuroidalnych stworzeń niemal identycznego rodzaju. Ale dlaczego pytasz?

- To nie ma znaczenia - odparła.

Remy przyglądał się jej przez chwilę uważnie, zupełnie zaskoczony. Nigdy do tej pory nie zadawała takich pytań. Jako członek klanu wojowników nie miała najmniejszych skłonności do oddawania się rozmyśleniom na podobne tematy. Choć z drugiej strony klan Syroloth trudno byłoby nazwać typowym klanem wojennym, choćby tylko dlatego, że skazany był na wymarcie. Nie licząc setek veichów nie należących do klanu, którzy w dalszym ciągu uznawali swą wasalną zależność od Yeremy, ród liczył sobie już tylko dwóch członków.

Pomyślał, że za jej pytaniem kryło się zapewne wspomnienie wojny. Wojna ludzi z veichami trwała już sześćset lat, od XXI wieku według ziemskiego kalendarza. Jej początki zostały już dawno zapomniane, a na koniec trudno było mieć nawet nadzieję. Tym niemniej tutaj, w mieście Ziarat, na kontynencie Azreon planety o nazwie Haidra, rozciągała się przestrzeń, w której wojna należała już do przeszłości, kiedy to veichowie byli raczej obywatelami niż najeźdźcami i kiedy to ludzie walczyli nie przeciwko nim, a u ich boku. Była to swego rodzaju anomalia historyczna, ale pewnie nie ewolucyjna, jeżeli to, że kosmos został niegdyś zasiedlony było rzeczywiście prawdą i jeżeli wszystkie lemuroidalne rasy były ze sobą spowinowaczone. Sam Remy nie odbierał tego w taki właśnie sposób; nie uważał wcale, by próba eksterminacji rodów, podjęta przez nawet najbliższych sobie kuzynów, była w jakimkolwiek stopniu nienaturalna. Potrafił jednak zrozumieć tych, dla których taka sytuacja była prawdziwie kłopotliwą zagadką.

A jednak był zadowolony, gdy w tym właśnie momencie otworzyły się drzwi i zza ciężkich zasłon pojawił się Yerema.

Ostatni veich rodu Syroleth był stary, jak na przedstawiciela swojej rasy. Barwy jego maski wyblakły do najczystszej bieli i nie sprawiał już wrażenia tak wysokiego, jak wtedy, kiedy Remy ujrzał go po raz pierwszy. Wtedy wydawał się dorównywać wzrostem ludziom. Dziś jednak spojrzenie mu w oczy wymagało od Remy'ego pochylecia głowy. Był jednak w dalszym ciągu silny, wytrzymały i bardzo aktywny. Ubrany w identyczną białą tunikę jak jego córka, nosił ją jak wojownik. I już na pierwszy rzut oka widać było, że źle się w tym stroju czuje, że jest on przeciwny jego naturze.

Remy wstał i obaj mężczyźni powitali się dotknięciem palców, a potem przyłożeniem ich do pochylonych czoł.

- Dziękuję ci za tak szybkie przybycie - powiedział Yerema w języku klanów.

- Wdzięczny ci jestem, że zechciałeś przyjąć mnie w swoim domu - odparł cicho Remy, mając nadzieję, że prawidłowo moduluje głos. Mowa klanów była nie tyle językiem w pełnym tego słowa znaczeniu, co pewnym zestawem reguł zachowania i form zwracania się do innych, podkreślającym wyższość członków klanów nad ich nie należącymi do rodów poddanymi i skutecznie utrzymującym właściwe dystanse społeczne. Nie było sposobu, by Remy mógł kiedykolwiek opanować wszystkie subtelnosci i niuansy tego języka, ale już samo to, że pozwolono mu się w nim kształcić, świadczyło o specjalnych względach jakimi darzył go Yerema i klan Syroleth. Więc też sumiennie korzystał ze wszystkich sposobności do cieszenia się tym przywilejem. Tylko w ten sposób mógł mieć nadzieję, że poważanie, jakim cieszył się u Calvarów ze względu na swoje związki z Yeremą, będzie trwałe.

Zasiedli do stołu i zaczęli jeść, wymieniając konwencjonalne uwagi wyłącznie w języku klanów. Ten rytuał wydawał się Remy'emu bardzo nudny, ale potrafił docenić jego znaczenie.

Jadł bardzo niewiele, a pił nawet jeszcze mniej. W domu czekał na niego jeszcze jeden obfity posiłek, a do Yeremy przyszedł tylko po to, by porozmawiać. Jak na veichianskie stosunki, otrzymany przez niego list był praktycznie rozkazem natychmiastowego stawienia się u Yeremy - jego treść sugerowała, że zaistniała nie cierpiąca zwłoki potrzeba przedyskutowania jakiegoś ważnego i trudnego problemu. Odczekał tylko 12 minut, nim dał znak, że nie ma już ochoty na jedzenie. Cierpliwość była kardynalną cnotą veichów, ale nie widział potrzeby, dla której sam miałby ją sobie przyswoić. Właśnie fetysz cierpliwości ponosił znaczną część odpowiedzialności za utracenie przez veichów ponad pięćdziesięciu światów - w tym Haidry - w ciągu ostatniego tylko pokolenia. Właśnie przez niego przegrywali wojnę, której wygrania byli niegdyś niemal zupełnie pewni.

Wstali od stołu i przez zawieszoną kotarą, sklepione przejście udali się do innego pokoju - mniejszego, pozbawionego okien, bardziej odpowiedniego do prowadzenia poufnych rozmów. Usiedli na masywnych krzesłach z wysokimi oparciami, ustawionych wokół prostokątnego stołu, którego pocięty blat wskazywał, że nie służy on wyłącznie do ozdoby.

Yeremą wsunął rękę w fałdę swojej tuniki i wydobył z niej małe, cylindryczne zawiniątko z jakiegoś materiału. Rozpostarł je na stole, ukazując niewielki zwój pergaminu, szerokości mniej więcej jego kciuka. Pergamin nie bardzo chciał się rozwinąć, więc przyspilił jeden jego koniec do blatu cienkim jak sztylet nożem. Rozprostowany na całą długość zwój mierzył około trzydzieści centymetrów. Remy musiał mocno pochylić się do przodu, żeby dojrzeć zapisany na nim tekst, lecz mimo to w dalszym ciągu nie potrafił rozpoznać ideogramów. Przypominały one pismo sioconów, ale nie były z nim identyczne.

- Co to jest? - spytał Remy, przechodząc już teraz na język nie należących do klanów.

- Posłannictwo bogów niebios, Ducha Wód i duchów z Zielonego Raju, przodków wszystkich ludzi. Z tym oczywiście, że "wszyscy ludzie" oznaczają tu wyłącznie "er'kresha". Jest to święty rozkaz zawierający obietnicę, że jeśli jego posiadacz zostanie w trakcie próby jego wykonania zabity, to uzyska natychmiastowy wstęp do raju, i to ze wszystkimi honorami, zarezerwowanymi normalnie tylko dla Wybranych.

Remy spojrzał na swojego gospodarza i powiedział:

- Nawet nie wiedziałem, że er'kresha potrafią posługiwać się pismem.

- W zasadzie nie potrafią - odparł Yerema. - Pismo nie jest im specjalnie potrzebne. Pisać i czytać potrafią tylko ich święci mężowie. Ale to nie znaczy, że kreshowie zawsze byli dzikusami. Dawno temu, kiedy zjawili się tutaj po raz pierwszy, zbudowali cywilizację niewiele mniej rozwiniętą niż późniejsza kultura sioconów z okresu najazdu veichów. Sioconowie przybyli tutaj z Omeru kilkaset lat po osiedleniu się er'kresha i wyparli ich w rejon północnych wzgórz i obrzeży Syrenę. Ustne przekazy kreshów w dalszym ciągu pełne są podań o Złotym Wieku przeszłości i krzywdzie doznanej od złych sioconów, którzy wyzuli ich z prawego dziedzictwa. Właśnie w ten sposób usprawiedliwiają swój łupieżczy tryb życia, uważając to za rodzaj zemsty za zbrodnie, których ofiarami padli w przeszłości. Wierzą także, że ich ostatecznym celem jest odzyskanie całego Azreonu, zniszczenie Ziaratu i Tzary i wszystkich ziem uważanych przez te miasta za część swoich imperiów. Nie mogłeś nigdy do tej pory widzieć pisma kreshów; w normalnych okolicznościach stosowane jest wyłącznie do ozdabiania obiektów kultu. Uczni Calvarów zdołali zbadać sporą ilość takich obiektów, zarówno współczesnych jak i starożytnych, ale dopiero bardzo niedawno udało im się to pismo odcyfrować. Samych sioconów, co bardzo dla nich typowe, nigdy ono nie interesowało.

Remy odczekał cierpliwie, aż Yerema skończy, po czym powrócił do sedna sprawy. - Co ten rozkaz nakazywał jego posiadaczowi zrobić? - spytał bez ogródek.

- Zabić króla - włączyła się do rozmowy Valla.

- Zgadza się - potwierdził Yerema, nie zwracając na nią uwagi. - Niedoszły morderca został zabity na terenie pałacu i już samo to, że udało mu się przedrzeć tak daleko, budzi spore zaniepokojenie. Można przypuszczać, że po nim mogą się pojawić następni.

- Kto go nasłał? - spytał Remy. - I z jakiego powodu?

- Na ten temat krąży wiele różnych pogłosek i wcale niełatwo jest wydobyć z nich element prawdy. Ale kiedy doda się ich treść do tego, co uczeni Calvarów wiedzą na temat er'kresha, to wszystko zaczyna się układać w logiczną całość. Wygląda na to, że w jednym z pustynnych plemion pojawił się nowy prorok: człowiek rodem z Syrenę, szaman i wizjoner. Tacy ludzie zdają się pojawiać okresowo, zawsze wtedy, kiedy życie er'kresha zakłóca jakiś groźny dla nich czynnik, taki jak na przykład głód czy zaraza. On nie jest zwykłym szamanem, jest także wojownikiem roszczącym sobie pretensje do statusu półboga. Pergamin precyzuje jego imię na Sigor Belle Yella, ale to nie jest właściwe nazwisko, tylko pseudonim, nom de guerre. Zdobył sobie uznanie i pozycję przywódcy nie tylko wśród członków swojego plemienia, ale także wśród plemion sąsiednich i er'kresha koczujących dalej na północy. Jego celem jest zjednoczenie plemion i utworzenie wielkiej wspólnej armii, która mogłaby

odzyskać wszystkie terytoria należące niegdyś do rasy kreshów. Jediną drogą do tego celu jest zepchnięcie sioconów i ich pozaplanetarnych sprzymierzeńców - my w tych opowieściach nabieramy cech demonicznych potworów - wprost do morza.

- Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa próba zamordowania króla?

- Plemiona er'kresha walczą ze sobą równie zawzięcie jak z sioconami. Nienawiść istniejąca między nimi jest niemal równie wielka jak ta, którą darzą Ziarat i Tzarę. Zjednoczyć ich dla osiągnięcia wspólnego celu wcale nie jest łatwo. Można ich do tego nakłonić tylko dlatego, że ich tradycja zna takie chwilowe sojusze i że takie zjednoczenie może być zwiastunem spełnienia marzeń wszystkich kreshów, marzeń o własnym imperium. Tym niemniej zanim takim namowom ulegną, oczekują znaków. Oczekują na zdarzenie, które można byłoby poczytać za szczęśliwy omen. Obserwują uważnie wszystkie miejsca, w których tradycyjnie takie wróżby mogą się pojawić, wyglądając jakiegoś cudu. Oczekują proroczych snów od swych szamanów, a ci z kolei śnią o uzyskaniu na ziemi statusu półbogów. Ale przede wszystkim oczekują od Belle Yelli, że on sam dokona czegoś nadprzyrodzonego. Gdyby król został zabity, Belle Yella ogłosiłby, że to znak, a wszyscy plemienni wodzowie poparliby go. Jest oczywiście mało prawdopodobne, by Belle Yella postawił wszystko na kartę zamachu, którego powodzenie jest bądź co bądź niepewne; równolegle będzie zabiegał o różne inne znaki. W końcu uda mu się zrobić coś, co wodzowie zgodzą się uznać za wróżbę, a zrobią to, bo bardzo tego chcą... Być może nawet bardzo tego potrzebują. Według mnie Belle Yella jest wytworem swoich czasów. Ten rodzaj ruchów społecznych jest typową reakcją na to, co er'kresha uważają za totalny kryzys; jest to tysiącletni kult, którego mitologia próbuje poczuciu rozpaczki nadać sens nieuchronnie zbliżającego się i triumfalnego przeznaczenia.

- Nie rozumiem tego - powiedział Remy, poruszając się niespokojnie w krześle. - Mówisz, że ostatecznym celem tego kresha jest zjednoczenie wszystkich plemion i zepchnięcie sioconów i veichów do morza?

- Poprawniej byłoby powiedzieć, że jest to cel er'kresha jako rasy - odparł Yerema. - Cel na nowo w nich rozbudzony rozpaczliwością ich położenia. Belle Yella jest tylko narzędziem; jest środkiem, który pozwoli rytualnie pogrzebać wszystkie dzielące plemiona różnice i zgodnie wystąpić we wspólnej sprawie.

- Ale to przecież niemożliwe! - zaprotestował Remy. - Sioconi są dziesięciokrotnie liczniejsi od er'kresha. Dzięki Calvarom mają znacznie lepsze uzbrojenie, a dzięki nam, kilkudziesięciotysięczną armię doskonale wyszkolonych najemników. I to tylko w samym Ziaracie. Gdyby zaszła taka potrzeba, król mógłby postawić pod broń dziesięć tysięcy ludzi, a gdyby

nakazał mobilizację także w sąsiednich okręgach, to może nawet dwa razy tyle. Calvarowie nie mogliby co prawda uzbroić takiej masy żołnierzy, ale i tak armia ta miałaby znacznie lepszą broń niż jakakolwiek siła, którą mogą wystawić wszystkie plemiona kreshów razem wzięte. Większość z tych plemion liczy sobie tylko dwustu czy trzystu zdolnych do walki kreshów; jeśli przypada na nich tuzin strzelb, to plemię uważa się za zamożne. Nawet gdyby istniało pięćset plemion, a nie ma ich tyle, to i tak nie mogłyby one wystawić żadnej liczącej się armii.

- Prawdę mówiąc - odparł Yerema spokojnie - jeżeli policzymy wszystkie plemiona pustynne i górskie, to jest ich nieco ponad pięćset pięćdziesiąt. Ty walczyłeś do tej pory niemal wyłącznie z plemionami pustynnymi; plemiona zamieszkujące wzgórza na północy są znacznie liczniejsze, choć gorzej uzbrojone. Teoretycznie er'kresha mogliby wystawić armię liczącą około stu tysięcy żołnierzy, choć w praktyce jest mało prawdopodobne, by udało im się postawić pod broń choćby jedną dziesiątą tego. Najrozsądniej byłoby chyba założyć, że jakieś osiem tysięcy wojowników, podzielonych na kilkanaście odrębnych oddziałów jest wszystkim, na co ich stać. Walka, którą będą prowadzili, będzie bardzo odbiegała od tego co ty i ja rozumiemy pod pojęciem wojny. Nie opracują, żadnej ogólnej strategii. Po prostu będą najeżdżać wszystkie ziemie uznające zwierzchnictwo Ziaratu, a także oczywiście Tzary, niszcząc i mordując wszystko, co napotkają na swej drodze. Będzie to raczej cały łańcuch przypadkowych rzezi niż wojna. Er'kresha nie są w stanie postawić sobie żadnych celów w militarnym znaczeniu tego słowa.

- Chcesz przez to powiedzieć, że hasło walki o odzyskanie Azreonu jest tylko pustym sloganem, mitem, który pozwoli im oddać się pełnemu szaleństwu mordowania dla samego mordowania?

- Właśnie - powiedział stary veich. - To nie jest wojna w naszym rozumieniu. To jest reakcja na całkowitą beznadziejność sytuacji, w jakiej znaleźli się er'kresha. Nie mogą polepszyć swego położenia w kategoriach praktycznych, zmuszeni są zatem do szukania rozwiązań transcendentálnych. Oczekują, że wybawienie ześlą im bogowie i przodkowie z Zielonego Raju i że Belle Yella będzie w tym pośredniczyć.

- I tak właśnie reagowali w przeszłości na zagrożenie głodem czy zarazą?

- Mniej więcej - potwierdził Yerema. - Tego typu społeczne reakcje na beznadziejność położenia obserwuje się u wielu kultur niemal wszystkich światów. Można byłoby przytoczyć podobne przykłady z historii veichów, a pewnie też i ludzi.

- Ale dlaczego teraz? - spytał Remy. - Nie było przecież żadnego głodu, w każdym razie większego niż zwykle. Nie było też żadnej zarazy.

Yerema uśmiechnął się blado. - To, co się stało - powiedział - jest w pewnym sensie jeszcze gorsze. Głód i zaraza ustępują. A tym razem er'kresha stanęli wobec konieczności zmiany całego trybu życia. Przez setki lat, a być może nawet tysiące, prowadzili żywot koczowniczych pasterzy i rabusiów. Ziemia, na której wypasają swoje bydło, jest zbyt uboga, by sioconom chciało się ją sobie przywłaszczyć. Tam, gdzie jest uprawiana, a metody tej uprawy są bardzo prymitywne, daje bardzo niskie plony. Przetrwanie er'kresha zawsze zależało od ziarna, które mogli uzyskać od sioconów. Wymuszali ziarno z wiosek zagrożonych ich najazdem; napadali na jego transporty i plądrowali spichrze. Czasami nawet je kupowali, ale zawsze za towary i pieniądze zrabowane sioconom, głównie podczas napadów na karawany wędrujące drogami łączącymi Ziarat z wybrzeżem. Er'kresha zawsze żyli z łupienia sioconów, a sioconi, pomimo swoich otoczonych murami miast i licznych armii, nie byli w stanie się przed tym uchronić.

Wszystko to zmieniło się mniej więcej w zeszłym pokoleniu. Z Omeru przyjechali do Azreonu Calvarowie, przynosząc ze sobą zupełnie nowe technologie. Uzbroili armie sioconów i wyposażyli karawany w nowe pojazdy. A potem, kiedy wojna ogarnęła także Haidrę, zjawilo się tu wielu ludzi zaprawionych w walkach. Ludzi takich jak ty i ja, Remy, którzy stworzyli nową armię złożoną z veichów, sioconów i nawet ludzi - zawodowych żołnierzy, wyszkolonych w używaniu broni, w które Calvarowie nie wyposażyliby samych tylko sioconów. Dzięki broni Calvarów wszystkie ziemie pozostające pod nominalnym zwierzchnictwem Ziaratu zostały po raz pierwszy w historii całkowicie zabezpieczone przed napadami kreshów i już samo to oznaczało dla kreshów początek końca. Dziś nasi najemnicy zapewniają bezpieczeństwo na wszystkich drogach łączących Ziarat z innymi miastami. Sprowadziliśmy specjalne zwierzęta, wyhodowane głównie z myślą o rozwijaniu na nich jak największej szybkości i wierzchowce er'kresha, które są produktem doboru naturalnego, a nie inżynierii genetycznej, nie są w stanie z nimi konkurować. Jesteśmy ruchliwsi od nich i znacznie lepiej uzbrojeni. I dlatego właśnie wszyscy er'kresha stanęli w obliczu kulturowej zagłady. Jedyne co im pozostało, to podporządkować się sioconom, dać się wchłonąć ich cywilizacji i stać się jej najpodlejszymi, pogardzanymi przez wszystkich obywatelami najniższej z niskich kategorii. Wojownicy kreshów nie mogą tego zaakceptować. Dla nich jest to rzecz po prostu nie do pomyślenia.

Remy znów poruszył się na krześle, patrząc uparcie na ciągle jeszcze rozpostarty na stole pergamin. Czekał, by usłyszana historia dotarła do każdego zakątka jego mózgu i rozjaśniła treść mglistych pogłosek, które już wcześniej dotarły do jego uszu. Powoli zaczęła do niego docierać cała złożoność sytuacji przedłożonej jego analizie.

- No dobrze - powiedział po chwili. - Załóżmy, że to wszystko prawda. Co możemy na to poradzić?

- Pewnie nic - odparł spokojnie veich. - Ale być może jesteśmy w stanie ich powstrzymać. Przynajmniej na jakiś czas. Musimy wytropić Sigor Belle Yellę, zabić go i rozpędzić wyznawców jego kultu.

- Doskonale - powiedział z chłodnym spokojem Remy.

- Ale jak?

2.

Justina Magna wyszła przed swój namiot i zadrżała od przejmującego chłodu nocnego powietrza. Była całkowicie ubrana, ale w strój, który nosiła zwykle podczas dnia. Z nastaniem nocy dodała do niego jedynie lekką kurtkę. Przez chwilę stała w zupełnym bezruchu, hartując się i przezwyciężając dojmujące zimno, a potem ruszyła przed siebie. Gwiazdy nad jej głową świeciły zaskakująco jasno - tutaj, na obrzeżach Syrenę, powietrze było krystalicznie czyste.

Obóz pogrążony był w zupełnej ciszy. W ciemności majaczyły dwie linie wartowników: jedna wystawiona przez eskortę wynajętą w Pirze dla ochrony karawany handlowej; druga - przez żołnierzy plutonu towarzyszącego ekspedycji, w której ona sama brała udział. Wozy karawany i pojazdy, które ludzie przywieźli ze sobą z Omera, ustawiono z dala od siebie; ani kierujący karawaną veich, ani jego najemnicy za grosz nie ufali ludziom, a nieufność ludzi do veichów była chyba jeszcze większa. Tym niemniej, mając przed sobą długą drogę do Ziaratu, obie grupy zgodziły się podróżować wspólnie, kierując się głównie obawą przed napadem er'kresha. Porucznik Verdi, oficer dowodzący plutonem, protestował przeciwko tej decyzji, twierdząc, że podróżowanie w towarzystwie uzbrojonych veichów może się okazać znacznie bardziej niebezpieczne niż jakikolwiek napad bandytów, ale jego protesty nie zostały uwzględnione. Cesar Scapaccio, organizator i kierownik grupy ekspedycyjnej, doskonale zdawał sobie sprawę, że w Azreonie faktyczną władzę sprawują veichowie i że na tym kontynencie prowadzenie wojny wymaga stosowania bardziej dyplomatycznych metod.

Justina Magna minęła wartownika strzegącego obozu od wschodu, gdzie ciągnęły się rozległe połacie mizernych, zeschniętych zarośli. Mężczyzna wpatrywał się w nią uważnie, kiedy przechodziła obok niego, ale udała, że tego nie dostrzega. Kilka kroków dalej natknęła się na sierżanta Garstona, zajętego najwyraźniej pilnym obserwowaniem wartownika. Poczęstowała go papierosem, ale odmówił, patrząc przy tym na nią badawczo swymi

wodnistymi oczami, w których odbijało się światło lampy zawieszanej na podpórcie kopuły któregoś z wozów.

- Zuchwali tubylcy jeszcze się nie pojawili? - spytała z ledwie wyczuwalną nutą drwiny w głosie.

- Nie - odparł krótko.

- Żadna banda pustynnych dzikusów nie odważy się na nas napaść - powiedziała. - Przy naszym uzbrojeniu moglibyśmy odeprzeć atak całej armii.

- Tylko że oni mogą o tym nie wiedzieć - zauważył Garston.

- W czasie tych długich nocy najgorszy jest chłód - podjęła po chwili, nie zrażona jego brakiem zainteresowania rozmową. - Nawet tu, na pustyni, wraz z zachodem słońca robi się przeraźliwie zimno... A w dzień smaży się człowiek jak na patelni. Gdyby Haidra obracała się wokół swej osi nieco szybciej, życie na niej nie byłoby dla tych ludzi takim piekłem.

Ponieważ w tym, co powiedziała, nie było żadnego pytania, Garston nie czuł się w obowiązku odpowiedzieć.

- Nie jest pan zbyt rozmowny - zauważyła kobieta.

- Nie - zgodził się sierżant.

- Nie mogłam zasnąć. Człowiek chyba nigdy nie potrafi w pełni przywyknąć do innego rytmu czasu.. Licząc w ziemskich kategoriach, spędziłam tu już dziesięć lat. Jedną trzecią całego życia. I ciągle jeszcze nie mogę się przyzwyczaić do doby, która ma czterdzieści godzin i cywilizacji funkcjonującej w oparciu o siedmiogodzinny sen w środku nocy i drugi taki sam w ciągu dnia. Przypuszczam, że kiedy świat naszych narodzin raz zakoduje w zachodzących w nas procesach chemicznych swój własny rytm, to już nic nie może tego zmienić. Mam wrażenie, że nawet ludzie urodzeni na obcych planetach tak naprawdę nigdy się do nich nie przystosowują... Może jest to zapisane w naszych genach. Co pan o tym sądzi?

- Sądzę, że tęskno pani do mięciutkiego, domowego łóżeczka - odparł lapidarnie Garston. - Przywyknąć można do wszystkiego.

- A jednak pan sam także nie śpi - odparowała. - I wcale nie dlatego, że musi pan stać na warcie. Przecież pana kolej nadejdzie dopiero za kilka godzin. A może wojsko zawsze wystawia wartowników do pilnowania własnych wartowników?

- Ja nie potrzebuję wiele snu - powiedział sierżant.

Kobieta oblizwała wargi, smakując metaliczny pył, który osadzał się na nich od kiedy zdjęła chustę chroniącą usta i nos. Garston śledził wzrokiem ruch jej języka, dzieląc jego doznanie. Wszyscy zdążyli już poznać smak srebrzystego pyłu, a w czasie najbliższych miesięcy mieli zaznajomić się z nim tak blisko, by nie zapomnieć go już nigdy w życiu.

- Dlaczego pan tu przyjechał, sierżancie?

- Otrzymałem taki rozkaz.

- Nie to miałam na myśli.

- Tak właśnie przypuszczałem.

Kobieta popatrzyła na niego z udawanym wyrzutem.

- Czy to strach przede mną każe być panu tak nieuprzejmym? - spytała.

Garston wzruszył ramionami.

- A może pan jest mizoginem? - zaciekawia się.

- Podoficerem - odparł ze sporą dozą cierpkiego humoru. - Jeśli interesują panią sprawy związane z bezpieczeństwem obozu, to proszę o nie pytać porucznika Verdiego.

- Przecież on śpi.

- Niech go pani zapyta, kiedy się obudzi.

- Wiem z góry, co by na to odpowiedział. Odpowiedziałby, że wypełnia tylko swój obowiązek i rozkazy przełożonych. Dałby do zrozumienia, podobnie zresztą jak robi to pan, że cała ta historia jest idiotyczną stratą czasu i że marzy tylko o powrocie do koszar, by czekać, aż wojna wezwie go na bitewne pola. Ale gdyby dowództwo Haidry również tak uważało, to prośba Scapaccia o przydzielenie mu eskorty zostałaby po prostu odrzucona. Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili tak właśnie zrobili. Jak pan myśli, dlaczego później zmienili zdanie?

- Nie wiem, nie potrudzili się, żeby mi to powiedzieć. Pewnie zwykłe układy. W końcu Scapaccio jest pułkownikiem, nawet jeżeli przybywa spoza planety i czynną służbę ma już dawno za sobą. Pognał kota kilku kapitanom i majorom w Kwaterze Głównej, ci pożonglowali trochę odpowiednimi papierkami i już miał do dyspozycji pluton żołnierzy. I żadna z grubych ryb o tym nawet nie wie, a gdyby wiedziała, to i tak nic by ją to nie obchodziło.

- Może i tak - powiedziała Justina Magna, patrząc z zadumą w ciemność i dopalając swojego papierosa. - A może i nie.

- Jakie to może mieć znaczenie? - spytał sierżant. - Chcieliście wyprawy, macie wyprawę. Długie, miłe wakacje w dzikiej głuszy z możliwością podziwiania pustynnych kwiatów i morza skrzących się gwiazd. Uwolniliście się od Kwatery Głównej, jej nudy i biurokracji. Może uda się pani być świadkiem podniecającego odkrycia archeologicznego dokonanego przez Scapaccia i na własne oczy ujrzy pani skarb sprzed miliona lat. Może nawet zobaczy pani, jak jej wierni obrońcy zabijają kilku dzikich tubylców. Na deser jest

jeszcze egzotyczne miasto Ziarat, żywcem przeniesione z jakiejś starożytnej baśni. Powinna się pani świetnie bawić.

- Kiedy się pan postara, staje się pan bardzo elokwentny - powiedziała. - Trzeba pana tylko trochę rozruszać. A filozofia, którą usiłuje mi pan sprzedać, jest zupełnie niezła. Szkoda tylko, że nie potrafi pan wziąć jej sobie do serca. Bo pan przecież wcale tak nie uważa, prawda? Nienawidzi pan pustyni, nienawidzi pan Scapaccia, gardzi pan Ramonem Delizią, a konieczność obcowania z niespacyfikowanymi veichami po prostu pana mierzi. Czasami podejrzewam, że i moje towarzystwo nie bardzo przypada panu do gustu.

- A powinno?

- To zależy - odparła. - Powiedziałabym, że powinno... ale ja jestem stronnicza.

Odwróciła się z miną człowieka, który wyszedł zwycięsko ze słownego pojedynku i odeszła w kierunku obozu, z pełną premedytacją wyzywająco kołysząc biodrami.

- Kurwa - mruknął Garston. Przesunął dłonią po lufie swego karabinu i prawie z nadzieją pomyślał, że jeszcze tej nocy, przed następnym wymarszem, może nastąpić atak er'kresha. Był człowiekiem cierpliwym - jak każdemu żołnierzowi i jemu długo wpajano tę cechę - ale nawet największy flegmatyk kumuluje frustracje, które rozładować może tylko czynem.

Remy próbował dojrzeć choćby cokolwiek w rozedrganej mgle łączącej niebo z ziemią w miejscu, gdzie powinien znajdować się horyzont, ale nic mu z tego nie wyszło. Mieszanina mgły i pyłu drwiła sobie z jego wysiłków i jedynym dowodem nieustannej obecności er'kresha pozostaje bijąca w niebo kolumna kurzu, który mienił się w słońcu jak zmarznięte krople rosy - kopyta wierzchowców er'kresha wyrzucały w rozpalone powietrze dodatkowe ilości ruchliwego, srebrzystego pyłu.

- Psiakrew! - zaklął pod nosem Remy.

- Coś tam wypatrzył? - spytał Doon, rozciągnięty płasko tuż obok niego.

Remy podał mu lornetkę. - Zmierzają wprost do Syrenę - powiedział. - Na północny wschód. A więc tam właśnie musi znajdować się Belle Yella. W najgorszym miejscu, jakie mógł sobie wybrać, oczywiście z naszego punktu widzenia.

Doon spróbował wyostrzyć obraz, ale nie powiodło mu się wcale lepiej niż Remy'emu.

- Dlaczego, u diabła, pchają się w głąb pustyni? - spytał Madoc, stojący kilka metrów niżej, ukryty za skałą, z wierzchołka której Remy i Doon obserwowali ruchy er'kresha.

- Z tego, co mówi Yerema wynika, że mają po temu dwa powody - powiedział Remy. - Po pierwsze, góry w sercu Syrenę uważane są przez nich za święte. Nikt ich nie zamieszkuje, ale er'kresha zawsze traktowali je jako coś w rodzaju centrum swego mitycznego imperium.

A po drugie, jest to najdzikszy, najbardziej odludny i naturalnie chroniony przed intruzami teren, jaki można sobie wyobrazić. Idealne miejsce do robienia cudów.

- Nie bardzo rozumiem dlaczego miałyby to być lepsze miejsce do robienia cudów niż jakiegokolwiek inne - mruknął Doon.

- Uczni Calvarów twierdzą, że er'kresha mają dość konkretne wyobrażenia na temat tego, co może być uznane za cud. Jedną z takich rzeczy jest sprowadzenie deszczu, który sprawi, że pustynia zakwitnie.

Doon zniżył nieco lornetkę i spojrzał z ukosa na absolutnie płaską równinę szarego piasku i spalonych słońcem kamieni, której jednostajność mąciła tylko tu i ówdzie kępka ciemnych krzewów i kolczastej trawy. - Trzeba przyznać, że to rzeczywiście byłby nie lada cud - powiedział.

- Czasami deszcze padają i tutaj - powiedział Remy. - Ale w górach grać będą kartami znakowanymi przez Belle Yellę. Jak już mówiłem, nikt nie mieszka tam na stałe, więc trudno coś powiedzieć o regularności występujących tam opadów, ale Yerema uważa, że pora deszczowa musi się tam powtarzać co roku, tak samo jak na północy, południu i wschodzie. Chmury gnane z końcem lata od wschodu napotykają tam na swej drodze łańcuch górski, wznoszą się tak wysoko, że cała niesiona przez nie para wodna ulega natychmiastowemu skropleniu i spadają na ziemię w postaci ulewnych deszczów. Dlatego właśnie wysychające latem zupełnie rzeki Syrenę w tym okresie znów napełniają się wodą. Ze wszystkich stron, i to w promieniu wielu setek mil, góry otoczone są pustynią, lecz one same mają nieco bardziej łaskawy klimat. W tej chwili czciciele Belle Yelli gromadzą tam powoli akolitów i innych naocznych świadków, którzy spędzą wiele dni na modłach w upalnym słońcu, aż doprowadzą się do stanu, w którym zaczną miewać regularne halucynacje i wizje. Wtedy Belle Yella sprowadzi deszcz i zmusi pustynię, by zakwitła, a jego zwolennicy ogłoszą go czymś w rodzaju Boga. Od tego momentu wszyscy er'kreshe udzielą mu całkowitego poparcia, zaczną się wokół niego gromadzić i wybuchnie wojna. Kiedy ludzie potrzebują cudów, to znajdują je dość łatwo. Calvarowie uważają, że znają historię er'kresha wystarczająco dobrze, by już teraz napisać dokładny scenariusz całej tej idiotycznej krucjaty.

- Ale co w związku z tym robimy my? - spytał Madoc.

Remy i Doon odwrócili głowy, by spojrzeć na niego, ale nie ruszyli się ze swego punktu obserwacyjnego.

- Sioconi mówią, że koniec lata na tych terenach już nadszedł. Nie wiem, kiedy ma się zdarzyć cud Belle Yelli, ale przypuszczam, że mamy jeszcze jakieś dwanaście do dwudziestu dni. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakąś alternatywę; musimy ruszyć za prorokiem do

matecznika Syrenę. Podejście Belle Yelli w takim terenie, otoczonego setkami opętanych wyznawców nie będzie wcale takie łatwe, ale stawiam, że i tak mamy większe szansę niż ludzie, których wysłał do Ziaratu, by zabili króla. Przy odrobinie szczęścia wszyscy er'kresha, których zastaniemy w górach, będą całkowicie zaprzątnięci swymi religijnymi obrządkami, a już z całą pewnością nie spodziewają się gości. Ale i tak nie jest to robota, na którą można by się cieszyć.

- A co z tak zwaną armią Yamby? - spytał Doon. - Od kiedy król i Calvarowie zaczęli używać nas do wszystkich ważniejszych operacji, ludzie Yamby nie robią nic poza patrolowaniem ulic w Ziaracie. Czy nie moglibyśmy podrzucić im tej roboty?

- Oni nie są w stanie jej wykonać - odparł Remy. - A poza tym postawiłoby to nas w fatalnym świetle. Yamba i jego przyjaciele już i tak wystarczająco nas nienawidzą. Jeżeli umyjemy ręce od pierwszego poważniejszego kryzysu, kryzysu, który niejako sami wywołaliśmy swoim pojawieniem się w Ziaracie, to stracilibyśmy całą pozycję, którą z takim trudem udało nam się tutaj wywalczyć. A skutki tego mogłyby być po prostu fatalne. W pewien sposób jest to problem nie tyle Ziaratu, co nasz i sami musimy go rozwiązać.

- Więc jakiego rodzaju siłę masz zamiar zabrać ze sobą na pustynię? - spytał Madoc. - Kilku komandosów czy całą armię?

Remy poprawił chustę zakrywającą mu całą dolną część twarzy i zwilżył językiem usta.

- Jeszcze nie wiem - powiedział. - Wszystkie plany opracujemy dopiero po powrocie do Ziaratu. Mam wrażenie, że tym razem Yerema sam zechce objąć dowództwo.

Doon znów przyłożył lornetkę do oczu i patrzył gdzieś daleko przed siebie, ale nie na wschód, gdzie zniknęli er'kresha, tylko na południe.

- Jeźdźcy - powiedział, podając lornetkę Remy'emu - nasi.

Remy bez trudu dostrzegł zbliżających się ludzi; pędzili galopem na zwierzętach Calvarów. Ten galop nie wróżył niczego dobrego. Zwierzęta sprowadzone przez Calvarów z Omera - dla wygody nazywane przez Remy'ego w myślach końmi, choć nie miały z nimi nic wspólnego - wyhodowano kierując się względami wytrzymałości i zdolności do pracy w ciężkich warunkach pustynnych, a nie z myślą o uzyskaniu zwierząt mogących rozwijać duże prędkości na krótkich dystansach. Miały co prawda dłuższe nogi i były szybsze od gatunków tubylczych, ale do galopu zmuszano je zwykle tylko w czasie walki lub pościgu.

Jeden z jeźdźców był veichem, drugi sioconem. Obaj byli zaufanymi ludźmi Yeremy, najemnikami jego prywatnej armii.

Remy dał ręką znak zbliżającym się mężczyznom, a veich, Subala, odpowiedział mu takim samym, umówionym gestem i nadjeżdżający natychmiast zwolnili. Remy zeskoczył ze

szczytu skały wprost na siodło swego "konia", który zachnął się gwałtownie, z wyraźną niechęcią odnosząc się do takich sztuczek. Natomiast Doon zszedł na dół i wsiadł na swego wierzchowca w bardziej tradycyjny sposób, po czym cała czwórka ruszyła z powrotem w kierunku pustynnego traktu, którym tu przybyła. Spotkali się z ludźmi Yeremy na dnie płytkiej kotlinki, gdzie droga - której istnienia tylko wprawne oko mogło się domyślić - skręcała w kierunku Ziaratu.

Iasus Fiemme, siocon, wręczył Remy'emu złożoną kartkę papieru. Remy zeskoczył z siodła nim jeszcze zdążył ją rozłożyć, a pozostali mężczyźni poszli jego śladem.

- Wiadomość została nadana z Piru przez radio - powiedział Fiemme. - Pochodzi sprzed kilku dni. Odebraliśmy ją w małej wiosce trzy godziny drogi stąd na południe.

Remy przebiegł wzrokiem treść informacji i popatrzył z namysłem na siocona. Fiemme był odrobinę wyższy od niego, ale w porównaniu z masywnością jego własnej sylwetki wydawał się bardzo szczupły i kościsty. Chociaż Remy był spalony słońcem na ciemnobrązowy kolor, w dalszym ciągu występowała między nimi znaczna różnica karnacji; brąz siocona miał dziwny, błękitnawy odcień. Jego łysa głowa miała z każdej strony po kilka bocznych fałd, a bardzo ciemne oczy zabezpieczała mu przed porannym słońcem naturalna przesłona, ewolucyjny odpowiednik błony mrużnej jego dalekich przodków. Na twarzy miał oczywiście zawiązaną chustę, chroniącą przed wżerającym się we wszystko miałkim pyłem, ale jego zasłona ufarbowana była na kolor zbliżony do barwy skóry. Sioconi i er'kresha byli jednak znacznie niżsi i przeważnie bardziej przysadziści.

- Już i bez tego mamy dosyć kłopotów - powiedział Remy. - Co według Yeremy mamy z tym zrobić?

- Yerema chce, żebyś pojechał im na spotkanie - odparł Fiemme. - Masz im pomóc dostać się do Ziaratu i dowiedzieć się po co tu przyjechali. Mnie polecił jechać z tobą, a Subali przywieźć do Ziaratu twój raport na temat Belle Yelli. Przed podjęciem decyzji co dalej, chciałby się z nim zapoznać.

To jego ustne polecenia przekazane razem z tym? - spytał Remy, podnosząc list.

- Zgadza się - odparł Fiemme.

- On chyba zdaje sobie sprawę z tego, że mogę tam być niezbyt mile widziany? W końcu jakkolwiek by na to patrzeć, jestem dezertorem z ludzkiego wojska.

Na to Fiemma nic nie odpowiedział.

- Co tam masz? - spytał Doon, wychylając się daleko z siodła, żeby rzucić okiem na list. Nic mu to nie dało, gdyż wiadomość napisana była w języku klanów.

- Kilka dni temu w Pirze wylądował statek z Omera - odparł Remy z wyrazem zawziętości na twarzy. - Przywiózł transport towarów zamówionych przez Calvarów, a także kilka wozów, odpowiednią ilość koni i około dwudziestu ludzi, w większości żołnierzy. Udają się do Ziaratu razem z karawaną Calvarów.

- Armia inwazyjna to to nie jest - powiedział Doon.

- W końcu wozy i konie to nie transportery i czołgi. Wygląda raczej na to, że liczą się z długim pobytem tutaj bez kontaktu z domem. Dlaczego Dowództwo nie przerzuciło ich drogą powietrzną?

- Nie wiem - mruknął Remy.

- Może to jeszcze kilku takich, co przejrzeni na oczy? - zasugerował Madoc.

- Albo też takich - powiedział Remy - co dostali rozkaz aresztować nas wszystkich i postawić przed sąd.

- Nigdy nie mieli zwyczaju ścigać dezertersów - zauważył Madoc, ale w głosie zadrgała mu ledwie wyczuwalna nutka niepokoju. - Uważali zawsze, że nie warto. Działali zgodnie z zasadą, że jeżeli ktoś chce zmienić się w tubylca, to mu wolno.

- No cóż - powiedział Remy - wkrótce wszystkiego się dowiemy. Karawana nie może się znajdować w tej chwili dalej niż o dzień jazdy stąd, a Yerema chce, żebym wybadał po co tu przyjechali. Zostajesz ze mną, czy wolisz ruszyć na południe z Subalą?

- A są wśród nich jakieś kobiety? - spytał Doon.

- List nic o tym nie mówi.

- Szkoda, ale i tak pojedę z tobą.

- Ja też - powiedział Madoc. - Dlaczego nie? Przecież nie zastrzelą nas chyba tak od razu.

Remy złożył starannie kartkę, schował ją do kieszeni, po czym wskoczył z powrotem na siodło. Przypomniał sobie, kiedy ostatni raz widział mundury wojskowe. Było to podczas ostatnich miesięcy tego, co Dowództwo Haidry nazywało w swych oficjalnych komunikatach "pacyfikacją". Prawdziwym celem tej operacji było poddanie wszystkich veichów zamieszkujących Omer bezpośredniej władzy ziemskiego gubernatora, którego głównym zadaniem było dopingowanie, by cały ich majątek wspomógł słuszną sprawę - wysiłek wojenny Ziemi. Wkład Remy'ego w pacyfikację veichów polegał na prowadzeniu przez cały długi rok roboty policyjnej, wymagającej od czasu do czasu wzięcia udziału w jakichś większych potyczkach. W ciągu dziesięciu lat, które upłynęły od czasu jego dezercji, często wspominał główne wydarzenia tamtego roku - swoje pierwsze prawdziwe spotkanie z wojną. Wcześniej brał udział tylko w inwazji na Haidrę, ale toczono wtedy walki krótko, a

jego rola ograniczyła się do obsługi dział laserowych strzegących floty desantowej przed atakiem z powietrza; była to wojna bardzo bezosobowa. Pacyfikacja była czymś zupełnie innym.

- No dobrze - powiedział, kiedy Iasus Fiemme wskoczył na swego wierzchowca. - Nie ma na co czekać. Subalą, pojedziesz kawalek z nami, powiem ci, co masz przekazać Yeremie. Niewiele jest takich rzeczy, których by sam się do tej pory nie domyślił.

Skierował swego konia na północ i zmusił go do powolnego kłusa.

Przypomniał sobie nagle rozpowszechniane na statkach slogany, którymi Dowództwo Międzygwiazdne z uporem pomagało żołnierzom w myśleniu odpowiednimi kategoriami. "Przed wojną nie ma ucieczki" - głosił jeden z nich. "Nie ma planety tak dużej, by mogła posłużyć za mysią dziurę".

To tyle jeżeli chodzi o wojskową filozofię.

3.

Justina Magna uklękła obok ciała porucznika Verdiego, ściągnęła mu z głowy przeciwsłoneczny kapelusz i przykryła nim twarz. Zbliżała się noc. Słońce zaszło już jakiś czas temu i lada chwila zmierzch miał się przekształcić w zupełną ciemność. Mogła ona przynieść następny atak bandytów, ale Justina Magna nie bardzo w to wierzyła. Karawana wysunęła się już z wąwozu na otwartą ze wszystkich stron równinę, a do tego chyba tylko niewielkiej grupce er'kresha udało się umknąć przed zmasowanym ogniem obrońców. Ich atak był bez wątpienia samobójczy; musieli stracić ponad pięćdziesięciu ludzi. Zapewne, tak jak sugerował Garston, nie zdawali sobie po prostu sprawy na co się porywają. Było mało prawdopodobne, by kiedykolwiek do tej pory spotkali się z taką siłą ognia.

Garston zauważył, że kobieta zakrywa twarz Verdiego i podszedł bliżej nie odrywając wzroku od martwego porucznika. Nie wyglądał ani na pogrążonego w żalu, ani na zaskoczonego. Już w momencie, w którym porucznik został trafiony, sierżant wiedział, że to sprawa beznadziejna. Nigdy nie lubił tego oficera i nigdy mu nie ufał, ale przecież nie miało to żadnego znaczenia - Verdi wydawał rozkazy.

- Nie mogę tego zrozumieć - powiedziała kobieta, podnosząc wzrok na Garstona. - Dlaczego nie przepuścili nas i nie zaatakowali jadących za nami wierzchowców? Mogli przecież uderzyć na kilka ostatnich wozów, a my nie bylibyśmy w stanie zawrócić, by ruszyć im z pomocą. Zamiast tego wpakowali się prosto pod lufy naszych karabinów.

- Powodem, dla którego napadli na nas - powiedział szorstko Garston - było to, że my wieziemy coś znacznie dla nich cenniejszego niż towary znajdujące się na wozach kupców. Karabiny, granaty, materiały wybuchowe, amunicję. Musieli uznać, że opłaci się podjąć nawet tak duże ryzyko.

- A gdzie się podział ich strach? - spytała Justina Magna równie nieprzyjemnym tonem.

- Być może oni nie mają naszych edukacyjnych przewag - odparł Garston - ale to wcale nie znaczy, że można ich sądzić według kryteriów, którymi posługują się kreatury takie jak Delizia. Oni nie boją się śmierci ani ran wcale nie dlatego, że to uczucie zostało w nich zabite, lecz dlatego, że tak po prostu nakazuje im życie. Śmierć jest tak tania na planetach takich jak ta, że muszą śmiało stawiać jej czoła. Niech pani sobie nie wyobraża, że każdy człowiek, który potrafi odczuwać strach, koniecznie musi go czuć. Strach i tchórzostwo to dwie zupełnie różne rzeczy.

- Czy myśli pan, że wrócą z posiłkami? - spytała. - Czy nasz ładunek jest dla nich aż tak cenny?

- Może - odparł sierżant. - Ale to nie ma żadnego znaczenia; i tak damy sobie z nimi radę. Mieliśmy pecha tracąc aż czterech ludzi. To wy trzaśnie z pozostałych gówniarzy to ich pieprzone zadufanie w sobie. Tak czy inaczej jesteśmy już prawie w połowie drogi do Ziaratu. To jest jeszcze teren pustynny, oddalony o dziesiątki mil od czegokolwiek, domena kreshów. Ale teraz z każdym krokiem będziemy już zbliżali się do cywilizacji, a wraz z tym prawdopodobieństwo ataku będzie malało. W mieście nikt nie odważy się tknąć nas nawet palcem. Ostatnia rzecz, jakiej by tu chciano, to inwazja ludzi na Azreon.

- Czy aby nie przecenia pan swej wartości? - odezwał się zza ich pleców jakiś nowy głos. - Skąd pan ma pewność, że w odwet za to, co mogłoby się panu przydarzyć w Ziaracie, Dowództwo Haidry dokonałoby najazdu na Azreon.

Garston odwrócił głowę i ujrzał stojącego trzy metry dalej i wpatrującego się w niego archeologa Raniona Delizię. Delizia był niski, śniady i poruszał się zawsze w ten sam sposób, sugerujący lenistwo i zupełny brak wewnętrznej dyscypliny. W Garstonie wszystko się buntowało już przeciwko samemu faktowi jego istnienia.

- Niech się pan stąd natychmiast wynosi - warknął sierżant. - Niech się pan nie rusza z ukrycia.

- Przyszedłem zobaczyć, co z porucznikiem - powiedział gładko Delizia. - Ale widzę, że nie żyje. Przykro mi. Nie miałem zamiaru wam przeszkadzać.

- Byłoby najlepiej - powiedział Garston ze źle skrywaną irytacją - gdybyście wszyscy pozostali w pojazdach, a zajęcie się poległymi zostawili mnie i moim ludziom. Nie

pojedziemy już dzisiaj dalej. Zostaniemy tu na nocleg, za to jutro wyruszymy wcześniej niż zwykle.

Kiedy ani Justina Magna, ani Delizia nie ruszyli się z miejsca, odwrócił się gwałtownie na pięcie i odszedł wzdłuż ustawionych obok siebie pojazdów. Justina Magna wstała otrzepując piasek z rąk.

- Moim ludziom - mruknął Delizia, zwracając uwagę kobiety na słowa Garstona.

- Teraz już są jego ludźmi - odparła zupełnie spokojnie. - Co chciał pan powiedzieć porucznikowi? Kilka słów współczucia? Przepraszam? A może modlitwy?

- Chyba wszystkiego po trochu - odpowiedział, nie zwracając uwagi na jej ironię.

- Cały należy do pana - odwróciła się i ruszyła śladem Garstona, który minął już ostatnie pojazdy ekspedycji i zbliżał się właśnie do wozów veichów. Kiedy go dogoniła, próbował wypytywać jednego ze służących Calvarów co dalej. Nie szło mu najlepiej, ponieważ jedynym językiem, jakim mogli się porozumieć był dialekt sioconów z Omera, a obaj znali go bardzo słabo. Zaczęła tłumaczyć pytania sierżanta na język nie należący do klanów.

- Pojedziemy dalej - powiedział jej służący.

- Natychmiast?

Veich potwierdził, że to właśnie miał na myśli. Przetłumaczyła jego odpowiedź Garstonowi, któremu ta wiadomość wyraźnie nie przypadła do gustu. - To pewnie najlepsze rozwiązanie - powiedziała. - Im szybciej będziemy w mieście tym lepiej. Zmarłych możemy zabrać ze sobą i pochować tam, gdzie się zatrzymamy na nocleg.

Garston wzruszył ramionami. - Zapytajmy Scapaccia; to jego ekspedycja - powiedział gniewnie.

Wrócili do pojazdów ekspedycji i zaczęli szukać Cesara Scapaccio, człowieka odpowiedzialnego za ich obecność tutaj. Znaleźli go w tylnej części jednego z pojazdów, zajętego rozmową z optimenem Androsem. Andros trzymał na kolanach osłonę ciężkiego karabinu maszynowego, który rozbierał właśnie na części, by naprawić mechanizm podawania pocisków. Karabin zaciął się w samym środku walki. Ze wszystkich osób biorących udział w ekspedycji tylko Scapaccio był w dobrych stosunkach z Androsem; cała reszta odnosiła się do niego jak do sennego koszmaru przyszłości, jak do budzącego nieme przerażenie stworu.

Kiedy sierżant i kobieta podeszli bliżej, Cesar Scapaccio podniósł wzrok, po czym bez słowa wstał i przyniósł z przedniej części pojazdu zapalona lampę.

- Chcą ruszać dalej wyjaśniła Justina Magna. - Wy daje mi się, że pojedą nawet wtedy, gdybyśmy zdecydowali się zostać tutaj. Nie mają zamiaru spędzać w drodze więcej czasu, niż to jest absolutnie niezbędne. Czy zabieramy się z nimi?

- Oczywiście - powiedział Scapaccio, całkowicie ignorując gniewną minę Garstona.

- Ja nie... - zaczął sierżant i natychmiast przerwał. Patrzył właśnie w kierunku czoła karawany i najwyraźniej musiał dostrzec tam coś niezwykłego. Z całej czwórki tylko on jeden stał w miejscu, z którego widoczne były pierwsze pojazdy ekspedycji. Troje pozostałych mogło tylko obserwować zmianę wyrazu jego twarzy.

- Co pan tam wypatrzył? - spytała Justina Magna, przechodząc kilka kroków w bok, by zobaczyć, co przykuło wzrok sierżanta.

- Mamy gości - powiedział ponuro Garston.

Remy zatrzymał swego wierzchowca i zeskoczył na ziemię o krok od Garstona i kobiety. Do tego czasu zarówno Scapaccio, jak i Andros zdążyli już wyjść z pojazdu. Wszyscy czworo w milczeniu przyglądali się przybyszom. Wzdłuż całej karawany ustawiły się grupki ludzi, którzy przerwali wszystkie zajęcia i bacznie obserwowali zachowanie nieznajomych. Zapadła chwila martwej ciszy.

Scapaccio przepchnął się między Garstonem i Justina Magna do przodu i stanąwszy w rozkroku zmierzył Remy'ego od stóp do głowy.

- Kim jesteście? - spytał, nie próbując nawet ukryć zaskoczenia widokiem człowieka na drodze do Ziaratu.

- Właśnie miałem o to samo zapytać was - powiedział oschle Remy. Kątem oka zauważył, że karabin Garstona przesunął się nieznacznie w taki sposób, że był teraz wycelowany dokładnie w jego głowę, choć palec sierżanta nie powędrował jeszcze w kierunku spustu.

- Remy - powiedział z całkowitą pewnością siebie sierżant. - On się nazywa Remy. Był kiedyś sierżantem w naszym wojsku.

Remy odwrócił głowę w jego stronę i przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niego twardego i przenikliwego spojrzenia, próbując przypomnieć sobie gdzie i kiedy spotkał tego człowieka i jak brzmi jego nazwisko, ale nie mógł odnaleźć w pamięci żadnego punktu zaczepienia. Dopiero kiedy tamten powiedział: "Jestem Garston", umiejscowił go natychmiast i bez żadnego wahania. Pacyfikacja, jakiś mały incydent w trakcie anektowania czyjejs własności. Powodem kłótni była różnica zdań na temat tego, jaką część aneksji mają

przeprowadzić dwa oddziały należące do odrębnych pionów operacyjnych organizacyjnej dżungli Dowództwa Haidry.

- Ten człowiek jest dezertorem - powiedział Garston, zwracając się do Scapaccia.

- Zgadza się - przytaknął Remy. - Miałem kiedyś naszywki, ale je odprułem. - Wyciągnął rękę, pokazując na swoich towarzyszy, którzy przez cały ten czas nie ruszyli się z koni. - To są Doon, Madoc i Iasus Fiemme. Zarabiamy na życie strzeżeniem bezpieczeństwa na drogach ku pożytkowi wszystkich uczciwych podróżnych. Nie zawsze jednak nam się to udaje.

- Cesar Scapaccio - powiedział stojący na wprost niego mężczyzna. - Pułkownik. Dowództwo Kilifi. Jestem archeologiem.

Oczy Remy'ego zwęziły się jak u kota. - A cóż może archeologa z innej planety sprowadzać do Azreonu? - spytał. - A właściwie w ogóle na Haidrę?

- Ja sporo podróżuję - odparł Scapaccio. - Odwiedzam wiele różnych miejsc wykopalisk, głównie tych, które mają coś wspólnego z mapirenami. Haidra była niegdyś światem mapirenów.

- Trzydzieści tysięcy lat temu - powiedział Remy. - I mieli tu tylko jedną maleńką bazę, gdzieś w okolicach naszej dzisiejszej bazy na Omerze. Z tego co pamiętam, mówiono, że została ona zniszczona strumieniem cząsteczek wystrzelonym gdzieś z orbity, i to tak dokładnie, że został z niej tylko pył. Choć i przedtem niewiele tam tego było. To wcale nie tłumaczy pańskiej obecności tutaj, w Azreonie.

- Mam powody, by wierzyć, że na tej planecie znajdowała się jeszcze jedna baza mapirenów. W samym sercu tego kontynentu.

- W samym sercu! - Remy nawet nie próbował ukryć swego zdumienia. - Ma pan na myśli Syrenę?

- Na terenie, który teraz jest pustynią, zgadza się.

Remy spojrzął z ukosa na Iasusa Fiemme; siocon zachował kamienny wyraz twarzy. Jeden z wierzchowców dosiadanych przez ludzi parsknął głośno.

- Czy bardzo oberwaliście od er'kresha? - spytał Remy. Jego głos brzmiał teraz znacznie łagodniej.

- Straciliśmy czterech ludzi, w tym oficera dowodzącego plutonem. Także nasz lekarz został ranny, ale chyba nic poważnego. Kupcy nie ponieśli zdaje się żadnych strat, cały impet ataku skierowany był na nasze pojazdy. Grupa, która na nas napadła, liczyła sobie około pięćdziesięciu kreshów. Jeśli ma pan ochotę policzyć ilu z nich poległo, to musi pan wrócić do wąwozu.

Spojrzenie Remy'ego powędrowało z wolna z twarzy Scapaccia na karabin sierżanta, potem przesunęło się po postaci kobiety i na dłuższą chwilę spoczęło na potężnej sylwetce optimena. Dokonawszy tej pobieżnej lustracji Remy podniósł wzrok i ujrzał twarz jeszcze jednej osoby. Był nią veich, z którym kilka minut wcześniej rozmawiała Justina Magna.

- To byli er'kresha z jednego z górskich plemion - powiedział veich. - Musieli jechać przed nami, trzymając się z dala od drogi. Nie wiem dokąd mogli się kierować; pewne jest tylko to, że na południe.

- Ja chyba wiem - mruknął Remy. Odruchowo przeszedł na język, którym mówił veich. Justina Magna drgnęła, a spojrzenie, którego nie spuszczała z Remy'ego, nabrało nagle ostrości; ona jedna ze wszystkich obecnych tu ludzi potrafiła zrozumieć o czym mówili.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytała również w języku nie należących do klanów.

Remy błyskawicznie odwrócił się w jej stronę, zaskoczony wypowiedzianymi przez nią słowami. - Kim pani jest? - spytał.

- Justina Magna. Lingwistka. Mam być podobno tłumaczem ekspedycji. Języków Azreonu nauczyłam się w Omerze, od przygodnie napotkanych osób, więc wydawało mi się, że to dobra okazja do pogłębienia wiedzy i wykorzystania jej w praktyce.

Remy przeniósł swoją uwagę z powrotem na Garstona, bardziej po to, by uniknąć przenikliwego spojrzenia kobiety niż dlatego, by miał cokolwiek do powiedzenia sierżantowi.

- To już tyle lat - powiedział tonem przyjacielskiej pogawędki - a pan ciągle jeszcze jest sierżantem.

- A kim jest pan? - odciął się Garston.

Remy wskazał palcem na olbrzyma i zupełnie nie zrażony niemal poprosił: - Niech pan lepiej powie kim jest on.

- Nazywam się Andros - powiedział optimen. Głos miał zaskakująco miękki i melodyjny. Remy przyjrzał mu się uważniej. Mężczyzna miał ponad dwa metry wzrostu i był niezwykle potężnie zbudowany. Karabin maszynowy trzymał tak, jakby to była zwykła zabawka, a przecież każdy przeciętny człowiek powinien się pod jego ciężarem zataczać.

- Nie nosi pan munduru - zauważył chłodno Remy, jakby miało to tłumaczyć pytanie, które skierował przedtem do Garstona.

- Ale jestem żołnierzem - odparł Andros. - Nowej rasy. Produktem genetycznej optymalizacji. Zostałem wyhodowany w sztucznym łożysku i niektórzy uważają, że czyni mnie to bardziej androidem niż człowiekiem, ale mój materiał genetyczny jest pochodzenia ludzkiego,

- Więc prawo nie zabrania już ingerencji w genetykę ludzi? - spytał Remy, choć odpowiedź na to pytanie była zupełnie oczywista.

- Została ona uznana za logiczny krok w rozwoju nowych i bardziej wyrafinowanych jednostek bojowych - wyjaśnił Andros swym melodyjnym głosem, w którym nie sposób było doszukać się nawet cienia ironii.

- A co pan robi tutaj? - spytał Remy.

- Zdobywam doświadczenie - odparł swobodnie optimen. - Jest nas tutaj kilkuset rozrzuconych po całej tej strefie, w tym kilkunastu na samej Haidrze. Ponieważ tylko bardzo niewiele oddziałów pełni w tej chwili służbę liniową, uznano za wskazane przydzielić mnie do tego plutonu.

- Ach, tak - powiedział Remy. Odwrócił się z powrotem do Scapaccia. - Zbierajcie się do drogi; karawana kupców ruszy lada chwila. Nie przypuszczam, żeby były jakieś dalsze kłopoty, ale im szybciej będziemy w Ziaracie, tym lepiej. Tam będziemy mogli przedyskutować waszą wyprawę w głąb Syrenę już bez żadnych przeszkód.

- Według mnie nie powinniśmy słuchać rozkazów tego człowieka - powiedział Garston do Scapaccia. - Prawdę mówiąc, uważam nawet, że powinniśmy go aresztować.

Remy roześmiał się w głos, ale był to śmiech pozbawiony jakiegokolwiek wesołości. - Byłoby to wielkie głupstwo - zauważył. - Przecież jestem wam potrzebny. Nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego jak bardzo. Mogę wam dostarczyć wszystkiego, czego będziecie potrzebowali w Ziaracie, a może nawet poprowadzić was do Syrenę. Oczywiście jeżeli tam właśnie chcecie się wyprawić. No więc jak, chcecie się dostać do Syrenę?

Przy ostatnich słowach wbił wzrok w twarz Scapaccia i wyczytał z niej, że tamtemu rzeczywiście o to chodziło. Co więcej, zależało mu na tym i to bardzo.

- Rozumiem - powiedział sucho Scapaccio - że pańskie usługi są do wynajęcia.

- O, tak - odparł Remy.

4.

Docierające do wnętrza pojazdu promienie słoneczne były znacznie łagodniejsze niż na zewnątrz - niektóre segmenty plastikowej kopuły przepuszczały światło, ale nie były przezroczyste. Zabarwione na złocisty brąz pokrywały twarze podróżujących wewnątrz ludzi żółtawym nalotem.

Każdy pojazd wyposażony był w dwa dwupiętrowe łóżka, po jednym z każdej strony, a przestrzeń u ich wezglowia i nóg zastawiono piramidami skrzyń. Miejsce pod dolnymi

łózkami wykorzystywano do zamontowania odpowiedniej ilości szuflad. Na jednej z prycz spał jakiś mężczyzna; był pod działaniem środków nasennych. Naprzeciwko niego leżał Ramon Delizia i wpatrywał się w czytnik mikrofilmów, prztykając od czasu do czasu w przełącznik obrazu. Kiedy Scapaccio i Remy wdrapali się przez tylną klapę pojazdu, podniósł wzrok.

Remy odwinął płachtę cienkiego materiału, którym przykryto Melcarta i uważnie obejrzał jego zranioną nogę, zaskakująco Delikatnie zaglądając pod prowizoryczny opatrunek.

- Wyjdzie z tego - zawyrokował po chwili. - Będzie mógł tę kulę włożyć do słoika i postawić ją sobie na biurku jako pamiątkę.

Scapaccio odetchnął z ulgą. - To już coś - powiedział. - To już chyba zawsze tak musi być; tylko jeden człowiek potrzebuje operacji i jest nim lekarz. Wątpię, czy ktokolwiek z nas potrafi wyjąć mu tę kulę.

- Wystarczyło poprosić veichów, żeby przysłali tu swego lekarza - powiedział Remy. - Nic innego nie zrobiłem. Pańska tłumaczka mogła zrobić dokładnie to samo.

- Może gdyby przyjechał pan wcześniej, to udałoby się uratować Verdiego - odezwał się Delizia. - Justina Magna nie bardzo kwapiła się do poproszenia veichów o pomoc, kiedy jeszcze żył.

Remy pokręcił przecząco głową. - Karabiny używane przez er'kresha mają duży kaliber i stosunkowo małą prędkość wylotową pocisku. Ich zasięg jest niewielki, ale kula nie musi wcale trafić w jakiś ważny organ, by dokonać nieodwracalnych zniszczeń. Widziałem już ludzi, którzy po postrzale w rękę umierali na skutek szoku. Lekarz miał szczęście. Kula, która go trafiła, pochodziła z fabryk Calvarów. Musiała zostać skradziona lub zrabowana z jakiejś farmy w pobliżu Ziaratu, a potem drogą handlu i wymiany pokonała pół kontynentu i dotarła aż tutaj. Była pewnie ostatnią kulą, jaką er'kresha mieli do tego rodzaju broni.

- I to ma znaczyć, że miał szczęście?

- Gdyby dostał następną, już by nie żył - powiedział Remy.

- Przypuszczam, że z czasem wszyscy er'kresha będą posiadali broń veichów - powiedział Delizia. - Jeżeli veichowie mają fabryki produkujące broń dla sioconów, to sama masowość produkcji doprowadzi do tego, że w końcu ich karabiny będą łatwo osiągalne w całym Azreonie.

- Gdyby banda, która was zaatakowała, była dwa razy liczniejsza i wybrała sobie bardziej dogodną porę - powiedział Remy cierpko - to nie potrzebowaliby wcale broni Calvarów. W tej chwili mieliby już waszą broń: automatyczne karabiny, które wystrzelują

dziesięć pocisków w ciągu jednej dziesiątej sekundy i repetują, zanim ten drugi zdąży mrugnąć, granaty, ciężki karabin maszynowy i diabli wiedzą co jeszcze. Veichowie wykazują o niebo więcej rozwagi niż wy.

Scapaccio szybko wtrącił się: - Jestem zdumiony, że Calvarowie są w stanie utrzymać w ruchu fabryki produkujące broń taką jak pańska - powiedział wskazując na karabin przewieszony przez ramię Remy'ego. - Mówi się, że na tej planecie nie ma żadnych paliw kopalnych od czasu, kiedy mapirenowie wyeksplowali dokładnie wszystkie ich złoża trzydzieści tysięcy lat temu. Sioconi i veichowie muszą podobno opierać całą obróbkę metalu na energii uzyskiwanej ze spalania drewna.

- To prawda - odparł Remy. - Ale zamieszkujących południe siocońskich farmerów udało się namówić do bardzo dla nich opłacalnej uprawy pewnego rodzaju trzciny, której rdzeń dostarcza słodkiego węglowodanu, a z niej samej można uzyskać wysokogatunkowy węgiel drzewny. Coraz większy obszar ziem należących do Ziaratu przeznaczają pod uprawę tej trzciny, ponieważ dzięki radom veichów wydajność ziemi zwiększa się kilkakrotnie. Następnym krokiem będzie wykorzystanie cukrów do produkcji alkoholu mogącego napędzać silniki spalinowe. Być może nie ma tutaj węgla ani ropy, lecz mimo to veichowie są w stanie zbudować w Azreonie wysoko rozwiniętą, techniczną cywilizację, jeśli oczywiście będą mieli na to dość czasu. I swobodę działania.

Scapaccio nie odpowiedział na wyzwanie zawarte w ostatnim zdaniu. Podszedł do wezłowania łóżka, na którym spał Melcart i ze stojącej tam skrzyni wyciągnął butelkę bezbarwnego alkoholu.

- Napije się pan? - spytał Remy'ego.

- Czemu nie? - odparł Remy.

Scapaccio wygrzebał z tej samej skrzyni trzy małe kubki z przezroczystego plastiku i wystudiowanie niedbałym gestem nalał do nich po sporej miarce alkoholu. Podał jeden z kubków Delizii, a drugi Remy'emu, wyciągnął rękę po trzeci, lecz zanim zdążył go podnieść, pojazd zakotłosał się lekko na jakimś wyboju i choć kubek nie przewrócił się, to wylało się z niego sporo płynu. Scapaccio bez słowa uzupełnił miarkę.

- Co pozwala panu przypuszczać, że w głębi Syrenę znajdowała się kiedyś baza mapirenów? - spytał Remy od niechcena.

- Jak pan zapewne wie - zaczął wyjaśniać Scapaccio - z ich bazy na Omerze nie zostało praktycznie ani śladu; nic co można byłoby w jakikolwiek sposób odzyskać. W całym poznanym wszechświecie powtarza się ta sama historia. Można stosunkowo łatwo odkryć, że jakąś planetą władali swego czasu mapirenowie lub cascarenowie, ale to właściwie wszystko

czego można się dowiedzieć. Trzydzieści tysięcy lat to długi okres, a większość znanych nam wykopalisk to pozostałości baz zniszczonych za pomocą bardzo potężnych broni. Tym niemniej wytwory takiej cywilizacji potrafią być bardzo trwałe, oczywiście pod pewnymi względami. Nietrudno znaleźć pozostałości budowli mapirenów, czasami znajduje się także resztki ich maszyn. Metalowe obudowy rdzewieją, ale zachowują swą formę, a tworzywa sztuczne są niemal wieczne, jeśli tylko nie zaatakują ich określone bakterie. Tu i tam odgrzebujemy jakieś pozostałości, które potrafią nam powiedzieć wiele ciekawych rzeczy, a czasami odkrywamy szczątki systemów magazynowania informacji, z których jeszcze dziś można sporo wydobyć. Bardzo rzadko udaje nam się odczytać wszystko, zwykle bardzo niewiele. Ale przy zastosowaniu odpowiednich urządzeń zawsze można się czegoś dowiedzieć.

Większość tego, co znajdujemy, jest zupełnie niezrozumiała; większość tego, co potrafimy zrozumieć, jest bezużyteczna. Ale gdzieś tam znajdujemy coś, co poszerza naszą wiedzę o mapirenach. W czasie wykopalisk prowadzonych na Kilifi wydobyto jeden szczególnie dobrze zachowany dysk informacyjny, który jak się okazało zawiera pewne dane dotyczące, naszym zdaniem, bazy lub jakichś innych instalacji znajdujących się właśnie tu, w Azreonie. Nie jesteśmy tego całkowicie pewni, a odczytane z dysku informacje są bardzo niejasne i wrywkowe, ale doszliśmy do wniosku, że warto je sprawdzić.

- My?

- Ramon i ja. Ramon pochodzi z Pajilli, gdzie ten dysk poddano drobiazgowej analizie.

- Dlaczego mapirenowie mieliby budować bazę w samym środku pustyni? - spytał Remy.

- Wtedy nie było tu pustyni - wyjaśnił Delizia. - Odkryliśmy to po przylocie na Haidrę. Pustynia wydaje się być tworem ludzkim, to znaczy istot lemuroidalnych.

- A to wszystko? - spytał Remy, wskazując na wnętrze pojazdu. - Dlaczego nie kazaliście się Dowództwu Haidry przewieźć na miejsce samolotami?

Scapaccio zaśmiał się krótko. - Badania archeologiczne interesują ich bardzo mało albo wręcz wcale. Odmówiono nam jakiegokolwiek poważniejszego wsparcia zarówno w przygotowaniach do tej wyprawy, jak i w trakcie jej trwania. Całą ekspedycję musieliśmy sfinansować sami. Jediną rzeczą, jaką Dowództwo Haidry zrobiło, było wydanie pozwolenia plutonowi żołnierzy, by nas eskortował. Teoretycznie nazywamy się ekspedycją wojskową, ale w praktyce jest to z każdego punktu widzenia przedsięwzięcie czysto prywatne. Zna pan wojsko, sierżancie Remy... Czy może pan sobie wyobrazić, by Dowództwo Haidry zdecydowało się na pełną współpracę w realizacji takiego zamierzenia? Zdobyli się jedynie

na obietnicę, że jeżeli natkniemy się na coś o jakimkolwiek znaczeniu militarnym, to możemy wezwać ich na pomoc. W jednym z wozów mamy nadajnik, który za pośrednictwem satelity komunikacyjnego może w każdej chwili przesłać sygnał do Dowództwa. Na tym skończyła się ich hojność. Jestem pewien, że zna pan podobne historie, sierżancie.

- Nie jestem sierżantem - odparł Remy. - Już od dawna. Może pan zwracać się do mnie po nazwisku. Nie mam żadnego stopnia.

Scapaccio zaczął się tłumaczyć, ale jego przeprosiny nie brzmiały zbyt szczerze. Zapadła chwila niezręcznej ciszy, którą przerwał Ramon Delizia:

- Czy ma pan zamiar poprowadzić nas w głąb Syrenę? - spytał.

- Owszem - odpowiedział Remy. - Ale nie przyjmuję zapłaty w wojskowych asygnatach. Jako zaliczkę wezmę karabiny poległych w czasie napadu er'kresha i dwie skrzynki amunicji do każdego z nich. Dla dobrej miary możecie dorzucić jeszcze skrzynkę granatów.

Scapaccio spojrział mu w oczy. - Ten sprzęt nie należy do mnie - zauważył trzeźwo. - Jest własnością armii.

- Tak jak i ja nią byłem - odparł Remy. - Kiedyś. Cóż to u licha? Jest pan w końcu pułkownikiem czy nie? A w dodatku to przecież pańska ekspedycja. Garstonowi to się oczywiście nie spodoba, więc niech go pan wyśle do diabła. Co on może zrobić? Wnieść po powrocie do bazy oskarżenie przeciwko panu?

- Powiedział pan "jako zaliczkę" - wtrącił się Delizia. - Czy to znaczy, że będzie jeszcze jakaś zapłata główna?

- Może - odparł spokojnie Remy. - To zależy od tego, jak długo będziecie korzystać z moich usług.

- A jaką jeszcze zapłatę pan przyjmuje? - zapytał Scapaccio.

- Zawsze mogę wziąć jeszcze kilka karabinów - powiedział Remy. - Może także pojazdy. I na pewno konie. Pomyślę o tym, kiedy zaistnieje taka potrzeba.

- Nie wątpię - mruknął Delizia.

- No więc jak? Dogadaliśmy się? - spytał Remy.

Scapaccio wahał się jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową. Remy oddał mu plastikowy kubek, podszedł do klapy zamykającej tył pojazdu i bez najmniejszego wysiłku wyskoczył przez nią na zewnątrz. Stał na poboczu drogi czekając, aż pojazd odjedzie dalej i już po chwili stracił go z oczu.

Scapaccio spojrział pytająco na Delizię.

- Nie wiem - powiedział mały archeolog. - Byłoby szaleństwem ufać mu tylko dlatego, że jest człowiekiem. Ten facet może się okazać bardziej niebezpieczny niż cała kohorta

veichów. Ale być może jest w stanie doprowadzić nas bezpiecznie tam, gdzie Garstonowi nigdy by się to nie udało. Tam... i z powrotem.

- A poza tym - mruknął Scapaccio - na pewno nie darzy miłością Dowództwa Haidry; a oni nie bardzo kochają nas.

Na to Delizia nic nie odpowiedział; prawdę mówiąc, ta uwaga wprawiła go w wyjątkowo nieprzyjemny nastrój. Przesunął spojrzenie swoich ciemnych oczu na pogodną twarz nieprzytomnego lekarza, po czym położył się na wznak i zaczął wpatrywać się w drewniane listewki górnego łóżka tak intensywnie, że bez trudu można byłoby uwierzyć, że on także jest nieprzytomny.

Doon podprowadził wierzchowca i Remy ponownie wskoczył na siodło. Ruszył do przodu, by przyłączyć się do Madoca i Iasusa Fiemme jadących kilkadziesiąt metrów przed pierwszym z pojazdów. Po drodze poprawił chustę i osłonę oczu, starannie zabezpieczając się przed promieniami wschodzącego powoli słońca.

- Czego oni tu szukają? - spytał ochryłym głosem Madoc. Usta i gardło miał zupełnie wyschnięte.

- Skarbu zakopanego w samym środku Syrenę - odparł Remy. - A przynajmniej tak utrzymują. Chcą, żebyśmy poprowadzili ich przez pustynię. Powiedziałem, że to zrobimy.

- Dlaczego? - spytał Doon.

- Bo i tak jedziemy w tym kierunku, a także dlatego, że broń znajdująca się na tych wozach może nam się bardzo przydać, kiedy zabierzemy się do rozświetlenia czcicieli Belle Yelli.

- Oni oczywiście nic o nim nie wiedzą? - domyślił się Madoc.

Remy nie trudził się nawet, by odpowiedzieć. - Zastanawia mnie jednak - powiedział zamiast tego - co tutaj robi Garston. Według Scapaccia Dowództwo Haidry uznało pomysł tej ekspedycji za zupełne szaleństwo. Podobno nawet nie chcieli słyszeć o wsparciu jej w jakikolwiek faktyczny sposób czy o udostępnieniu odpowiedniego wyposażenia. Więc dlaczego dali mu pluton żołnierzy? Musieli mieć jeszcze jakiś inny powód, by wysłać tu swoich ludzi.

- Myślisz, że chodzi o nas? - spytał Madoc.

- Jest nas tu nie więcej niż dziesięciu. Za mało, żeby warto było się kłopotać. Nie, mam wrażenie, że przyjechali raczej rozejrzeć się po Ziarnie i okolicach. Zebrać informacje. Może chcą się po prostu dowiedzieć, co porabiają veichowie zamieszkujący tę część świata...

- A jeżeli nie... - odpowiedział Doon.

- Od pacyfikacji upłynęło już sporo czasu. Dowództwo nie bardzo lubi, kiedy jego oddziały zaczynają się nudzić. Prawdopodobieństwo, że wojna wróci w te rejony, jest prawie żadne, a więc Haidra chyba już na dobre zmieniła się w ustronne zacisze. W ciągu ostatnich siedmiu lat na orbitę wokół nas nie wchodził najprawdopodobniej żaden statek wojenny. Żołnierze kompletnie nie mają co robić i nic nie wskazuje na to, by ten stan miał się kiedykolwiek zmienić. Istnieje zatem możliwość, że Dowództwo zamierza wywołać jakąś niewielką wojnę, taką tylko, by zająć czymś ich rozpróżniane umysły. Istnieje możliwość, że planują zająć Azreon, bez żadnego konkretnego powodu, ot tak, żeby znaleźć sobie jakieś zajęcie. Taka mała gra, mająca dostarczyć ludziom rozrywki. Mogli przysłać tutaj Verdiego, żeby zebrał wszystkie odpowiednie informacje, szczególnie takie, których nie są w stanie dostarczyć satelity szpiegowskie.

Zapadła cisza, a Remy zagłębił się w rozmyślaniach nad dalszymi konsekwencjami tej możliwości. Gdyby armia wylądowała w Azrenie - bez względu na to z jakiego powodu - to zaciszny zakątek, jaki zbudował sobie w organizacji Yeremy przestałby istnieć. Oznaczałoby to dla niego i dla wszystkich pozostałych najemników konieczność dokonania wyboru między schronieniem się na pustkowiach albo internowaniem.

Po chwili odłożył jednak to zagadnienie na bok i zwrócił się do Iasusa Fiemme:

- Wiesz coś na temat gór w centrum Syrenę? - spytał. Siocon potrząsnął przecząco głową.

- A cóż o nich można wiedzieć? Poza er'kresha nikt tam przecież nigdy nie był.

Remy wzruszał ramionami. - Jeżeli w ogóle wiadomo cokolwiek na ich temat, to uczeni Calvarów będą wiedzieli. Od kiedy przyjechali tu po raz pierwszy prowadzą swoje własne, intensywne prace archeologiczne.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytał Doon.

- Może i nie - odparł Remy. Odjechał od towarzyszy i zaczął przesuwając się wzdłuż kawalkady pojazdów, kierując się ku zamykającej ją karawanie Calvarów.

Ostatni wóz ekspedycji prowadziła Justina Magna. Już z daleka dostrzegła zbliżającego się Remy'ego i dała mu ręką znać, żeby się zatrzymał. Zawrócił swego "konie" i zrównał się z nią.

Nos i usta osłaniała jej żółta apaszka, bardzo nieskuteczny odpowiednik maski noszonej przez niego i wszystkich tubylców.

- Jak pan sobie radzi z tym koszmarnym pyłem? — zawołała.

Pokazał jej, w jaki sposób umocowana była jego własna maska.

- To świństwo jest pewnie trujące - powiedziała.

- Ma wysoką zawartość metali - odparł. - Może zabić, jeżeli się człowiek za dużo go nałyka, a tak czy inaczej jest bardzo szkodliwy. Niech pani schowa się do środka, a wóz każe poprowadzić jednemu z żołnierzy. Oni za ponoszenie ryzyka biorą pieniądze.

Machnięciem ręki zbyła tę propozycję, a po chwili spytała:

- Czy ma pan zamiar rozmawiać z veichem prowadzącym karawanę?

- Być może - odparł ostrożnie. Nie miał żadnego konkretnego powodu, by uchylać się od odpowiedzi na to pytanie, ale w pierwszym odruchu zawsze unikał zdradzania swoich zamierzeń.

- Czy to znaczy, że mówi pan także językiem klanów?

- Znam mowę klanów - powiedział spokojnie, kontrolując ton swojego głosu. - Dlaczego pani o to pyta?

- W Omerze niełatwo jest rozmawiać z członkami klanów w ich własnym języku - wyjaśniła. - Lubią trzymać nas na dystans. To taka ich metoda pokazania swej wyższości, pomimo że to my jesteśmy górą. Zastanawiałam się po prostu, czy tutaj wygląda to inaczej.

- Nie - odparł. - Tutaj wygląda to dokładnie tak samo.

Kobieta spojrzała na niego przenikliwie. - Więc jaką pan właściwie zajmuje tutaj pozycję? Członka klanu przez adopcję?

- Można to i tak nazwać - odpowiedział, z rozmysłem nie posuwając się dalej w swoich wyjaśnieniach.

Kobieta nie spuszczała z niego badawczego spojrzenia, a na jej twarzy pojawił się cień drapieżnego uśmiechu.

- A w jaki sposób uprawia pan seks, Remy? - spytała nagle.

Zaskoczyła go tym, ale bez trudu udało mu się zachować poprzedni wyraz twarzy.

W końcu już prawie dziesięć lat nie mógł pan widzieć tutaj ludzkiej kobiety - ciągnęła. - Sioconki są nieodpowiednio do tego zbudowane, więc musiał pan to robić z veiszkami. Nie należąca do klanu veiszka, pozbawiona protektoratu pójdzie pewnie do łóżka z kimkolwiek, szczególnie z kimś, kto potrafi rozmawiać jak równy z równym z Calvarami. A może Ziarat ma do zaoferowania jakieś znacznie bardziej egzotyczne rozkosze?

Remy wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

- A pani z kim sypia? - odciął się spokojnie. - Ze Scapacciem czy Delizią? A może z Androsem?

Wybuchnęła śmiechem, uchylając się w ten sposób przed zawartą w jego słowach obelgą i ani na chwilę nie tracąc swojego opanowania.

- Delizią jest pacyfistą - odparła lekko. - Ja nie znajduję uznania w jego oczach. To samo odnosi się do Garstona, to znaczy, że nie cieszę się jego uznaniem... Bo pacyfistą to on nie jest w najmniejszym nawet stopniu.

- W dalszym ciągu pozostaje mnóstwo możliwości - zauważył Remy.

- Lubię mieć mnóstwo możliwości - powiedziała Justina Magna. - Pan także nie podoba się Garstonowi, ale nie przejmowałabym się tym. Mnie pan się chyba podoba.

- To świetnie - odparł Remy. - Tym także obiecuję się nie przejmować.

Zawrócił swego wierzchowca i odjechał w kierunku karawany Calvarów.

Kiedy zatrzymali się na dzienny odpoczynek, na południowym horyzoncie wyraźnie rysowała się już wstążka zieleni znaczącej granice Syrenę. Wiał chłodny wiatr ze wschodu, gdzie także rozciągały się tereny porośnięte zielenią, ukrytą jednak teraz przed ich wzrokiem za pasmem wysokich wzniesień. Na zachodzie pustynia ciągnęła się aż do samego horyzontu, a jej monotonię przerywały tylko plamy karłowatych zarośli i cętki ciemnozielonej trawy stanowiącej najbardziej rozpowszechnioną tutaj roślinność. Delikatny, szary piasek uformowany został przez wiatr w okazałych rozmiarów wydmy i wszędzie tam, gdzie jego warstwa była wystarczająco gruba, trawa rozrastała się nieco bujniej, pokrywając powierzchnię splątanymi liszajami kolczastych liści.

Remy schronił się w skąym cieniu jednego z pojazdów i zabrał do jedzenia posiłku złożonego z zimnego mięsa i kruszącego się twardego chleba, popijanego wodą z menażki. Wszyscy członkowie ekspedycji Scapaccia zdecydowali się pozostać w swoich pojazdach chronionych przed słońcem przez osłony pokrywające przezroczyste kopuły ich dachów, ale Remy'emu bardziej odpowiadało pełne słońce niż duszny upał wnętrza wozów.

Miał właśnie rozwinąć swoje posłanie, by położyć się na południowy spoczynek, kiedy zbliżył się Ramon Delizia.

Przystanął obok Remy'ego i spojrzał w kierunku pustyni. - Czy zdołamy ją przebyć - spytał.

- Jeżeli tylko będziecie chcieli - powiedział Remy.

- Pora roku jest właśnie odpowiednia. Zanim dotrzemy do centrum Syrenę, w górach powinny spaść deszcze. To zapełni rzeki biorące na tym terenie swój początek, a nam dostarczy wszystkiego, co trzeba, by wrócić stamtąd nie umierając po drodze z pragnienia. Między Ziaratem a górami są tylko dwie albo trzy stałe oazy. Er'kresha poruszają się po tym odludziu bez specjalnych kłopotów, ale oni są przyzwyczajeni do pyłu, a wy nie.

Delizia skinął głową. - Wiem coś na temat tego pyłu - powiedział.

To niech mi pan powie - mruknął Remy. - Bo ja nie wiem nic.

- Uważamy, że Azreon został zniszczony przez wojnę - powiedział powoli Delizia. - Oczywiście wojnę między mapirenami i cascarenami.

- Chce pan powiedzieć, że to właśnie wtedy wewnątrz kontynentu zamieniło się w pustynię?

- Właśnie. Ta równina już nigdy potem nie przyszła do siebie. Ziemi raz zmienionej w piasek i pył nie sposób odzyskać. W rejonach przybrzeżnych i górskich sprawa przedstawia się nieco inaczej. Ale Syrenę wygląda dzisiaj niemal zupełnie tak samo, jak musiała wyglądać dwadzieścia pięć tysięcy lat temu. Wcześniej przez tysiące lat nie mogło tu być nawet trawy. Nie mogło tutaj żyć nic - absolutnie nic. Cascarenowie zasypali wewnątrz kontynentu środkami radioaktywnymi o krótkim czasie połowicznego rozpadu. Nie bombami - po prostu opylili atmosferę radioaktywnym pyłem. W taki właśnie sposób udało im się zlikwidować drugą bazę mapirenów.

- Dlaczego nie zniszczyli jej strumieniem cząstek, tak jak to zrobili w przypadku tej drugiej? - spytał Remy.

- Na ten temat można snuć jedynie domysły - odparł ostrożnie Delizia.

- Czy wiadomo już kto wygrał tamtą wojnę? - spytał Remy. - Dziesięć lat temu nie wiadomo nawet tego.

- Podejrzewamy, że zwyciężyli cascarenowie - powiedział Delizia. - Ale nie sposób być tego pewnym. Oba gatunki zniknęły zupełnie nagle. Nie wiemy dlaczego, ale przeważa opinia, że cascarenowie zniszczyli mapirenów w wojnie tak totalnej, że sami ponieśli straty nie do odrobienia. Wygląda na to, że po prostu nie byli w stanie przeżyć swego zwycięstwa. Ich wojna trwała dobrze ponad tysiąc lat. Istnieje przypuszczenie, że jedna ze stron pozbyła się w końcu wszelkich hamulców, doprowadzając do czegoś w rodzaju sądnego dnia. Musiało to wyglądać mniej więcej tak, jak na obecnym etapie wygląda nasza wojna z veichami.

Remy spojrział na małego mężczyznę spod przymrużonych powiek przypominając sobie, że Justina Magna określiła go mianem pacyfisty.

- Myślałem, że wygrywamy wojnę z veichami - powiedział.

- Owszem. Ale bardzo powoli. Przy obecnym tempie może się to ciągnąć jeszcze całe setki lat, a przecież ciągle następuje eskalacja zmagania. Ciągłe poszukujemy jakiejś nowej możliwości przyspieszenia naszego zwycięstwa, a veichowie nie przestają produkować nowych broni, które to zwycięstwo ponownie odsuwają w czasie. Widział pan Androsa, więc wie pan, jaka jest mentalność prowadzących tę wojnę. Gdybyśmy potrafili produkować takie stworzenia w fabrykach, miliardami, to nikt by się przed tym nie zawahał. Już w tej chwili

intensywnie poszukujemy broni biologicznych mogących wyniszczyć wiechów, a nie stanowiących jednocześnie zagrożenia dla ludzi... Co nie jest wcale takie łatwe, biorąc pod uwagę, jak bardzo nieznacznie różnią się między sobą nasze fizjologie.

- Rozumiem, że pańska własna mentalność nie bardzo akceptuje konieczność prowadzenia tej wojny? - powiedział Remy.

- A pańska? - odciął się Delizia.

- Sposób, w jaki toczono wojnę na Haidrze pozbawił ją w moich oczach jakiegokolwiek sensu - przyznał Remy. - W najmniejszym stopniu nie czułem się jej potrzebny, a już z całą pewnością ja jej nie potrzebowałem. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli sam zacznę kierować swoim własnym życiem.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Delizia powiedział:

- Mnie samego napiętnowano mianem czegoś w rodzaju dezertera. A nawet jeszcze gorzej. Mój trening poszedł na marne; reakcje lękowe nie chciały ulec wytłumieniu. Łatwo ogarnia mnie strach.

Remy nic nie odpowiedział. Sam doszedł już do tego wniosku i dlatego wyznanie było nie tylko zbędne, lecz także w złym guście.

- Czasami zastanawiam się - powiedział Delizia - czy generalnie rzecz biorąc trening jest rzeczywiście tak bardzo skuteczny. I co się dzieje, kiedy wpojone w trakcie jego trwania metody poskramiania strachu zawodzą.

Remy w dalszym ciągu milczał. Ale jego pamięć posłusznie podsunęła mu cały cykl obrazów. Obrazów człowieka nazwiskiem Pavese, który uległ prawdziwemu załamaniu. Remy znał go całe lata i nigdy nie dostrzegł u niego najmniejszych oznak strachu czy niepokoju. Prawdę mówiąc, w każdym przejawie swego istnienia człowiek ten wydawał się niezwykle opanowany i wykazywał zdumiewająco zimną krew. Przez krótką kampanię wojenną, która nastąpiła bezpośrednio po inwazji na Haidrę, przeszedł bez jednej rany i do pacyfikacji przystąpił równie bezwzględnie jak wszyscy pozostali oficerowie jego rangi. Przerażliwy strach ogarnął go nagle i bez jakiegokolwiek ostrzeżenia w momencie, kiedy otworzył łomem dużą skrzynię owoców i na dłoń wypełził mu pająk. Wyniesiono go z pianą płynącą z bełkoczących coś ust.

Nie był to nawet jakiś wyjątkowo duży pająk.

Od tamtej pory Remy nigdy nie usłyszał ani słowa o tym zajściu, nigdy też nie ujrzał już Pavese. Wiedziano, że takie rzeczy się zdarzają, ale panowała powszechna opinia, że zdarzają się niezwykle rzadko. Raz na milion. Ale kiedy zsumowało się liczbę wszystkich ludzi

służących w wojsku - tak jak to kiedyś zrobił Remy - to prawdopodobieństwo to przestało być tak szokująco małe.

- Niech pan się lepiej prześpi - powiedział Remy wymijająco, kiedy obrazy podsuwane mu przez pamięć zniknęły. - Do Ziaratu jest ciągle jeszcze spory kawałek drogi.

5.

Yerema siedział wyprostowany sztywno w swoim wysokim krześle, patrząc swemu gościowi prosto w oczy. Potrafił sobie wyobrazić jakie myśli przebiegały przez głowę wojownika, kiedy Calvarowie powiedzieli o istnieniu Yeremy. Na klanie Syroleth spoczywała odpowiedzialność za obronę Haidry przed ludźmi, a jednak Haidra upadła. Według członka klanu zamieszkującego inną planetę, klan Syroleth nie powinien już zatem istnieć. Yerema nie był zobowiązany do tego, by honorowo umrzeć w obronie swego świata, ale nie wolno mu było zachować swej klanowej tożsamości, nawet w stosunku do samego siebie. Na Haidrze nie było już żadnego zajęcia godnego członka klanu wojowników i klan Syroleth powinien być zostać wchłonięty przez Calvarów. Tymczasem Yerema siedzi tu oto przed nim, zachowując swój status wojownika, roztaczając protektorat nad prawie tysiącem innych, z których ponad połowę stanowią sioconi. Była to sytuacja, która musiała po prostu przechodzić wszelkie wyobrażenia tego drugiego wojownika i być mu zupełnie nieznośną. A jednak ten drugi zjawił się tutaj, skorzystał z gościnności Yeremy i szukał jego pomocy.

Gość ubrany był w czarny mundur z żółtymi galonami, strój silnie kontrastujący z nieskazitelną bielą tuniki Yeremy. Nazywał się Zemek, pochodził z klanu Cagiriama i jeszcze kilka dni wcześniej był oficerem statku veichów. Nowe otoczenie, w którym się teraz znalazł, było mu najwyraźniej zupełnie obce. Nowością były dla niego zapachy i sama barwa światła. Prawie nie tknął podanego posiłku, a wino sączył z ostrożnością kogoś, kto jest przekonany, że zostało ono zaprawione jakimś narkotykiem. W oczach czaiła się wrogość, której nie potrafił, lub też nie chciał, całkowicie ukryć.

- Jak pan wie - powiedział - na jednym z zewnętrznych satelitów tego układu znajduje się stacja przekaźnikowa, zdolna retransmitować wiadomości nadawane z powierzchni tej planety. Calvarowie używali jej do przesyłania informacji dotyczących poczynań ludzi na tym świecie.

- Wiem o tym - potwierdził Yerema. - Obawiam się jednak, że moi przyjaciele nie uprzedzili mnie o możliwości pańskiej wizyty, ani też nie zaznajomili mnie z powodem, dla którego jest pan tutaj. Oni są z natury bardzo dyskretni.

Tymczasem Yerema doskonale wiedział, że starszyzna Calvarów miała równie mało informacji na ten temat jak on sam. Wiadomość, która sprowadziła tutaj Zemaka, choć wysłana z Ziaratu, musiała pochodzić z Omeru. W Omerze wojna ciągle jeszcze trwała, mimo iż rzadko przybierała postać prawdziwych walk. Veichowie ujeli tam swą wrogość do ludzi w sprawne formy organizacyjne i wykorzystywali każdą szansę, by im tę wrogość okazać. Mieli oczywiście swoich sprzymierzeńców w Ziaracie, ale byli nimi głównie młodszy członkowie klanu Calvarów. Starsi prowadzili zupełnie inną grę - obrali drogę dyplomacji. Ten kto przesłał informację, musiał to zrobić w zupełnej tajemnicy bez porozumienia nawet ze starszyzną swego - klanu. Naturalnie Calvarowie nie mieli ochoty zdradzić się z tym przed Zemakiem, podobnie zresztą jak Yerema.

- Zabrałem ze sobą tylko trzech ludzi - ciągnął Zemak. - Zmuszeni byliśmy do użycia stateczku dostatecznie małego, by nie został wykryty przez satelity komunikacyjno-szpiegowskie ludzi. Na szczęście Haidra uważana jest za planetę o niewielkim znaczeniu i strzeżona jest bardzo słabo. Udało mi się wylądować wśród wzgórz na wschód od Ziaratu i to zupełnie niepostrzeżenie. To, czy równie niepostrzeżenie uda nam się wrócić, nie ma żadnego znaczenia, jeśli tylko zdołamy przekazać informacje tą samą drogą, którą Calvarowie nas tu wezwali.

- Oczywiście - odparł Yerema uprzejmie.

- Tymczasem potrzebuję więcej ludzi - mówił dalej Zemak. - Powiedziano mi, że pan może mi ich dostarczyć. Chodzi mi o wyszkolonych, zaprawionych w walce żołnierzy. Oczywiście mam na myśli zaprawionych w walce veichów.

- Pod moim dowództwem mam wielu zaprawionych w walkach wojowników - potwierdził Yerema. - Strzeżemy karawan Calvarów, transportujących towary przez tereny pustynne.

- Mówiono mi - powiedział Zemak z wyraźnym niesmakiem - że pod pańskim dowództwem znajdują się także ludzie.

- Zaledwie kilku - przyznał Yerema. - Kilku dezertersów z armii stacjonującej w Omerze. Uważałem, że rozsądniej będzie przyjąć ich pod swe skrzydła, niż dopuścić do tego, by zmienili się w bandę awanturników.

Zemak uznał najwyraźniej ten temat za zupełnie nieodpowiedni do jakiegokolwiek dyskusji i skomentował go jedynie niechętnym ruchem ręki.

- Żaden człowiek nie może się dowiedzieć o czym tu rozmawialiśmy - powiedział. - Jest zupełnie możliwe, że wojna powróci w te rejony i że Haidra stanie się terenem największej batalii, jaką kiedykolwiek stoczyły między sobą nasze rasy.

Ta planeta nie ma żadnego znaczenia - powiedział Yerema z gestem dezaprobaty obliczonym na sprowokowanie gościa. - Dlaczego ktokolwiek miałby walczyć o jej utrzymanie?

- Dotarły do nas informacje, że ludzcy archeolodzy odkryli dowody potwierdzające istnienie na tym kontynencie pozostałości dawnej bazy mapirenów. Dwóch z nich zjawilo się ostatnio w Haidrze z zamiarem odkrycia całej prawdy. Samo w sobie znaczy to bardzo niewiele i ludzkie władze wojskowe uważają całą tę sprawę za dość nieistotną. Ale w połączeniu z informacjami, jakimi dysponują uczeni Calvarów, sprawa ta może okazać się wcale nie taka błaha. Na fotografiach satelitarnych nie ma nawet śladu tej bazy. Co więcej, na tych samych fotografiach nie ma żadnych śladów wskazujących na to, że teren, na którym ta baza została założona, ucierpiał kiedykolwiek na skutek bombardowań. Najwidoczniej stacjonujące w Azreonie siły mapirenów zostały zniszczone za pomocą pyłu radioaktywnego, pyłu, który oczywiście już dawno temu uległ całkowitemu rozpadowi. Nasz informator wyciąga stąd wniosek, że baza ta mogła przetrwać aż do naszych czasów w stanie niemal nienaruszonym. Jeżeli - jak na to wygląda - znajduje się ona pod ziemią, to zachowała się zapewne niewspółmiernie lepiej niż jakiegokolwiek pozostałości po mapirenach odkryte na terenie całej zbadanej Galaktyki.

- I uważa pan, czy też pańscy zwierzchnicy, że informacje, jakie być może uda się uzyskać w trakcie badań nad szczątkami tej bazy mogą mieć ogromne znaczenie militarne.

- Istnieje taka możliwość - potwierdził Zemak. - Ludzie zdają się być niezbyt zainteresowani tą bazą, bo niemal zupełnie nie udzielili pomocy człowiekowi, który przyjechał tu na jej poszukiwania. Powodem takiego ich stosunku do całej sprawy może być to, że wiedzą znacznie mniej niż my, albo też to, że wiedzą więcej. Nie sposób tego ustalić. Ale ryzyko związane z dopuszczeniem do dokonania przez nich jakichś odkryć byłoby dla nas zbyt wielkie.

Posiadane przez was dowody zdają się być bardzo skromne - zauważył Yerema.

- Planeta, na której archeolog Scapaccio odkrył pozostałości wskazujące na istnienie tej bazy, była niegdyś, podobnie jak Haidra, światem kontrolowanym przez veichów. W dalszym ciągu zamieszkują ją nasi osadnicy, a kilku z nich pracowało nawet na terenie prowadzonych przez niego wykopalisk. Uważamy, że "wiemy znacznie więcej na temat mapirenów niż ludzie i że potrafimy odczytać więcej danych zawartych na znalezionym przez Scapaccia

dysku. Jeżeli nasza interpretacja tych danych jest prawidłowa, to baza w Azreonie powinna dostarczyć jakichś niesłychanie ważnych informacji. Nie marny niestety żadnej możliwości zdobycia co do tego absolutnej pewności. Być może to właśnie ludzie prawidłowo odczytali to, co my zinterpretowaliśmy błędnie, a być może to oni nie zdają sobie sprawy ze znaczenia swego znaleziska. Może być i tak, że po prostu nie są świadomi implikacji, o których tu rozmawiamy. Ale tak czy owak istnieją powody, by uważać, że cała ta sprawa ma poważne znaczenie.

Zemak nie miał najwyraźniej zamiaru wyjawić niczego więcej, a ostrożność, z jaką dobierał słowa, była celowo obraźliwa. Ale Yerema musiał przyznać, że świadczyła ona tylko o jego trafnym sędzi. Zemak nie ufał Yeremie.

- Dam panu tylu żołnierzy, ilu będzie pan potrzebował - powiedział Yerema spokojnie. - Sam obejmę nad nimi dowództwo.

- Dziękuję - odparł wysłannik klanu Cagiriama. - Lojalni wojownicy są w dalszym ciągu potrzebni na Haidrze.

Choć nie położył najmniejszego nawet nacisku na słowo "lojalni", Yerema nie miał żadnych trudności z odczytaniem zamierzonej zniewagi. Wstał i odprowadził swego gościa do drzwi, gdzie pożegnał go z całym należnym ceremoniałem, po czym wrócił do pokoju, do oczekującej już tam Valli.

- A więc mimo wszystko wojna wraca na Haidrę - powiedziała Valla.

Jego jasne oczy spojrzały na nią intensywnie spomiędzy płaszczyzn gładko wyszczotkowanego, białego futra.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - powiedział miękko - żeby to nie nastąpiło.

- To już się stało - odparła bez osłonek. - W Azreonie zjawili się ludzie, - a teraz przybyli tu także wojownicy z innej planety. Ziarat nie może już trzymać się na uboczu. A może masz zamiar zwrócić się przeciwko swoim rodakom, tak jak to zrobił Remy?

Po chwili zupełnej ciszy Yerema powiedział:

- Jeżeli to będzie konieczne, tak właśnie zrobię. W Ziaracie nie ma wojny. Tutaj - uderzył się w pierś ponad sercem - wojna się skończyła. Jeżeli jestem winien komuś lojalność, to nie Zemakowi, lecz raczej Remy'emu. Czy potrafisz to zrozumieć?

- Potrafię zrozumieć c i e b i e - odparła. - Ale ilu nie należących do klanów, którzy przyjmują protekcję twego imienia, towarzyszyć ci będzie w zdradzie?

- Zdradzie? - powtórzył cicho bez gniewu czy wyczuwalnej w głosie goryczy. - To nas zdradzono. Nigdy o tym nie zapomnij. Wiąże nas teraz inna lojalność. Lojalność względem

starszyny Calvarów... i Remy'ego. i nadziei, że poza i ponad tą bezsensowną wojną ktoś gdzieś przeżyje. Może i nie jesteśmy w stanie ocalić Ziaratu... ale ktoś gdzieś musi coś ocalić.

- Tym niemniej byłoby rozsądnie nie ufać swoim własnym protegowanym bardziej niż oni ufają tobie.

Yerema skinął powoli głową. - A w końcu - powiedział - może Zemek tam nic nie znajdzie. Może ta baza w samym sercu Syrenę to tylko zwykła fatamorgana... wymysł wyobraźni pobudzonej fałszywą interpretacją informacji, które miały trzydzieści tysięcy lat na to, by ulec zniszczeniu i zmienić swe znaczenie.

A jednak sam jakoś w to nie wierzył.

Remy przyprowadził Scapaccia i członków jego ekspedycji do swego domu. Poleciał swoim siocońskim służącym, by zajęli się potrzebami gości i wyszedł. Na ulicy dał Doonowi i Iasusowi Fiemme szczegółowe dyspozycje co do sposobu rozłokowania pojazdów i zwierząt ekspedycji, pomocy lekarskiej, jakiej należało udzielić

Julianowi Melcartowi i zakwaterowania żołnierzy Garstona, po czym odciągnął na bok Madoca i polecił mu jak najdyskretniej przekazać Yeremie wiadomość o tym, co się zdarzyło. Nakazał mu także, aby po wykonaniu tego zadania zaczął niezwłocznie formować oddział mający towarzyszyć ekspedycji Scapaccia w głąb Syrenę, a składający się wyłącznie z ludzi. Dopilnowawszy tych wszystkich szczegółów wrócił do swoich pokojów, by wykąpać się i przygotować do pierwszego od ładnych kilku dni przyzwoitego posiłku, jaki on i jego goście mieli spożyć. Stół Remy'ego zastawiono w głównej mierze daniami podawanymi w domach ziarackich veichów. Przyrządzono je z miejscowych produktów tak, by jak najdokładniej odpowiadały zwyczajom i tradycjom klanów zamieszkujących ich ojczysty świat. I tylko zachowanie osób biorących udział w posiłku jaskrawo odbiegało od reguł etykiety przestrzeganej przez veichów. Scapaccio i Justina Magna w pewien dość szczególny sposób przesadnie uzewnętrzniali swoje zmanierowanie, jakby po to, by dobitniej wyrazić swój bunt przeciwko temu zalewowi veichianskich wpływów.

- Ma pan bardzo ładny dom - zauważył Scapaccio. - W porównaniu z tym, co widzieliśmy na przedmieściach, a także wewnątrz murów miasta, jest to niemal pałac. Jak na ziarackie stosunki musi pan być bogatym człowiekiem. Niezupełnie tego spodziewałem się po dezterterze, który zarabia na życie strzeżeniem handlowych karawan veichów.

- Wszystkie bogactwa Ziaratu i jego protektoratów kontrolowane są przez Calvarów - odparł obojętnym tonem Remy. - Oni hojnie wynagradzają tych, którzy są im niezbędni do prowadzenia interesów.

- Tego właśnie nie mogę zrozumieć - nie dawał za wygraną Scapaccio. - Dlaczego właściwie jest pan im tak niezbędnym?

- Dobrze wyszkolonych żołnierzy jest tu bardzo niewiele. Szczególnie takich, którzy potrafiliby wydawać rozkazy. Absolutnie wszyscy weichowie należący do organizacji Yeremy są nie należącymi do klanu wasalami Syrolethów, którzy przybyli tu niegdyś z Omeru. To przeważnie dobrzy weichowie i do tego zdolni, ale reguły rządzące militarnym i społecznym systemem weichów nie dopuszczają możliwości awansowania ich na jakiegokolwiek bardziej odpowiedzialne stanowisko. Według wyznawanego przez nich światopoglądu służba pod rozkazami siocona jest po prostu nie do pomyślenia, ale z ludźmi jest inaczej. Ponieważ toczymy z nimi wojnę - tylko z tego powodu - zyskaliśmy status im równych. Musieli nam to przyznać, ponieważ w przeciwnym razie nie byłoby w stanie wytłumaczyć jak to się dzieje, że walczyliśmy z nimi mniej więcej jak równy z równym. Kiedy więc Yeremie udało się już przyzwyczaić Calvarów i swoich własnych ludzi do myśli, że walczyć można nie tylko przeciw ludziom, ale także u ich boku, dalszy krok, a mianowicie oswojenie ich z przyznaniem ludziom autorytetu pośredniego między członkami klanów a ich nie należącymi do klanów wasalami, był już stosunkowo łatwy. Dla mnie uzyskanie pozycji następcy Yeremy było znacznie łatwiejsze niż dla jakiegokolwiek nisko urodzonego weicha.

- Więc jest pan niemal honorowym członkiem klanu - odezwała się Justina Magna. - W każdym razie w oczach tych wasali Yeremy, którzy słuchają pana rozkazów. A jaki jest do tego stosunek klanowej starszyny? Czy taki sam status przyznają panu Calvarowie? A klan Syroleth?

Remy przyglądał się jej przez chwilę, a potem powiedział po prostu:

- Uznają konieczność.

Kobieta uśmiechnęła się, biorąc najwyraźniej tę odpowiedź za formę uznania dla jej przenikliwości.

- Rozumiem pańską popularność u Calvarów - powiedziała. - Ale wydaje mi się, że wśród sioconów nie jest ona aż tak duża. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że sami Calvarowie nie cieszą się ich zbyt dużą sympatią. Pański dom otoczony jest wysokim murem, broniącym do niego dostępu, a pański pełen jaskrawych kwiatów ogród służy tak naprawdę do wytwarzania wonnej kurtyny odgradzającej pana od panującego na zewnątrz smrodu gówna, zgnilizny i zepsucia. Czy nie mam racji?

- Król zlecił swoim architektom przebudowę miejskiego systemu ścieków i kanalizacji - odparł Remy, w dalszym ciągu zachowując uprzejmy i lekki ton głosu. - Działając oczywiście za namową Calvarów. Calvarowie nie cieszą się sympatią motłochu gnieźdzącego się w

zaułkach. Król także nie jest zbyt popularny. Królowie i kupcy nie cieszą się sympatią biedoty. Tym niemniej każda poprawa warunków życia ubogich warstw Ziaratu, jaka miała miejsce w ciągu kilku ostatnich pokoleń jest zasługą właśnie Calvarów oraz faktu, iż król rad jest oprzeć swoją własną władzę na pieniądzach Calvarów, ich metodach rządzenia i na ich sile zbrojnej.

- Krótko mówiąc - podsumował Delizia - jest taką samą marionetką w rękach veichów jak pan.

- To prawda - potwierdził spokojnie Remy. - A jednocześnie wcale nią nie jest. Powiedziałbym raczej, że wszyscy manipulujemy tu sobą nawzajem dla wspólnej korzyści.

- Ktoś musi na tym tracić - zauważył Delizia.

- Dlaczego? - spytał naiwnie Remy. - Gdy ogólna sytuacja polepsza się, każdy może coś na tym zyskać. W Ziaracie, dzięki Calvarom, następuje nieustanna poprawa ogólnej sytuacji.

- Być może w kategoriach majątkowych - powiedziała Justina Magna. - Choć i w to wątpię. Lecz w kategoriach władzy ktoś musiał utracić pozycję, którą zajmują teraz Calvarowie i pańska organizacja najemników. Być może król posiada taką samą władzę jak przedtem, ale by obdarzyć swymi "łaskami" nową grupę stronników i doradców, musiał je przecież komuś odebrać.

- Owszem - przyznał Remy. - Starej gwardii siocońskiej elity. Ale poza nimi samymi nikt na tym nie ucierpiał. Ci sioconi byli równie skorumpowani co nieudolni. Przypuszczam, że osobą, która straciła na "tym najwięcej, jest nieprawy brat królewski, Jero Yamba, dowódca tak zwanej armii Ziaratu. Armia istnieje w dalszym ciągu, lecz teraz już głównie jako siła policyjna. Wpływy polityczne Yamby zostały drastycznie ograniczone, co z punktu widzenia króla jest na pewno zjawiskiem pozytywnym. Nawet bękart, jeśli jest królewskim bratem, może być niebezpieczny, szczególnie jeżeli dowodzi armią. Król był bardzo zadowolony, kiedy Calvarowie dali mu okazję utworzenia straży przybocznej złożonej z wyszkolonych veichów, uzbrojonych znacznie lepiej niż jakakolwiek siła, którą mogliby wystawić potencjalni uzurpatorzy. Ale on nie jest marionetką - Calvarowie są zaledwie w Ziaracie tolerowani. Przewaga ich uzbrojenia nie zrównoważy tego, że sioconi przewyższają veichów liczebnością w stosunku tysięcy do jednego.

Scapaccio milczał dłuższą chwilę, powoli sącząc wino z delikatnie rżniętego szklanego kielicha, po czym powiedział:

- Być może jest to kraj barbarzyński, ale odnoszę wrażenie, że dostrzegam niektóre z jego powabów. Gdyby wiadomość o nich dotarła do Omeru, liczba potencjalnych dezertersów mogłaby się gwałtownie powiększyć. Dowództwo Haidry nie byłoby szczęśliwe.

Słowa te wypowiedział lekkim, niedbałym tonem, ale Remy nie miał żadnych trudności z odczytaniem zawartej w nich pogróżki. Co prawda nie uważał, by była to szczególnie niebezpieczna groźba, tym niemniej zanotował ją sobie chłodno w pamięci, nie przestając udawać, że jej nie dostrzega.

- Nie wiem, czy te uroki mogłyby podziałać aż tak silnie - powiedziała Justina Magna. - Gdyby wszyscy nasi dezercerzy żyli na takiej stopie to co innego. Ale nawet stado szakali ma tylko jednego przywódcę.

- Niech pan nie zwraca zbyt wielkiej uwagi na Justinę - wtrącił Delizia. - Ona ubóstwia prowokować.

Remy skinął głową, dając do zrozumienia, że doskonale wie, co tamten miał na myśli.

- Oczywiście nawet życie Remy'ego musiało po jakimś czasie stać się nudne - ciągnęła kobieta. - Nie ma w nim miejsca na dalsze ambitne plany. Przecież przywódca stada szakali nie może zostać lwem. Nie może pan zostać królem sioconów ani członkiem klanu veichów, wygląda więc na to, że znalazł się pan już na najwyższym szczeblu swej prywatnej drabiny. Czy nie tak?

Rozpoczęła od adresowania swych uwag do całego towarzystwa, ale zakończyła strzelając swym pytaniem prosto w Remy'ego. Remy podniósł najpierw kielich, wypił z niego łyk wina i dopiero wtedy odpowiedział:

- Ja nie jestem człowiekiem ambitnym; moim - celem jest nie zdobycie władzy, lecz przetrwanie. Na Syrenę nie ma szakali. ale jeżeli dobrze zrozumiałem metaforyczne znaczenie tego słowa, to myślę, że uznałbym szakala za stworzenie godne podziwu. Nie podejmuje on zbyt wielkiego ryzyka, nie czuje także wewnętrznej potrzeby dokonywania rzezi. Zadowolona się resztkami zwierzyny upolowanej przez innych, resztkami, które zaśmiecają ten świat. Nie należy gardzić czyścicielami ulic, a jeżeli ktoś to robi, to przejawia według mnie dość prymitywny sposób myślenia.

- Naturalnie - odparła sucho Justina Magna. - Szakal musi tak właśnie uważać, bo jakże inaczej mógłby znieść to, że nim jest.

- Ten sam argument działa także w stronę przeciwną - wmieszał się Delizia. - Lew musi myśleć jak lew, bo inaczej uznałby swoje życie za nie do zniesienia. Może to właśnie lwem powinniśmy gardzić, czy też metaforycznym lwem, którego zdajesz się przeciwstawiać metaforycznemu szakalowi. Wiesz, tym przysłowiowym przypowieściom pochodzącym z naszej starej Ziemi nie można ufać bez zastrzeżeń. W rzeczywistości lwy także zadowolają się odpadkami, jeśli tylko były one dostatecznie duże i łatwe do znalezienia. Tak robią wszystkie drapieżniki w całym poznanym wszechświecie.

Kobieta nic nie odpowiedziała, ale jej milczenie zupełnie wyraźnie zdradzało jej myśli. Delizia tak właśnie powinien uważać - był pacyfistą. Był także istotą znacznie niższą od człowieka, nadmiernie i neurotycznie podatną na działanie strachu, tego rajskiego węża we współczesnej wersji mitu o stworzeniu człowieka nowej generacji.

Przerwaną rozmowę wznowił Scapaccio, tym razem porzucając drogę zawołanych pogroźek, którą upodobał sobie wcześniej.

- Czy stanowimy dla pana jakieś zagrożenie, panie Remy? - spytał. - Czy nie obawia się pan, że możemy przecierać szlak, którym zechcą tu przybyć inni?

- Jakie znaczenie mogą tu mieć moje osobiste odczucia? - odpowiedział wymijającym pytaniem Remy.

- Pomagając nam, prowadząc przez pustynie do celu naszej wyprawy, może się pan przyczynić do własnej przegranej w prowadzonej przez pana tu, w Ziaracie, małej gry wojennej. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele ma pan do stracenia. Teraz, kiedy już to wiem, zaczynam się zastanawiać nad prawdziwymi motywami zaoferowania nam pomocy.

- Czy obawia się pan, że mógłbym zwrócić się w końcu przeciwko wam i wszystkim was pozabijać? - spytał Remy.

- Nie - odparł Scapaccio. - Tego się nie obawiam, bo wiem równie dobrze jak pan, że nasza śmierć byłaby także końcem pana. Dowództwo może sobie traktować mnie jak powietrze, ale gdyby zaczęły znikać jego własne oddziały, to na pewno przejawiłoby zainteresowanie. Nie, zastanawiam się nad sprawą pańskiego wynagrodzenia za pilotowanie ekspedycji. Dochodzę do wniosku, że jestem w stanie zaoferować panu więcej, niż mi się zdawało. Mogę zaoferować panu milczenie, a ono jest sporo warte, prawda? Mogę zaproponować, że po powrocie nie złożę Dowództwu raportu na temat pańskiej obecności na Ziaracie i pozycji, jaką pan tu sobie wypracował. Do tej pory takiego raportu oczywiście jeszcze nie złożyłem. Jedynie nadaliśmy przez radio kilka rutynowych sygnałów, na które nikt w całym Dowództwie Haidry nie zwróci żadnej uwagi.

- Pańskie milczenie ma dla mnie pewną wartość - przyznał spokojnie Remy. - Sam jednak nie potrafię powiedzieć jak dużą. Wiem, że chciałbym, by cała ta sprawa zakończyła się, jeżeli rzecz jasna będzie to w ogóle możliwe, bez żadnych nieprzewidzianych wypadków; byście zobaczyli to, co przyjechaliście tu zobaczyć, a potem spokojnie wrócili do domu. Chciałbym także, żeby nikt nie doznał jakiegokolwiek krzywdy i żeby Dowództwo Haidry w dalszym ciągu nie przejawiało zainteresowania ani Azreonem, ani w szczególności samym Ziaratem. Ten cel może nie być tak zupełnie niemożliwy do osiągnięcia.

- A ryby może mogą śpiewać - skomentowała Justina Magna.

- Istnieje na pewno gdzieś taki świat - powiedział Delizia - na którym ryby śpiewają.

- Problem polega na tym - ciągnął Scapaccio, chcąc najwyraźniej rzeczy zupełnie oczywiste uczynić jeszcze bardziej oczywistymi - że jeżeli naprawdę znajdziemy to, czego szukamy, to w Azreonie pojawią się następni ludzie, i będzie ich bardzo wielu. To miejsce przestanie być schronieniem dla kryjących się przed wojną dezertków z oddziałów Dowództwa Haidry.

- To wielki kontynent - mruknął Remy, tak jakby cała ta sprawa zupełnie go nie dotyczyła.

- Więc podtrzymuje pan swoją propozycję przeprowadzenia nas przez pustynię? - spytał Scapaccio, odsuwając na chwilę kielich z winem, które przestawał sączyć tylko w tych momentach, kiedy włączał się do rozmowy.

- Owszem - odparł krótko Remy. - Podtrzymuję.

Cała trójka gości przyglądała mu się teraz badawczo.

- Nie widzę większego sensu w wyjaśnianiu kierujących mną motywów - dodał po chwili. - Nie moglibyście wierzyć im bardziej niż w tej chwili wierzycie mnie. Ale ujmijmy to ten sposób: muszę z wami współpracować, bo nie mam innego wyjścia. A wy musicie współpracować ze mną, bo też go nie macie. I jeszcze jedno - przeceniacie wartość, jaką ma dla mnie pozycja, którą tu zajmuję. Jak już powiedziałem, moim najważniejszym celem jest przetrwanie. Cokolwiek by się stało, ja przeżyję. Co do tego nie mam nawet cienia wątpliwości. Popełnilibyście błąd, gdybyście zbyt wiele nadziei pokładali w posiadanej nade mną przewadze i zbyt wysoko szacowali cenę, jaką gotów jestem zapłacić za wasze milczenie.

Zapadła chwila zupełnej ciszy, przerywanej z wystudiowaną swobodą przez Delizę.

- To był naprawdę wspaniały posiłek - powiedział lekko mały archeolog.

Nikt nie potrudził się, by zawtórować tej mocno sztucznej uwadze, ale zarówno Scapaccio, jak i Justina Magna zdawali się być wdzięczni swemu koledze za rozładownię napięcia, które sami wprowadzili.

Remy podniósł się od stołu.

- Do momentu wyruszenia w głąb Syrenę traktujcie ten dom jak swój własny - powiedział z ledwie wyczuwalną nutą sarkazmu w głosie. - Możecie oczywiście korzystać z ogrodu, ale przed wyjściem za bramę poproście lepiej o odpowiednią eskortę. Taka samodzielna wyprawa do miasta mogłaby się okazać dość niebezpieczna. Jak sami zauważyliście, ludzie nie cieszą się zbyt sympatią ziarackiej ulicy.

Złożył mały, nieco ironiczny ukłon i opuścił pokój.

Po jego wyjściu panowała przy stole przez dłuższą chwilę cisza, którą przerwał Ramon Delizia.

- On nie jest szakalem... - powiedział, kierując tę uwagę do Justiny Magny. - On jest co najmniej wilkiem.

- Dla mnie może być nawet wężem - odparła obojętnym tonem, przyzywając wspomnienie symbolu zakazanego strachu.

- Tym niemniej - powiedział Scapaccio, krzyżując swe spojrzenie ze spojrzeniem Delizii - może się okazać bardziej dla nas użyteczny, niż mu się zdaje.

6.

Remy obudził się nagle, podświadomie wyczuwając czyjaś obecność. Nie otworzył oczu, nie poruszył nawet jednym mięśniem, wytrzymał jedynie słuch, próbując zlokalizować intruza i kierunek jego ruchów. Mając w swoim domu tak wielu obcych, nawet nie starał się odgadnąć kim mógł być nieoczekiwany gość, a przygotowując się do odpowiedniej akcji, nie sprężył swego ciała do zadania śmiertelnego ciosu.

Czekał do momentu, w którym poczuł, że intruz znajduje się tuż obok niego i wtedy błyskawicznie stoczył się z łóżka. Nie próbował nawet wyplątać się spomiędzy koców - noc była chłodna, więc idąc spać owinął się nimi Bardzo dokładnie. Prawą ręką sięgnął więc tylko po rewolwer ukryty we wgłębieniu wyciętym z boku nocnego stolika. Otworzył oczy, by ocenić położenie cienia intruza, wycelowując jednocześnie broń, lecz w tej samej chwili zawahał się, nawet zanim jeszcze usłyszał porozumiewawcze psyknięcie tego drugiego.

- To ja! - powiedziała dziewczyna ledwie dosłyszalnym, lecz wyraźnym szeptem. Remy opuścił dłoń z wycelowanym w nią pistoletem, czując jak ogarnia go ogromne zakłopotanie wywołane pozycją, w jakiej się znalazł - skulony na podłodze, zaplątany w koce, w trzech czwartych nagi.

- Valla? - spytał niepewnie nie dlatego, żeby nie wiedział, lecz dlatego, że nie bardzo mógł w to uwierzyć.

- Musiałam to zrobić - odparła natychmiast w języku nie należących do klanów. - Nikomu innemu nie mogliśmy zaufać. Nawet tutaj nikomu nie można ufać.

Remy powoli wyplątał się z krępującej go pościeli i po omacku zaczął szukać zapalek leżących obok stojącego na stole lichtarza.

Valla czekała cierpliwie aż zapali świecę i założy koszulę. Zobaczył, że ona także ubrana była w szarą koszulę i spodnie podtrzymywane skórzanym pasem, w rodzaju tych, jakie nosili veichiańscy wojownicy. Nie miała przy sobie żadnej broni, nie miała także żadnych insygniów świadczących o przynależności do klanu czy wysokiej pozycji społecznej. W tym przebraniu nikt nie mógłby ustalić jej tożsamości.

- Mój ojciec nie może do ciebie przyjść - zaczęła szybko niskim, matowym głosem. - Także tobie nie wolno przychodzić do naszego domu. Yerema nie może w tej chwili przyznawać się do ciebie, nie może się z tobą kontaktować. Zaistniało wielkie niebezpieczeństwo; dla ciebie, a pewnie także i dla nas. Stawką jest absolutnie wszystko, a szczególnie nasze życie tutaj.

Mężczyzna poczuł, że cierpnie i to nie tylko od chłodu, który zaczął pokrywać jego ramiona i plecy nieprzyjemną gęsią skórką.

- Z powodu ludzi? - spytał.

- Oni nie są jedynymi obcymi w Ziaracie - powiedziała. - Zjawili się tu już także wojownicy veichów. Jeden członek klanu Cagiriama i trzech jego wasalnych wojowników. Skorzystali z osłony nocy, by przemknąć obok satelitów komunikacyjnych w małym nie uzbrojonym stateczku szpiegowskim. Po wylądowaniu zażądali pomocy od Calwarów i klanu Syroleth, ale najwyraźniej nie rozumieją pozycji, jaką zajmuje tu Yerema, bo nie zadali żadnego z najważniejszych pytań. Galvarowie sami nie powiedzieli im ani słowa, ale oni strzegą tylko własnego honoru. Starszyzna klanu pewnie starałaby się osłonić Yeremę, ale w obecnej sytuacji absolutnie nie może im ufać. Jeżeli chodzi o innych, to większość veichów, którzy przyjęli wasalną opiekę klanu Syroleth, pozostanie zapewne lojalna, ale niektórzy z nich mogą zachować się inaczej. Ten Cagiriama zagraża wszystkiemu.

- Czego on chce? - spytał Remy, czując, że sam mógłby bez trudu odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Wie już o ludzkiej ekspedycji w głąb Syrenę. Statki szpiegowskie pozostawione przez veichów zarówno tu jak i na innych światach, w dalszym ciągu przesyłają do strefy wojennej wszelkie informacje. Zemaka przysłano tu, żeby się dowiedział co takiego ludzie odkryją i przesłał odpowiednią wiadomość, szczególnie gdyby odkrycie to miało wartość z militarnego punktu widzenia. Zemak zdaje się być przekonany, że tak właśnie będzie, choć całkowitej pewności nie ma. Swoje przekonanie opiera na tym, że dysponuje jakimiś informacjami, których jego zdaniem ludzie nie posiadają, ale nie jest tego zupełnie pewien.

Remy usiadł na łóżku, oparł się plecami o jego drewniane wezłowie i podciągnął kolana pod brodę. Valla ostrożnie przyniosła krzesło stojące przy biurku w rogu pokoju i

postawiła je tuż obok łóżka. Usiadła na nim i oparłszy łokcie na kolanach pochyliła się lekko do przodu.

- Co ma zamiar zrobić Yerema? - spytał cicho Remy.

- Jeżeli wojna powróci na Haidrę - powiedziała Valla - klan Syroleth utraci dosłownie wszystko.

To odnosi się do każdego z nas. Co ma jednak zamiar zrobić Yerema?

- Przez jakiś czas będziemy robili to, czego od nas żądają. Ruszymy za tobą śladem ekspedycji, którą poprowadzisz w głąb Syrenę. Powinieneś zabrać ze sobą tylko tyłu ludzi, żeby mieć przewagę liczebną nad żołnierzami eskorty; my weźmiemy pewnie jakichś dziesięciu, dwunastu veichów. Spróbujemy wybrać takich, którzy pozostaną wierni Yeremie cokolwiek by się wydarzyło. Może się okazać, że podejmowanie nadzwyczajnych kroków nie będzie wcale potrzebne - to będzie zależało od tego, co nasze dwie grupy znajdą na pustyni, a także od er'kresha, którzy gdzieś tam właśnie się zbierają. Yerema spotka się z tobą w trakcie podróży, a potem jeszcze raz po dotarciu do celu. Ty i on będziecie musieli zdecydować co robić. Jeżeli zaistnieje konieczność, Yerema wystąpi raczej przeciwko swym własnym rodakom, niż przeciwko tobie.

Remy bez trudu potrafił docenić wagę zobowiązania zawartego w tym ostatnim zdaniu. Dla veicha było ono na samej granicy niewyobrażalności, a dla członka klanu Cagiriama musiało wręcz być niewyobrażalne. Nie sposób o bardziej przekonujący dowód na to, jak dalece Yerema wyobcował się ze swej rasy i klanu w latach poprzedzających wojnę na Haidrze.

- Ja także nigdy nie wystąpię przeciwko Yeremie - powiedział cicho Remy. - Przysięgam, cokolwiek stanie się, będę go bronił swoim własnym życiem, tak jak zrobiłby to jego rodowy brat.

Już po wypowiedzeniu tych słów zorientował się, jak bardzo niezręcznie wyraził swoje myśli. Bracia z klanu Syroleth zdradzili Yremę, całą winą obciążając równocześnie jego samego. Protestując przeciwko wojnie stał się czymś w rodzaju heretyka, a będąc do tego członkiem klanu wojowników, zhańbił się w oczach swego rodu. Próbowali zmusić go, by zaparł się swoich przekonań, a ponieważ nie chciał tego zrobić, gdyby nie nadeszła wojna, zabiliby go. Nawet Calvarowie nie znali całej prawdy o tej sprawie, choć kilku starszych musiało wiedzieć bardzo dużo. Remy ją znał. Jemu Yerema mógł opowiedzieć wszystko, bo on był obcym i bez trudu potrafił myśleć o rzeczach nie do pomyślenia. Swymi słowami Remy usiłował wyrazić to, że przejął na siebie to zobowiązanie wobec Yeremy, którego jego klanowi bracia mu odmówili. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że Valla go zrozumiała.

- W oczach mojego ojca - powiedziała dziewczyna powoli - ty jesteś czymś więcej niż rodowym bratem. - Ton jej głosu był tak bezbarwny, jakby ze wszystkich sił próbowała nie zaprawić go nawet kroplą swoich własnych uczuć.

Remy zagryzł wargę, z łatwością pojmując znaczenie jej słów. Być czymś więcej niż rodowym bratem mogło oznaczać tylko jedno - być synem. Dziewczyna mówiła, że w oczach Yeremy Remy był nie tylko członkiem, lecz także głową rodu - jego dziedzicem.

- Mówi się - mruknęła - że uratowałeś mu kiedyś życie.

- To prawda - odparł. - Kiedyś mu je uratowałem.

Poprzestał na tym stwierdzeniu, bo nie była to odpowiednia pora na tłumaczenie, że początku takiego właśnie stosunku Yeremy do niego nie należy się doszukiwać w tamtym incydencie; że tamto zajście i stosunek Yeremy do Remy'ego miały wspólną przyczynę, i to znacznie trudniejszą do wyrażenia słowami. Upraszczając sprawę, polegała ona na tym, że zarówno Yeremie, jak i Remy'emu odległe były sprawy, uczucia i wartości własnych ras, że obaj czuli się zupełnie wyobcowani ze swych naturalnych środowisk i stąd zrodziło się w nich wyimaginowane powinowactwo z innymi wyobcowanymi. Taka pobieżna analiza nie mogła jednak oddać prawdziwego obrazu absolutnego zrozumienia, jakie między nimi panowało, zrozumienia, którego nie doświadczyli w kontaktach z żadnym innym członkiem żadnej innej rasy. To ono właśnie tak trwale ich połączyło. Być może Yerema potrafiłby wyrazić to jaśniej i bardziej precyzyjnie - Remy tego nie potrafił. Brakowało mu słów.

- Myślę - powiedziała Valla - że mój ojciec chciałby, żebyś wyszła za ciebie za męża.

Remy spojrział na nią badawczo, próbując odgadnąć jaki jest jej własny stosunek do tej sprawy, ale okazało się to niemożliwe. Dla Valli, jako kobiety należącej do niemal wygasłego rodu Syroleth, naturalną rzeczą byłoby poślubienie jednego z Calvarów i uzyskanie w ten sposób przynależności do klanu kupców. Yerema mógł uważać małżeństwo swojej córki z człowiekiem za coś w rodzaju otwartej deklaracji przekazania mu statusu klanowego, ale przekonanie Calvarów, by zaakceptowali taki punkt widzenia, nie byłoby wcale takie proste. W ich przekonaniu byłoby ono równie szokujące - a trudno sobie wyobrazić coś bardziej szokującego - jak małżeństwo z jednym z nie należących do klanów.

Rzecz dziwna, przypomniały mu się słowa Justyny Magny - jej uwaga, że swoje życie seksualne musiał opierać na kontaktach z veiszkami. Była to oczywiście prawda. Przynajmniej połowa ludzi mieszkających w Ziaracie ożeniona była z kobietami veichów. Sioconi, ze względu na swoją nieodpowiednią budowę anatomiczną, nie mogli być partnerami seksualnymi ani ludzi, ani veichów. Mimowolnie zaciekał się, czy Justina Magna spała kiedykolwiek z jakimś veichem. Była to jedna z tych rzeczy, które nieodmiennie pojawiały

się we wszystkich nieprzyzwoitych dowcipach opowiadanych na światach takich jak Haidra, gdzie podbój doprowadził do wymieszania się ras, a pewnie także i na tych planetach, do których wojna jeszcze nie dotarła.

- Musiałabyś wyrazić zgodę, zanim wypowiedziałby taką myśl głośno - powiedział Remy, wiedząc, że jak na razie Yerema nie wyraziłby jej głośno.

- Ty także - odparowała.

Pochylił lekko głowę w potwierdzeniu prawdziwości tego co powiedziała. Nie był pewien, czy potrafiła zrozumieć znaczenie tego gestu, zachował jednak milczenie, ponieważ zupełnie nie wiedział co powiedzieć. Nie wiedział nawet co według veichianskich zwyczajów można byłoby tu powiedzieć. Wystąpienie pociągu seksualnego między veichami a ludźmi było możliwe, możliwe było także uzyskanie wzajemności; rozmowa o małżeństwie była jednak rozmową o czymś zupełnie innym. Veichowie nie znali pojęcia dokładnie analogicznego do miłości. Odpowiednik tego słowa nie istniał ani w mowie klanów, ani w języku tych, którzy do klanów nie należeli. Ich związki opierały się na lojalności i poczuciu odpowiedzialności, opisywano je często pojęciami nie występującymi w żadnym z ludzkich języków znanych Remy'emu. Można było oczywiście przyjąć, że słowa nie mają większego znaczenia i że liczy się tylko sama istota tego, co kształtuje stosunki zarówno między wszystkimi ludźmi, jak między wszystkimi veichami, a także między ludźmi i veichami. Można było jednak spojrzeć na to zagadnienie także nieco inaczej i stanąć na stanowisku, że to właśnie słowa i pojęcia tworzą i kształtują rzeczywistość i że bez precyzyjnych językowych odpowiedników każdy związek między człowiekiem i veichem po prostu musi być nienaturalny i przesycony obcością.

- Muszę już iść - powiedziała, po raz pierwszy przechodząc na język klanów. Remy nie potrafił się zorientować, co ta zmiana mogła oznaczać.

Wstał szybko z zamiarem podejścia do drzwi, ale dziewczyna wskazała smukłym palcem na okno, lekko uchylone i nie przesłonięte okiennicami. Wzruszając ramionami zawrócił i zaczął się przyglądać jak opuszcza się na niższy balkon, a potem lekkim ruchem przerzuca na oplecioną kwiatami kratę i szybko zsuwa się po niej w dół, do ogrodu. Rozpłynęła się w ciemności i nie dostrzegł jak dała sobie radę z wysokim murem. Bez wątplenia nie nastreczył jej specjalnych trudności - stanowił raczej symbol niż rzeczywistą przeszkodę. Jeszcze żaden mur nie oparł się zwinnym ziarackim złodziejom.

Ściągając powoli koszulę wrócił do łóżka. Położył się nie gasząc świecy i przez dłuższą chwilę wpatrywał w migotliwą grę jej odblasków pełzających po nagim suficie.

Minęło pewnie pół godziny, nim doszedł do wniosku, że jednak chce ożenić się z Valla. Rozpatrywał tę sprawę bardzo uważnie, starając się nie wyciągać ostatecznego wniosku, dopóki nie nabrał całkowitej pewności. Nie potrafił dokładnie sprecyzować wszystkich powodów, dla których chciał to zrobić, ale nabrał pewności, że chce.

Ta możliwość zdawała się nieść coś w rodzaju nadziei, a przypływ nowej nadziei wydawał mu się rzeczą bardzo pożądaną. Tak mało było dla niej miejsca w tej morderczej grze, do której właśnie przystąpił, grze, która miała zapewne sprowadzić wojnę i tu, do Azreonu.

Garston siedział na drewnianej podłodze pojazdu, z nogami wygodnie rozciągniętymi przed siebie i łokciami opartymi lekko o tylną klapę. W świetle latarni zawieszanej na haku wbitym w wewnętrzną stronę drzwi do stajni obserwował Androsa, który na zimnych, zakurzonych płytach posadzki wykonywał forsowne ćwiczenia fizyczne. Sierżant widział je już dziesiątki razy, lecz ciągle jeszcze nie mógł się oprzeć fascynacji.

Program ćwiczeń był tak ułożony, że brały w nich udział wszystkie mięśnie całego ciała, nawet te najmniejsze i najrzadziej używane. Poddawał treningowi każdy mięsień zarówno indywidualnie, jak też we współpracy z resztą ciała, wyrabiając czy też raczej umacniając jego siłę i zdolność koordynacji. Andros zginał się, skręcał, napręzał potężnie całe ciało bez śladu zmęczenia, choć pot zalewający jego nagą skórę wyraźnie zdradzał ogrom wysiłku, jaki w to wkładał.

Oto człowiek aspirujący do roli maszyny, myślał Garston. Każdy podzespół jest tu nieustannie sprawdzany pod względem niezawodności i wytwarzanej siły, czy nic nie zakłóca idealnej gładkości połączeń; każdy układ dopingowany do uzyskania pełnej perfekcji w przekazywaniu informacji i bodźców dających sygnał do akcji. A wszystko to w atmosferze niemal pełnego braku samoświadomości, która w czasie wykonywania tych ćwiczeń zdaje się drzemać, przełączona na jak najniższy bieg. Choć z drugiej strony mówiło to także o niezwykle ostro rozwiniętym poczuciu więzi z własnym ciałem, bo jedyną rzeczą nie podlegającą żadnej wątpliwości było to, że optimeni wystarczająco dbali o swe ciała, by utrzymać je w możliwie najlepszej kondycji, podczas gdy ludzie - najzwyczajniej w świecie - nie.

Po zakończeniu treningu optimen przysiadł na podłodze, oddychając głęboko, by uspokoić swój organizm. Zauważywszy, że Garston mu się przygląda spojrział na niego.

- Gdyby i pan wziął się za coś takiego - powiedział - byłby pan silniejszy i zdrowszy. Jest pan wielkim mężczyzną, bardzo silnym. Jednym z naturalnych optimenów. Ale nosi pan

na sobie za dużo tłuszczu i nie ma pan ochoty trenować swojej muskulatury tak, by osiągnęła swoje optimum. Co prawda nigdy nie uzyska pan mojej podwyższonej sprawności wzrokowej czy mojej szybkości, ale każdy człowiek może dążyć do optymalizacji swoich możliwości. Zaniechanie tego to przedziwny rodzaj słabości.

- To prawda - przyznał Garston, mówiąc leniwie i z miną człowieka rozmawiającego o sprawach nie mających większego znaczenia. - Za mało o siebie dbamy. Może to wynika po prostu z tego, że za mało sami siebie kochamy.

- Albo raczej za bardzo - odparował Andros. - Miłość jest szczególnie nonszalanckim rodzajem pobjażania samemu sobie.

- Praca nad własnym rozwojem także może stać się formą pobjażania sobie - powiedział Garston. - Szczególnie wtedy, kiedy nabiera cech fetyszu, jak neurotyczne mycie rąk. - W jego głosie nie brzmiała nawet nuta wrogości, lecz w jakiś dziwny sposób to właśnie jeszcze bardziej podkreśliło zawartą w jego słowach złośliwość.

- Muszę przyznać, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają nas za istoty tak bardzo niehumanitarne - powiedział optimen, w dalszym ciągu równo i głęboko oddychając. - W końcu jesteśmy samym paradygmatem ludzkości. Nasi przodkowie grają rolę bohaterów w tysiącach dzieł sztuki stworzonych w ciągu dziesiątków tysięcy lat. Skąd się to bierze, że jako idea jesteśmy tak pociągający, a jako rzeczywistość tak bardzo przerażający?

- Dzieła sztuki są wytworem wyobraźni - odparł Garston. - Dzięki nim możemy wyobrazić sobie samych siebie, oczywiście bez naszych ułomności i wad. To bardzo przyjemne, pozwala na chwilowe oderwanie się od rzeczywistości. Ale patrzeć na kogoś, kto nie ma żadnych wad i ułomności, to zupełnie inna sprawa. To właśnie dlatego, że jesteście urzeczywistnieniem pojęć z królestwa wyobraźni, wydajecie się tak potworni. Istniejecie nie w tym wymiarze, jesteście nie na miejscu. I tak jak materia nie odpowiednia do danego środowiska staje się brudem, tak niestosowny umysł i ciało stają się... obce.

- Bardziej obce niż veichowie? - spytał prowokująco optimen.

- Tak - odparł Garston - może nawet bardziej.

- A co z optimenami veichów, kiedy się już pojawią? Czy będą bardziej panu obcy niż ich twórcy? Czy będą bardziej czy mniej obcy niż tacy jak ja?

- Niech mi pan powie - mruknął leniwie Garston - czy uważa pan ludzi za istoty sobie obce? Czy też może jest pan aż tak niehumanitarne, by odnosić się do nas z życzliwością i miłością jako do swych najbliższych kuzynów?

- To byłby czysty paradoks - odparł miękko Andros.

- Och nie, w tym nie ma żadnego paradoksu - powiedział Garston. - Ludzie w przeważającej większości nienawidzą optimenów, optimeni z kolei, niejako z konieczności, gardzą ludźmi. A jednak stoimy po tej samej stronie, bo nie jesteśmy wrogami. Wrogami są nasi optimeni i, w odpowiednim czasie, optimeni veichów. A zatem my, pomimo wzajemnych uprzedzeń, akceptujemy się nawzajem. Pracujemy dla tych samych celów.

- Wielu ludzi uważa, że nigdy nie powinniśmy byli zostać stworzeni - powiedział Andros. - Bez względu na to, jaki jest nasz wkład w wojnę. Pan też tak uważa?

- Nie wiem - mruknął Garston - A co p a n o tym myśli?

- Ludzie nauczą się nas akceptować. Przyzwyczaić się do nas.

- Niektóre z naszych kobiet już teraz nie potrafią wam się oprzeć - powiedział Garston. - Pomimo tego, że jesteście bezpłodni.

- Czy to właśnie dlatego tak bardzo nas nie znosicie? Chodzi mi tu konkretnie o pana. Czy to zazdrość?

Garston wzruszył ramionami. - Oczywiście. Nasza niechęć nie może mieć żadnego innego podłoża. W końcu nie możemy obawiać się was bardziej, niż wy obawiacie się nas. Jesteśmy ponad to, prawda?

Andros wyprostował się powoli, otrzepując z kurzu biodra i pośladki. Skinął głową na potwierdzenie tego co powiedział Garston, a potem odwrócił się i zniknął w ciemnościach poza światłem lampy.

Garston podniósł głowę i przesunął wzrokiem wzdłuż krawędzi kopuły tworzącej łuk nad tylnym wejściem do pojazdu.

- To oczywiście wcale nie wyjaśnia - mruknął sam do siebie - dlaczego ta awersja jest tak intensywnie wzajemna.

7.

W ciemności poranka, kiedy wszyscy już wstali i zjedli śniadanie, Remy i Scapaccio zabrali się do map. Mapy Remy'ego sporządzone zostały przez uczonych Calvarów, z wykorzystaniem wszelkich informacji, jakie udało się uzyskać od osób podróżujących przez Syrenę i jej okolice. Mapy Scapaccia, oparte na zdjęciach wykonywanych przez satelity komunikacyjne ludzi, były topograficznie pewniejsze, brakowało im jednak wielu praktycznych szczegółów, takich jak na przykład prawdopodobieństwo napotkania wody na terenach, gdzie czasami się ona pojawiała.

- Największym problemem jest to - powiedział Remy, - że nie możemy zabrać ze sobą takich zapasów wody, by wystarczyły nam na pokonanie terenów, co do których posiadamy w miarę pewne informacje. Stąd, w momencie zbliżania się do masywu górskiego w centrum Syrenę, staniemy jednocześnie w obliczu dwóch problemów: wyczerpania się zapasów wody i posiadanych przez nas informacji. Innymi słowy, dotarcie na miejsce nie nastęcza żadnych poważniejszych kłopotów. Pojawią się one dopiero wtedy, kiedy zaczniemy myśleć o powrocie.

Scapaccio wskazał na koło wyrysowane na jego własnej mapie. - To jest jezioro - powiedział. - Zgodnie z moimi informacjami, nigdy nie wysycha ono całkowicie. Jest położone stosunkowo nisko, otoczone wzniesieniami, a pośrodku wyrasta z niego dość pokaźna góra. Podczas pory deszczowej zbiera wody ze wszystkich tych zboczy i rozrasta się błyskawicznie, osiągając w najwyższym miejscu promień co najmniej tysiąca metrów, to znaczy od wyspy centralnej do brzegów, nie licząc samej wyspy. W porze suchej kurczy się gwałtownie, ale nigdy nie zanika zupełnie, mimo iż wszystkie jego dopływy i odpływy wysychają najprawdopodobniej całkowicie. Powinniśmy znaleźć w nim wodę, nawet gdyby deszcze się spóźniły. Problem polega na dotarciu do niego. Będziemy musieli odnowić swoje zapasy wody, zanim zapuścimy się w góry, gdzieś w tym rejonie, o tutaj... albo z góry założyć, że przez ostatnie kilka dni będziemy cierpieć pragnienie.

Remy zaczął śledzić wzrokiem szlak, który poprowadziłby ich obok ostatniej, najdalej na pustyni położonej oazy, o której coś wiedział.

- Powinno nam się to chyba udać - powiedział. - Podróż nie będzie może komfortowa, ale zupełnie bezpieczna. Przy pokonywaniu najbardziej zapyłonych terenów będziemy musieli używać raczej masek niż zasłon, jeszcze dzisiaj trzeba będzie je kupić. Chciałbym także lepiej osłonić tylne wejścia do waszych pojazdów, żeby maksymalnie zabezpieczyć je przed pyłem. Nie może być nawet mowy o pozostawieniu ich tak otwartych, jak podczas podróży z Piru tutaj. Ale z tym także damy sobie radę. Gdzie znajduje się ta baza, której szukacie?

- O ile jesteśmy w stanie się zorientować - odparł Scapaccio - jej położenie niemal dokładnie odpowiada położeniu jeziora. To oczywiście wydaje się dość logiczne. Przypuszczamy, że większa część bazy znajduje się pod ziemią, wszystko co wystawało ponad jej powierzchnię, musiało już dawno ulec działaniu warunków atmosferycznych. Na zdjęciach satelitarnych nie widać nic poza kilkoma prostokątnymi śladami na otaczających jezioro wzniesieniach, ale mogą to równie dobrze być jakieś formacje naturalne.

Remy ponownie skinął głową. - W porządku - powiedział - w ten sposób pozostaje nam tylko jeden poważny problem.

- To znaczy co?

- Er'kresha. Nie zamieszkują tych gór na stałe, ale wieść niesie, że w tej chwili jest tam bardzo wielu wojowników. Nie wiem jak wielu, ale jedno jest pewne: jeżeli to jezioro jest jedynym poważniejszym zbiornikiem wody w tym rejonie, to muszą przebywać gdzieś w jego okolicy.

- Czy oni będą nas niepokoić?

- Bez wątplenia. Uważają te góry za część swego terytorium. Naszą wyprawę z pewnością potraktują jako pogwałcenie swoich praw i nie odniosą się do niej zbyt przychylnie. Ale to nie wszystko,. Mówi się także, że ostatnio er'kresha ogarnęło jakieś niezwykle podniecenie, wywołane czymś w rodzaju religijnego odrodzenia plemion. Jeżeli chce pan dotrzeć do swojej bazy, to musimy z góry nastawić się na to, że czeka nas walka.

Mówiąc to Remy nie spuszczał wzroku z twarzy Scapaccia, a Scapaccio nie odrywał spojrzenia od oczu Remy'ego.

- O tych dzikich wie pan już od dawna, prawda? - raczej stwierdził, niż spytał Scapaccio.

- Owszem - odparł Remy.

- A jednak jest pan gotów poprowadzić nas na Syrenę, nawet mając pełną świadomość, że prawdopodobnie zostaniemy zaatakowani.

- Zgadza się.

- Przypuszczam, że ten altruizm jest jedynie pozorny. Przecież nie czuje pan chyba w stosunku do nas jakichś szczególnych instynktów opiekuńczych?

- Nie chcę, żeby wasza broń wzbogaciła arsenał er'kresha. Prawdę mówiąc, już samo ich gromadzenie się zupełnie mi się nie podoba. Kiedy opuszczą pustynię, zaatakują ziemie w okolicach Ziaratu, i do mnie będzie należała walka z nimi. Chciałbym spróbować rozpędzić ich już teraz, a pan ma wszelkie powody, żeby mi w tym pomóc. W ten sposób obaj uzyskamy to, o co nam chodzi.

Scapaccio zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym powiedział:

- Pozostali nie byliby zbyt szczęśliwi, gdyby się dowiedzieli, że świadomie ich naraziłem na takie niebezpieczeństwo.

- To prawda - zgodził się Remy - nie byliby szczęśliwi. Ale odnoszę wrażenie, że nie bardzo to pana obchodzi, prawda? - ton jego głosu był lekko ironiczny.

- Chcę dotrzeć do tej bazy - przyznał Scapaccio. - Rzeczywiście ogromnie mi na tym zależy.

- Tak przypuszczałem - powiedział Remy spokojnie. - Pan zdaje się być zdecydowany rozegrać tę partię na własną rękę, bez pomocy Dowództwa Haidry. Może nie powiedział pan im wszystkiego, co pan wie.

- Panie Remy, jeżeli zgodzi się pan na pełną współpracę ze mną w tej sprawie, to nadejdzie zapewne taki czas, kiedy ja będę w stanie pomóc panu. Pan może mieć kłopoty z Dowództwem Haidry, ale w szerszym kontekście Dowództwo Haidry nie ma niemal żadnego znaczenia. Ta gierka, którą pan tu prowadził, zbliża się już do końca i niedługo będzie pan musiał sobie znaleźć jakąś nową zabawę. Myślę, że może się pan okazać przydatny mnie. Co by pan powiedział na to?

Remy pochylił się nad stołem i dotknął palcem wyrysowanego na mapie koła, które według słów Scapaccia znaczyło położenie jeziora. - Tu może nie być nic - powiedział. - Absolutnie nic.

- W takim wypadku rozpędzimy pańskich bandytów i powróci pan do domu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Z drugiej jednak strony...

Remy uśmiechnął się. - Nie ma pan chyba zamiaru zdradzić mi tego, co pan trzyma w tak ścisłej tajemnicy? - spytał z lekką drwiną w głosie.

Scapaccio potrząsnął głową. - Tak, jak pan mówi, może tam nie być absolutnie nic.

Z drugiej strony, pomyślał Remy, to może wcale nie być aż taka cholerna tajemnica, jeżeli znają ją także i veichowie. Nic jednak nie powiedział. Skoro Scapaccio mógł trzymać swe karty tak blisko przy piersi, to i Remy to potrafił. Cofnął palec z mapy.

- No dobrze - powiedział. - Skontaktuję się z Doonem i Madockiem i powiem, żeby zaczęli gromadzić zapasy potrzebne do naszej długiej wyprawy przez pustynię.

Nieco później poszedł do swego wiszącego ogrodu obserwować wschód słońca. Zaprosił tam także wszystkich swoich gości, ale tylko Delizia czekał tam już na niego. Justina Magna i Scapaccio mieli najwidoczniej co innego do roboty - oboje wyszli do miasta. Szkoda, pomyślał. Z poziomu ulic nie dojrzą całego piękną wschodu słońca.

Na wschód od Ziaratu rozciągała się południowa część Syrenę, gdzie pył nigdy nie opadał, nawet wtedy, gdy powietrze było absolutnie spokojne. Choć brzeg pustyni położony był w odległości ponad stu pięćdziesięciu kilo metrów od miasta, unosząca się nad nią zasłona przesyconego pyłem powietrza przesłaniała słońce przez te kilka chwil, w ciągu których jego tarcza wyrastała do rozmiarów półkola spoczywającego na linii horyzontu. W ciągu tych kilku minut promienie słońca zmieniały go w ogromną krwistą wstęgę - gigantyczną ranę oddzielającą niebo od ziemi, ciągnącą się daleko po obu stronach rozedrganego blaskiem, szkarłatnego jądra.

Remy i Delizia przyglądali się temu widowisku w milczeniu. Kiedy się zakończyło, Remy powiedział:

- W Ziaracie sioconi wierzyli niegdyś, że w momencie stworzenia krew słoneczna spłynęła na ziemię, by ją zapłodnić i wlać siłę w ramiona i serca mężów, którzy do tego czasu byli pozbawionymi życia bryłami gliny. Teraz oczywiście są już mądrzejsi.

Ze swego punktu obserwacyjnego Remy i Delizia widzieli szczyty wszystkich wyższych budowli Ziaratu - domów bogaczy, świątyń, teatrów i, oczywiście, sam pałac. W większości były one zbudowane w tym samym stylu co dom Remy'ego, z płaskimi dachami, świadczącymi o niewielkiej ilości opadów i wiszącymi ogrodami, świadczącymi o konieczności zagłuszania napływającego z ulic fetoru. Światło dnia przydało barwnym kwiatom jaskrawości, zmieniając szachownicę ścian w ciągu pojedynczych bloków dryfujących na falach żywego morza kwiatów. Wyższe piętra zdawały się być zawieszane w powietrzu, unosić się w nim bez jakichkolwiek podpór. Tylko ulice były zupełnie niewidoczne, z ich pochylonymi ku ziemi chatami z drewna i płótna, ich nędzą i brudem, z nieprzeliczoną chmarą zamieszkujących je biedaków.

Remy odwrócił się, by wejść z powrotem do domu, ale Delizia zrobił taki ruch ręką, jakby chciał go powstrzymać. Nie dotknął co prawda ramienia Remy'ego, ale intencja tego gestu była zupełnie jasna i Remy przystanął.

- Chciałbym z panem porozmawiać - powiedział Delizia.

- O czym?

- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pan tu jest.

- Czy jeszcze z tym wszystkim nie skończyliśmy? Czy to pan powiedział czy Scapaccio, że teraz, kiedy zobaczyliście mój dom, rozumiecie już jak wiele mam do stracenia? Tutaj jestem człowiekiem bogatym i potężnym; w wojsku byłem niczym, takim jednym pyłkiem w tym tumanie kurzu, który zmienił horyzont w rzekę krwi.

- Kiedy pan zdezerterował, nie wiedział pan, co pana czeka.

- Ale wiedziałem, co zostawiam za sobą.

Zostawiał pan za sobą swoją ludzkość, swoje poczucie celu. Zostawiał pan tożsamość wpojona panu przez wojsko. To krok dość drastyczny. Niewielu ludzi dezzerteruje z wojska, niewielu w ogóle dopuszcza do siebie myśl, że poza wojskiem także istnieje jakieś życie. Jakichkolwiek wojna nie miałaby wad, to jednak służy pewnym ludzkim celom. Zespała całą rasę ludzką w pojedynczą jednostkę kulturową, co w przypadku międzygwiazdnej cywilizacji nie prowadzącej wojny byłoby zupełnie niemożliwe. Daje absolutnie każdemu człowiekowi poczucie celu, przydzielając mu rolę w przedsięwzięciu ogromnej wagi, którego stawką jest

przetrwanie tego świata i zamieszkujących go gatunków. To jest coś, czego nie można ot, tak sobie, odrzucić.

- Nie patrzyłem na to wtedy w taki sposób - powiedział Remy. - Po prostu poczułem nagle, że mam dość bycia i robienia tego, do czego wojsko mnie zmuszało i postanowiłem zrezygnować. Nie zwracałem sobie głowy roztrząsaniem filozoficznych konsekwencji tego kroku. Nigdy później także tego nie robiłem.

- Uznał pan, że może żyć w kraju, gdzie veichowie w dalszym ciągu dzierżą władzę. Uznał pan za możliwe wstąpienie do armii najemników służącej veichom i dowodzonej przez veichów. Czy nie ma pan wrażenia, że to świadczy o pewnym załamaniu się pańskiego uwarunkowania?

- Co pan chce udowodnić? - spytał Remy. - Że jestem taki jak pan?

- Ja nie oskarżam pana o odczuwanie strachu - powiedział Delizia. - Oskarżam pana o wrogi stosunek do wojny.

Remy wzruszył ramionami. - No to mam wrogi stosunek do wojny - powiedział. - Przynajmniej do waszej wojny... a może powinienem raczej powiedzieć ich wojny. - Odlamał kiść kwiatów z rosnącego tuż obok jego prawej ręki, obsypanego pąkami pnącza. Kwiaty były żółte i choć powietrze ciągle jeszcze było dość chłodne, zdążył się już zaroić mnóstwem maleńkich owadów. - I co z tego?

- Wojna mnie fascynuje - powiedział Delizia. - Fascynuje mnie sposób, w jaki kształtuje ona nasze poczucie wszechświata, w którym się znajdujemy i nasz do niego stosunek; wojna jako mitologia, jeśli chce pan tak to ująć. Wojna wpoila w nas wszystkich dogłębnie manichejski punkt widzenia wszechświata i każe nam dobierać wszystko w kategoriach biegunowych przeciwieństw: dobra i zła, bieli i czerni, ludzi i veichów. Na samo życie patrzymy jako na nieustanną walkę przeciwstawnych sił, walkę o duszę i ducha człowieka, w której odwaga zмага się bez końca ze strachem, podobno przez nas pokonanym, lecz ciągle jeszcze grożącym wyrwaniem się ze swego mrocznego więzienia i wyzwoleniem istnego pandemonium w uświęconych korytarzach naszej świadomości. Wojna narzuca nam reguły zachowania i kategorie myślenia... Ale problemem, który interesuje mnie najbardziej, jest kwestia możliwości uwolnienia się spod jej wpływu. Nie tylko powierzchownego, ale z całkowitym wykorzeniem jej z naszego istnienia, z pokonaniem sposobu, w jaki każe nam widzieć samych siebie i kosmos jako ognisko wiecznego konfliktu. Dlatego właśnie interesuje mnie pan, Remy. Chciałbym wiedzieć, jak właściwie daleko udało się panu uciec od pańskiego uwarunkowania.

Remy zrobił niechętny ruch ręką i rzucił kwiaty w przestrzeń, tak że zatrzepotały płatkami przelatując obok niższego balkonu i zniknęły w dole między krzewami ogrodu.

To dla mnie nieco zbyt metafizyczne - powiedział.

- Metafizyka - odparł Delizia - to jedyna rzecz, która się liczy. Bez niej nie ma w życiu nic ponad to, co widzimy i robimy, a wszelkie znaczenie i logika związków rozwiewa się jak mgła.

Remy spojrział na niego gniewnie. - Nie mam na to czasu - powiedział.

- Niech pan poczeka - rzucił szybko Delizia. - Nie zaszkodzi panu posłuchać. Chcę tylko coś wyjaśnić, coś bardzo, według mnie, ważnego. Może pan nie widzi znaczenia tej sprawy teraz, ale myślę, że z czasem pan je dostrzeże. To naprawdę jest ważne, przynajmniej dla mnie.

Remy zawahał się, zastanawiając czy nie zostawić tego małego człowieka, by paplał sam do siebie, ale został i oparł się swobodnie o poręcz barierki biegnącej po zewnętrznej stronie wiszącego ogrodu.

- Tam - powiedział Delizia, niedbałym gestem wskazując na niebo, którego błękit właśnie z wolna się rozjaśniał - znajdują się miliony gwiazd typu Słońca, z układami, w których krążą miliony planet typu Ziemi. Na podstawie dokonanych do chwili obecnej odkryć, ich ilość w tej galaktyce oblicza się na sześć milionów; sześć milionów światów niewiele różniących się od tego, na którym stoimy. Na pewno wiemy o jakichś trzydziestu pięciu czy czterdziestu tysiącach, jeżeli policzyć informacje z drugiej ręki uzyskane od wieków. Na każdym z tych światów występuje życie. Na każdym z tych światów cząsteczki kwasów nukleinowych kodują formy życia bardzo mało różniące się od tych, które znajdujemy na Ziemi. W kategoriach chemicznych, wszystkie formy życia występujące na tych światach są spokrewnione; schematy ewolucji zdumiewająco podobne. Przyzwyczailiśmy się już do tego - przyzwyczailiśmy się tak bardzo, że niemal zupełnie zapomnieliśmy jak niesłychanie jest to zdumiewające.

Możliwe, że ze wszystkich istniejących związków węgla tylko kilka zdolnych jest do spełnienia roli cząsteczek kodujących w systemach genetycznych. Być może działa tu jakiś zadziwiający determinizm chemiczny, każący wszystkim niezależnym ciągom ewolucyjnym występującym na światach o orbitach ziemskiego typu doprowadzić do wyłonienia organizmów opartych na DNA i RNA. Co więcej, możliwe jest także, że tylko pewne rodzaje organizmów są efektywne; że istnieją pewne określone, zdolne do życia struktury i kombinacje struktur, które także po prostu muszą się wyłonić i kroczyć podobnymi ścieżkami. Być może istnieje tylko jeden jedyny, trwały wzorzec życia opartego na węglu i

nie ma innej drogi, którą ewolucja mogłaby obrać. Może obserwowane przez nas różnice między znanymi nam systemami życia i organizmami zajmującymi w nich podobne miejsca są jedynymi różnicami, które w ogóle mogą istnieć, przy takiej, jaka istnieje, fizycznej kompozycji tych światów, rozpiętości ich środowisk i występowaniu wody w stanie płynnym. Wszystko to wydaje mi się najbardziej niesłychanym zbiegiem okoliczności, jaki można sobie wyobrazić, ale skłonny jestem przyznać mu prawdopodobieństwo wystąpienia. Jest jednak jeszcze jeden czynnik, który spycha tę hipotezę w obszar absolutnego nieprawdopodobieństwa, a czynnikiem tym jest czas.

Większość systemów planetarnych typu Układu Słonecznego występujących w Galaktyce ma mniej więcej taki sam wiek - w Galaktyce jako całości występuje swoisty ład ewolucyjnego rozwoju i dziejące się w niej rzeczy charakteryzuje dość duże uporządkowanie. Ale "mniej więcej taki sam wiek" w kategoriach czasu życia gwiazd oznacza, że przeciętne różnice wieku trzeba szacować na setki milionów lat. Nawet w skali procesów ewolucji życia to bardzo długi okres. A jednak nie udało się znaleźć ani jednego świata, na którym historia ewolucji właśnie teraz by się rozpoczynała, ani też żadnego, na którym osiągnęłaby etap wyprzedzający o dziesiątki milionów lat obecny poziom ewolucji obserwowany przez nas na Ziemi. Różnice między najbardziej a najmniej zaawansowanymi światami dają się mierzyć zmianami zachodzącymi w ciągu setek tysięcy lat - a to trzy rzędy wielkości mniej. Z tego, co wiemy, nie było żadnych znających podróże kosmiczne lemuroidalnych ras przed mapirenami i cascarenami. Gdybyśmy my i veichowie zniknęli tak jak oni, już dziś istnieją tysiące kandydatów na następne pokolenia międzygwiazdnych ras... Tysiące gotowe zająć nasze miejsce po upływie dwudziestu czy trzydziestu tysięcy lat, a może nawet wcześniej.

Te trzy rzędy wielkości są dowodem - dla każdego logicznie rozumującego umysłu - że Galaktyka, a przynajmniej ta jej część, którą nazywamy przestrzenią zbada ną, została kiedyś zasiedlona. Nie wiemy, ile razy była zasiedlana, ponieważ nie wiemy, jak wiele ustępstw można poczynić na rzecz tyranii przystosowawczego przeznaczenia. Może została zasiedlona raz, pierwotnymi jednokomórkowcami, niosącymi ze sobą pełny schemat ewolucji, aż do inteligentnych lemuroidów - jako potencjalnej możliwości - włącznie. Być może miało miejsce drugie zasiedlenie, w momencie pojawienia się pierwszych kręgowców; być może trzecie, kiedy wprowadzono przodków ras lemuroidalnych i mniej uprzywilejowanych naczelnych. Nikt tego nie wie. Ale wierny - z całą pewnością - że Galaktyka została zasiedlona i że my stanowimy wynik tego zasiedlenia. Może jesteśmy tylko etapem procesu prowadzącego do czegoś innego. A może jesteśmy jedynie produktem ubocznym. Ale tak czy inaczej jesteśmy rezultatem planowego działania kogoś innego.

Remy słyszał już te argumenty, choć nigdy podane w tak natarczywie polemicznej formie. Przywykł do tego, że te spekulatywne pojęcia przewijały się tylko w czasie intelektualnych zabaw, rozmów prowadzonych wyłącznie dla rozrywki. On sam nie bardzo wiedział, jak ten dyskusyjny program można byłoby rozstrzygnąć w jedną czy drugą stronę, ani jakie to rozstrzygnięcie mogłoby mieć znaczenie. Z jednej strony przyznawał wywodowi Delizii wewnętrzną spójność i logikę, ale natychmiast rodziła się w nim podejrzliwość - właśnie dlatego, że problem był dyskutowany, z założenia służący do wykazania siły perswazji dyskutanta i jego umiejętności żonglowania potoczystą retoryką.

To wszystko może być prawdą - powiedział - ale zupełnie nie widzę, jaki to może czy powinno mieć wpływ na nasze życie.

- Każdy teolog z pierwszego czy drugiego tysiąclecia osłupiałby, słysząc co pan mówi - odparł Delizia. - Oto mamy empirycznie podbudowaną, naukową teorię świadcząca niezbicie o istnieniu istoty lub istot odpowiedzialnych za akt naszego stworzenia, według ich kategorii, Boga, a pan nie widzi, jaki to może czy powinno mieć wpływ na pańskie codzienne życie!

- Nie - powiedział Remy - nie widzę.

- W oparciu o posiadane przez nas dowody nie możemy oczywiście budować żadnego systemu teologicznego - ciągnął Delizia. - Tym niemniej istnieją realne implikacje. Nie wiemy kto zasiedlił Galaktykę: obcy spoza jądra, prapierwotne lemuroidy czy goście z innej galaktyki. Nie wiemy także jaki był ich cel. Być może operacja ta stanowi coś w rodzaju kolonizacji niewiele różniącej się od ruchu, który my sami zainicjowaliśmy w okresie diaspory; a może stanowi jakiś ogromny eksperyment, w którym rolę laboratoria gra cała galaktyka. Ale nie wolno nam dopuścić do tego, by fakt, iż nie znamy odpowiedzi na te pytania, zaciemnił nam to, że wiemy i to bez cienia wątpliwości, że pytania te są realne i że odpowiedzi na nie w zasadzie istnieją. Nie znamy tożsamości naszego stwórcy, ale wiemy już, że jakiś stwórca był. Nie znamy celu tego stworzenia, ale wiemy już, że było ono celowe. Wiedza o tym, że te pytania istnieją i że czekają na odpowiedzi jest wyzwaniem, którego nie możemy zignorować. Trudno sobie wyobrazić bardziej gruntowną, intelektualną rewolucję niż ta, która nastąpiłaby po odkryciu celu, w jakim ten ktoś rozpowszechnił pewien szczególnie rodzaj życia w całej Galaktyce. Takie odkrycie powiedziałoby nam dokładnie, jakie miejsce zajmujemy w zamieszkiwanym przez nas wszechświecie.

- Ale ja nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - odparł Remy spokojnie. - A nawet gdybym potrafił, to i tak w dalszym ciągu musiałbym żyć swoim własnym życiem tu, na Haidrze. Gdyby podał mi pan tę odpowiedź teraz, to mogłoby to być interesujące, mogłoby nawet wywołać jakiś emocjonalny odzew z mojej strony, ale nie miałoby żadnego wpływu na

stan spraw w Ziaracie, i to w najmniejszym nawet stopniu. Nie wierzę, by metafizyczne niepokoje i stany duchowego kryzysu mogły w jakikolwiek sposób zwiększyć szansę przeżycia i mówię tu o moich szansach przeżycia, a nie szansach przetrwania jakiegokolwiek politycznej czy rasowej zbiorowości. Pan i ja myślimy na zupełnie innych długościach fal, panie Delizia. I to wszystko. Pan jest archeologiem i w codziennym swoim życiu ma pan do czynienia, przynajmniej w wyobraźni, z historią ostatnich kilkudziesięciu tysięcy lat. Dla pana pytanie kto zasiedlił Galaktykę i dlaczego, jest realnie ważne. Ale moim zawodem jest walka, ja jestem najemnym żołdakiem. Mój umysł zaprzęta problem przeżycia do następnego dnia, w mieście pełnym obcych, których większość mnie nienawidzi i którzy chcieliby mną manipulować jak czymś w rodzaju z góry spisanego na straty narzędzia.

Odwrócił się, by odejść, tym razem zdecydowany już nie zawrócić.

- Chciałbym jeszcze kiedyś dokończyć tej rozmowy - powiedział Delizia, godząc się ze swą chwilową porażką.

- Myślę, że potrafię panu wykazać, że pytania, które mnie tak interesują, są jednak związane z problemem pańskiego osobistego przetrwania. Prawdę mówiąc, mogą być nawet najistotniejszymi dla niego czynnikami.

Remy poprzestał na krótkim spojrzeniu przez ramię i ledwie dosłyszalnym mruknięciu:

- Wątpię.

8.

Większą część ranka spędził na zbieraniu swojego oddziału i gromadzeniu zapasów. Pracę tę udało mu się zakończyć kilka godzin po minięciu południa, ale wymarsz karawany na Syrenę zdecydował się odłożyć aż do nastania zmierzchu. Główną przyczyną tej niezamierzonej zwłoki było to, że jeden z jego poruczników - człowiek, został dwa dni wcześniej zabrany przez policję Yamby i oskarżony o morderstwo. Wieści te przyniósł Remy'emu Madoc, który znaczną część dnia stracił na poszukiwaniu tego właśnie człowieka.

Wiadomość była niepokojąca z wielu powodów. Mężczyzna, o którego chodziło - znany pod przyzwiskiem Myszki, ironicznej aluzji do jego ogromnego wzrostu i napastliwego charakteru - miałby nieocenioną wartość, gdyby doszło do walk z er'kresha. Co więcej, gdyby Remy opuścił miasto i zostawił Myszkę samego, prawdopodobieństwo, że królewski sąd najwyższy uznałby go winnym zarzucanego mu czynu, znacznie by wzrosło. Yerema nie był w stanie praktycznie nic dla niego zrobić, a Calvarowie nie uczyniliby sami żadnego kroku - bez wyraźnych instrukcji Yeremy. Niewątpliwie Yamba doskonale o tym wiedział i

stosownie do tego wybrał moment. Już od dość dawna szukał sposobności do wystąpienia przeciwko najemnikom, choćby tylko po to, by dać upust swojej złości, której mnóstwo musiało się w nim nagromadzić w ciągu długiego okresu stopniowego odsuwania go od władzy w Ziaracie.

Myszka był, oczywiście, winny tego morderstwa i fakt ten nie stanowił dla nikogo żadnej tajemnicy. Wielu sioconów z radością przyjęłoby wieść o jego osądzeniu i straceniu, a popularność Yamby na pewno nie poniosłaby uszczerbku, gdyby udało mu się do tego doprowadzić. Z drugiej jednak strony, gdyby mu się to nie udało, to byłby to dla wszystkich jawny dowód utracenia przez niego wszelkiej władzy. W ten sposób aresztowanie Myszkę postawiło Remy'ego w obliczu bardzo trudnego problemu taktycznego i dyplomatycznego. Ponieważ jednak w całej tej sprawie podstawowe znaczenie miał czas, pozostawała tylko jedna metoda działania, i to bardzo ryzykowna. Remy zdecydował, że będzie musiał skorzystać z ciemności zmierzchu, siłą odbić Myszkę z aresztu Yamby i razem z ekspedycją wyprowadzić go z miasta, jeszcze nim nastanie świt.

Popołudnie dłużyło się nieprzyjemnie; Remy zamknął się w swoim pokoju, by napisać list do Yeremy ze szczegółami szlaku, którym miał zamiar poprowadzić karawanę i wszystkimi informacjami uzyskanymi od Scapaccia. Zasugerował najdogodniejsze miejsca i pory, w których on i Yerema mogliby się potajemnie spotykać w czasie trwania podróży. Miał zamiar zostawić Ust któremuś ze swoich sioconów, by dyskretnie doręczył go Yeremie w ciągu nocy. Zdążył jednak napisać niewiele ponad połowę swojej notatki, gdy przerwało mu pukanie do drzwi. Wsunął szybko obciążający dokument do szuflady i zawołał głośno, zapraszając czekającą pod drzwiami osobę do środka.

Do pokoju weszła Justina Magna. Zamknęła za sobą drzwi i zaciągając przesłaniające je zasłony, spojrzała na biurko i pióro, które Remy ciągle jeszcze trzymał w ręku.

- Pisze pan testament? - spytała. Podeszła do łóżka i usiadła na nim, "opierając się plecami o wezglowie i podciągając kolana pod brodę, dokładnie w pozie, jaką zazwyczaj przybierał Remy.

- Naturalnie - odparł. - Człowiek powinien być przygotowany na wszelkie ewentualności.

- Nie zrobił pan specjalnych postępów w uwodzeniu mnie - powiedziała. - A nie zostaniemy tutaj już zbyt długo.

- Byłem zajęty - odparł Remy.

- Wszyscy tak właśnie mówią - powiedziała z udawanym ciężkim westchnieniem. - Nie szkodzi, kiedy znajdziemy się pod wygwieżdżonym niebem pustyni, wszystko będzie inaczej. Pustynie są takie romantyczne.

- Miałem zamiar dzielić swój namiot z jednym z moich ludzi.

- Ja w swoim będę sama.

Remy odchylił się do tyłu, oparł stopę o krawędź biurka i odpychając lekko od niego, zakołysał się na tylnych nogach krzesła.

- Czego pani chce? - spytał.

- Czy to nie oczywiste?

- Oprócz tego.

- A potrzebne mi jakieś inne powody?

- Nie mogę uwierzyć, że to po prostu przypadek pożądanego od pierwszego wejrzenia. Myślę, że pani czegoś chce. Czegoś, co próbowała pani uzyskać od Scapaccia, ale się to pani nie udało. Choć może próbuje pani tylko zdobyć sobie nade mną pewien rodzaj władzy, która ułatwiłaby pani później stawianie żądań. Jeśli o to chodzi, to niech pani da sobie spokój. Na pierwszym miejscu stawiam siebie, później Scapaccia, Dowództwo Haidry zajmuje kieszonką trzecią pozycję.

Podniosła brwi. - Myśli pan, że pracuję dla Dowództwa Haidry?

- Najprawdopodobniej - odparł. - Być może nie ma pani żadnego konkretnego zadania, ale jest pani elementem układów rządzących tą planetą i kiedy została pani oficjalną tłumaczką Scapaccia, musiała się pani zorientować, że on ukrywa coś przed Dowództwem; coś, co według niego jest bardzo ważne. Jeśli miałoby to stanowić dla pani jakąkolwiek pocichę, to mogę pani powiedzieć, że przede mną także to coś ukrywa.

- Niech pan sobie wyobrazi - powiedziała - że Dowództwo Haidry głównie mnie obchodzi. Chciałabym się wyrwać z tutejszych układów, tak jak Scapaccio chce się uwolnić od swego własnego szczególnego układu. Do wybadania co się tutaj właściwie dzieje pobudza mnie czysta ciekawość, może z kropelką nadziei, że uda mi się jakoś wyrwać z Haidry. Możemy więc mieć więcej wspólnego ze sobą, niż pan myślał. Jeśli ktokolwiek pracował dla Dowództwa Haidry, to tym kimś był Verdi, a teraz Garston. Nie wiem jak doktor Melcart, ale ona przecież i tak zostanie tutaj. Tak to wygląda, więc dajmy spokój temu wszystkiemu i wróćmy do spraw mniej odległych, a znacznie bardziej interesujących. Jak na przykład pożądanego. Scapaccio zaczyna mnie nudzić... Prawdę mówiąc, nudził mnie od samego początku.

- Może powinna pani spróbować optimena - powiedział Remy z zamierzonym szyderstwem.

- Już to zrobiłam - odcięła się chłodno. - Jest w tym coś pikantnego. Nie wszystko mu zrobili w odpowiedniej skali; no, wie pan, a poza tym jest zupełnie bezpłodny. Dali mu jaja, bo potrzebowali źródła testosteronu, ale popieprzyli coś z jego chromosomami tak, że nie pasują już do naszych; nie ma takiej siły, żeby jego sperma mogła zapłodnić ludzkie jajeczko.

- A jajeczko optikobiety? - spytał Remy.

- Nie ma takich. W końcu zamiar polegał na stworzeniu nowej broni, a nie nowej superrasy. Optimeni nie mogą się rodzić, muszą być produkowani. Optymalizacja została im niejako narzucona.

- Ach tak.

- Wyczuwam w pańskim tonie pewien niesmak. Ale Andros jest niezwykle ludzki, kiedy pozna go się bliżej. Trening, jakiemu się poddali, jest jedynie takim samym treningiem, jakiemu poddawane są wojskowe dzieci, może nieco bardziej intensywnym i nie zakłóconym innymi czynnikami. Czyż w jego żyłach nie płynie krew?

- Dokładnie to samo można powiedzieć o tysiącu obcych ras i wcale nie są one przez to mniej obce.

- Ależ owszem - powiedziała. - I dobrze pan o tym wie. Prawdę mówiąc, kto lepiej niż pan wie, że poza swoimi maskami i systemem społecznym veichowie są tacy sami jak my? Nie wydaje mi się, żeby moje pieprzenie się z Androsem różniło się czymkolwiek od pańskiego pieprzenia się z kurwami veichów.

Remy pomyślał o Valli i zacisnął szczęki. Ale przecież Justina Magna o niej nie wiedziała - jej uwaga była najzupełniej prostolinijna. Najwyraźniej Justina Magna miała w ogóle bardzo prostolinijny charakter.

Ktoś zapukał do drzwi. Kobieta zaśmiała się lekko.

- Teraz już rozumiem, co pan miał na myśli mówiąc, że jest pan bardzo zajęty - powiedziała.

Tym razem gościem był Cezar Scapaccio. Jego spojrzenie ledwie musnęło Remy'ego i natychmiast ciężko spoczęło na kobiecie. Twarz Scapaccia ściągnęła się i nie sposób było nie dostrzec na niej wyrazu gniewnej zazdrości, którą zwalczył i opanował. Kiedy odwrócił się z powrotem i spojrzał na Remy'ego, jego głos brzmiał nieco tylko matowo.

- Chciałbym z panem porozmawiać - powiedział. - W cztery oczy.

Justina Magna natychmiast ześliznęła się z łóżka, jakby po to, by opuścić pokój, a potem nagle zmieniła zdanie i zaczęła się leniwie przeciągać.

- W porządku - powiedziała, cedząc słowa jakby w rozmarzeniu. - Możecie sobie iść. Ja tu zaczekam.

Scapaccio zacisnął zęby i z. wściekłością zrobił się na twarzy zupełnie siny, o co kobiecie najwyraźniej chodziło. Remy także poczuł nagłą ochotę, by dać upust swojej złości, ale kiedy ujrzał reakcję Scapaccia, opanował się. Nie było sensu dać się wciągnąć w grę na tak absurdalnym poziomie, pozwolić jej, by przy jednym ogniu upiekła dwie pieczenie.

- Proszę bardzo - powiedział. - Pójdziemy w takim razie na dach. - Sięgnął do szuflady, wyjął z niej nie dokończony list i złożony go starannie, wsunął do kieszeni koszuli. Przy tak drażliwych informacjach jak te zawarte w jego treści, nie miał najmniejszego zamiaru lekkomyślnie ryzykować.

Wyszli obaj ze Scapacciem z pokoju i wspięli się na małe trzecie piętro. Nie odzywali się do siebie, a Remy nie odwracał głowy, by zobaczyć czy archeolog mu się przygląda. Zanim dotarli do wiszącego ogrodu, Scapaccio znów stał się najbardziej rozsądnym i opanowanym z ludzi.

Remy zamknął za nim drzwi i zauważył wzrok Scapaccia pilnie przeczesujący krzewy w poszukiwaniu jakiegoś ukrytego podsłuchiwacza. Kiedy pułkownik w końcu się odezwał, jego głos brzmiał cicho, lecz nie konspiracyjnie.

- Wygląda na to - powiedział - że nie jestem jedyną osobą, która próbuje zapewnić sobie pańską pomoc.

Remy sprawiał wrażenie zaskoczonego. - Ona nie... - zaczął.

Scapaccio przerwał mu ruchem ręki. - Nie ona - powiedział. - Miałem na myśli Ramona.

Wyraz zaskoczenia w dalszym ciągu nie opuszczał twarzy Remy'ego.

- Ramon jest mi potrzebny - ciągnął gładko Scapaccio. - Potrzebna jest mi jego wiedza i doświadczenie. W tym, co robi, jest świetny. O pozostałościach po mapirenach wie więcej niż jakikolwiek człowiek w tym sektorze, może nawet więcej niż w ogóle jakikolwiek żyjący człowiek. Ale ma kilka dość dziwacznych obsesji, których nie należy brać poważnie. Wiem, że pan jest rozsądnym człowiekiem i pewnie zirytowały pana te jego kliwo-fantastyczne bajdurzenia, ale chciałbym jeszcze raz bardzo wyraźnie zaznaczyć, że za tymi jego zwariowanymi koncepcjami nic się nie kryje. To co spodziewa się znaleźć w poszukiwanej przez nas bazie mapirenów, ma być czymś w rodzaju pseudo-religijnego objawienia; jest to oczekiwanie oparte raczej na nadziejach niż na jakimkolwiek rozsądnym rozumowaniu. Myślę, że to ważne, by zdawał pan sobie sprawę z tego, że on nie wie, o czym mówi.

- Naprawdę? - spytał Remy, zdążywszy już do tej pory otrząsnąć się z zaskoczenia. - Wydawało mi się, że to co mówi, brzmi dość logicznie. Być może powody, dla których tu przyjechał, nie są identyczne z pańskimi, ale sprawiają wrażenie szczerych.

W tym momencie urwał, mając nadzieję, że Scapaccio sam rozwinie ten temat dalej. Było zupełnie jasne, że pułkownik czuł się mocno zaniepokojony, czy Delizia nie zdradził przypadkiem czegoś więcej niż on sam. Za wszelką cenę chciał zachować pełnię kontroli nad ekspedycją i obawiał się, że Remy może dowiedzieć się zbyt wiele o tym szczególnym skarbie, na który polował. Poszukiwanie skarbów, z czego Remy w pełni zdawał sobie sprawę, było zajęciem rodzącym paranoję w nieobliczalnej skali.

- Do tej pory - odezwał się po chwili Scapaccio - składane panu przeze mnie obietnice były dość mgliste. Myślę, że nadszedł czas, by wreszcie wszystko wyjaśnić. Jeżeli gotów jest pan działać w tej sprawie na moją korzyść, moją i niczyją więcej, to gwarantuję panu wolny przejazd na wybraną przez pana plażę zbadanego wszechświata, zaniechanie dochodzenia w sprawie wszelkich popełnionych przez pana w przeszłości wykroczeń i tyle pieniędzy, by mógł się pan przyzwoicie urządzić do końca życia. Jeśli znajdę na Syrenę to, czego szukam, to z pewnością będę w stanie wywiązać się z tych wszystkich zobowiązań, to znaczy zakładając, że zdobędę wyłączną kontrolę nad informacjami, o których tu rozmawiamy. Ramon jest mi potrzebny do pomocy w uzyskaniu tych informacji, ale kiedy wejdę już w ich posiadanie, trzeba będzie zmusić go do milczenia. Och, nie mam zamiaru wyrządzać mu jakiegokolwiek krzywdy, rozumie pan to chyba. Ale myślę, że będzie zupełnie szczęśliwy mogąc zostać na pustyni, kiedy my zabierzemy się do robienia tego co konieczne. Jego ambicje mają nieco inny charakter niż moje... A do tego posiada coś, co można byłoby nazwać skazą ewangeliczną. Zupełnie nie wie co to dyskrecja. Czy mówię dość jasno?

- Naturalnie - powiedział Remy. - Wszystko jest najzupełniej jasne. Spodziewa się pan zbić fortunę, a ja mam dostać za to swój udział. Wszystkich innych zamieszanych w tę sprawę trzeba z niej wyłączyć. Inaczej nie da się tego rozegrać.

- Cieszę się - powiedział Scapaccio. - Naprawdę bardzo się cieszę, że trafiłem na pana. Jest pan dokładnie tym, kogo mi trzeba.

- Chyba rzeczywiście jestem - odparł Remy. - A teraz, zechce mi pan wybaczyć, czeka na mnie Justina Magna.

Uważnie obserwował twarz Scapaccia, by ujrzeć na niej reakcję jakiej się spodziewał, ale pułkownik odzyskał już pełnię kontroli nad sobą. Remy wiedział doskonale, że i on sam miał zostać wykluczony w momencie uzyskania przez Scapaccia tego, o co mu chodziło, ale równie jasno zdawał sobie sprawę, że prawdopodobieństwo, by wszystko potoczyło się

dokładnie po myśli archeologa, było bardzo małe. Jak wszyscy chciwcy, Scapaccio łudził się przeceniając swe możliwości.

A tego Remy zawsze się wystrzegał.

9.

Ze snu wyrwało Myszka pobrzękiwanie klucza w zamku jego celi. Dźwięk nie był głośny i sam w sobie nie wystarczyłby do rozproszenia sennych marzeń, ale podświadomie Myszka doskonale zdawał sobie sprawę, że dźwięk ten może oznaczać tylko dwie bardzo ważne rzeczy: przesłuchanie albo oswobodzenie. Właśnie ta zakodowana w podświadomości alternatywa dostarczała bodźca, który w ułamku sekundy zupełnie go rozbudził.

Z pryczy poderwał się nieco wolniej, niżby sobie tego życzył; był ogromnym mężczyzną, lecz znaczną część jego ciała stanowiły nie tyle mięśnie, co tłuszcz. Dysponował potężną siłą, ale jego ruchy cechowała pewna ociężałość, a rozpacz, o jaką przyprawiał go brak zręczności, była jedną z głównych przyczyn zmienności jego nastrojów. Irytował sam siebie, ale inni irytowali go w dwójnasób. Żył podejrzeń, że inni gotowi byli nieustannie szydzić z jego powolności i zarzucać mu - fałszywie - głupotę. Łatwo go było urazić i szybko na takie obrazy reagował. Siocon, o którego zamordowanie został oskarżony, nie był pierwszym mężczyzną zabitym przez niego z dość błahych powodów w przyływie wściekłości. Już samo osiedlenie się w Ziaracie było konsekwencją takiego właśnie incydentu. Myszka nie zdezerterował z przyczyn ideologicznych.

Usłyszał odgłos zapalniczki pocieranej o kamienną ścianę i zobaczył jak rozbłyskuje światłem trzymana między kciukiem a palcem wskazującym ludzkiej ręki.

- Myszka? - wyszeptał jakiś głos. Ręka przesunęła się nieco w górę i żółtawe światło zapalniczki oświetliło twarz Remy'ego

- Jestem - odparł równie cicho Myszka. Opadł na czworaka koło łóżka i po omacku zaczął szukać butów.

- Pospiesz się - ponaglił inny głos, który Myszka rozpoznał jako należący do Madoca. Poza lewym ramieniem Remy'ego dostrzegł zarys czarno-błękitnej twarzy Iasusa Fiemme.

- Jak się tu dostaliście? - spytał Myszka. Starał się mówić jak najciszej, w wyniku czego głos mu nieprzyjemnie zachrypiał.

- Przekupując jednego, żeby spił czterech pozostałych - odparł Remy. - Lecz mimo to musimy być bardzo ostrożni. W tym budynku jest jeszcze wielu innych ludzi Yamby. To dobrze, że zamknęli cię właśnie tutaj, gdyby trzymali cię w więzieniu, musielibyśmy

wysadzić je w powietrze. Yamba próbował zachować miejsce twojego pobytu w tajemnicy, ale zrobił to głupio. Jesteś gotów?

- Jestem.

- Połóż rękę na moim ramieniu - mruknął Remy. - Ja będę szedł krok w krok za Iasusem.

- Zdmuchnął zapałkę i schował poczerńiałe drewnienko do kieszeni.

Myszka chwycił Remy'ego za ramię i ruszył za nim w głąb ciemnego korytarza biegnącego wzdłuż całego piętra. Wychodziły na niego drzwi wielu innych cel, ale żadna z nich nie była zajęta. Budynek ten był wartownią jednej z biedniejszych dzielnic miasta, a obecnie wykorzystywano go głównie na koszary. Cele miały służyć wzmocnieniu dyscypliny wojskowej w czasach, kiedy pojęcie dyscypliny miało jeszcze w armii Yamby jakąkolwiek wartość.

Czterej mężczyźni zaczęli wspinać się po długich, kamiennych schodach, wijących się wokół potężnego filaru, bardzo zimnego i nieprzyjemnie wilgotnego w dotyku. Posuwali się cicho, lecz z całą pewnością nie bezszelestnie, zmuszeni do wyczuwania czubkami każdego stopnia i każdej nierówności ich kamiennej nawierzchni.

U szczytu schodów natrafili na masywne drewniane drzwi, prowadzącego do następnego, znacznie szerszego korytarza. Zastygli w bezruchu, kiedy Iasus Fiemme uchylił je powoli i wyjrzał przez szparę na drugą stronę. Po chwili wysunął się przez nie, a za nim wszyscy pozostali - najpierw Remy, potem Myszka i na końcu zamykający pochód Madoc. Myszka poczuł, jak ręka Madoca zsuwa się z jego ramienia na klamkę i usłyszał cieniutkie skrzypnięcie delikatnie zamykanych drzwi.

Ruszyli dalej, ale nie uszli jeszcze nawet trzech kroków, kiedy dobiegł ich odgłos otwierania jakichś innych drzwi - a potem jeszcze jednych.

Tylko Iasus Fiemme, którego oczy posiadały dar widzenia w ciemności, mógł dostrzec, co się dzieje. Pozostali usłyszeli jedynie dobiegający z absolutnych ciemności głos:

- Stać. Nie ruszać się. Nie dotykać broni.

Myszka poczuł, jak Remy sztywnieje w bezruchu i sam zrobił to samo.

Ktoś stojący sześć czy siedem kroków przed nimi przyłożył zapaloną zapałkę do knotu lampy naftowej, a jej światło zamigotało mikrym błękitem, nim nabrało koloru jasnej, ciepłej żółci. Między Remy'm i jego grupką a drzwiami prowadzącymi do głównego hallu wartowni stało dwóch sioconów z pewnie wymierzonymi karabinami. Z tyłu za plecami Myszkę stało dwóch następnych, odcinając wszelką drogę ucieczki. W przejściu, niemal dokładnie naprzeciwko drzwi zamykających wejście na kręcone schody, stał samotnie, z pistoletem w

dłoni mężczyzna, w którym Myszka natychmiast i bez trudu rozpoznał Yero Yambę, bękarciwego brata króla Ziaratu.

Kątem oka Myszka zauważył, że Remy i Madoc mają przy pasach kabury z pistoletami; Iasus Fiemme uzbrojony był jedynie w nóż.

- Łapówki - odezwał się chłodno Yamba - nie zawsze działają tak skutecznie, jak by się tego pragnęło.

- Na to wygląda - powiedział Remy. - Czy to ma znaczyć, że ma pan zamiar aresztować nas wszystkich?

- Jeśli tylko nie będziecie próbowali ucieczki - odparł siocon. - Wtedy mógłbym was prosto zastrzelić. Właściwie mógłbym was zastrzelić już teraz. Nikt poza moimi sioconami nie wiedziałby, że nawet nie próbowaliście stawiać oporu, a ci żołnierze są lojalni wobec mnie, a nie wobec pieniędzy Calvarów.

- Nie sądzę, by rzeczywiście ośmielił się pan posunąć aż do tego - powiedział Remy. - Już samo aresztowanie nas nie zyska aprobaty Yeremy, a Yerema cieszy się poważaniem Calvarów, którzy cieszą się poważaniem króla, który nigdy nie cieszył się opinią kochającego brata.

Yamba rzucił mu gniewne spojrzenie i kościstą ręką dał znak swoim zbrojnym.

- Zabierzcie ich z powrotem na dół - polecił. A zwracając się ponownie do Remy'ego dodał: - W odpowiednim momencie zobaczymy po czyjej stronie opowiedzą się Calvarowie.

Czterech sioconów postąpiło krok do przodu i w tym samym momencie Myszka zobaczył, że w odległym końcu korytarza otwierają się jakieś drzwi. Nikt inny nie patrzył w tym kierunku. Światło lampy naftowej uniesionej wysoko przez jednego z sioconów, rzuciło długie cienie wzdłuż całego korytarza, a jakaś szafa stojąca przy jednej ze ścian słała obiecującą schronienie zasłonę gęstej jak smoła czerni, ciągnącej się niemal do samego nadproża drzwi. Przez krótką chwilę mignęła Myszcze jakaś postać wyslizgująca się zza drzwi w zalegające przed nimi ciemności i na moment uwierzył świadectwu własnych oczu, które mówiły mu, że postacią tą był zakapturzony siocon. Zaraz potem z ciemności wyprysnął jakiś niewielki przedmiot. Minęło kilka ułamków sekundy, nim Myszka uzmysłowił sobie, że musi to być grot strzały. Jednocześnie dotarło do niego, że zakapturzona postać była niezwykle niska i że z całą pewnością nie był to siocon.

Zafascynowany śledził wzrokiem lot strzały, kątem oka widząc Yero Yamba odwraca się na brzek cięciwy łuku. Strzała trafiła wysoką postać w szyję, przebijając na wylot tchawicę.

Siocońscy żołnierze odwrócili się jak na komendę, słysząc przejmujący krzyk ich byłego dowódcy i w tej samej chwili Myszka zaatakował, wyrzucając do tyłu nogę, by potężnym

kopnięciem obalić tych dwóch, którzy stali za nim. Remy, choć wyraźnie zaskoczony, błyskawicznie uderzył w nasadę czaszki jednego z pozostałych sioconów, dokładnie w momencie, w którym tamten strzelił. Dwa karabiny zdążyły wypalić, posyłając skowyczące kule w czerń cienia. Kiedy Madoc powalił na ziemię czwartego siocona, a Iasus Fiemme rzucił się, by rozbroić tych, których potężnym kopnięciem unieruchomił Myszka, ten ostatni dał nura po broń upuszczoną przez siocona, którego ogłuszył Remy. W tym samym czasie Remy wyrwał z kabury swój własny pistolet i rozglądał się za celem. Na ułamek sekundy w uchylonych drzwiach przy końcu korytarza zarysowała się znów sylwetka łucznika próbującego wymknąć się, na zewnątrz, ale to wystarczyło, Remy strzelił i zabójca osunął się na ziemię.

Myszka użył kolby karabinu, który udało mu się podnieść z posadzki do ogłuszenia ostatniego z sioconów Yamby i wraz z tym całe niebezpieczeństwo zostało całkowicie zażegnane.

Remy pochylił się nad Yambą i popatrzył na niego w świetle rzeki płonącej z rozbitej lampy nafty rozlewającej się po kamiennej posadzce.

- Nie żyje - powiedział.

Myszka podbiegł do leżącego nieruchomo ciała zabójcy i odwrócił je twarzą do góry. Wyjął łuk z dłoni martwego mężczyzny i zauważył, że mniej więcej pośrodku owinięty jest kawałkiem jakiegoś papieru. Odwinął go starannie, lecz kiedy usiłował odzepić go od drzewca łuku, skrawek papieru rozerwał się na dwie części. Myszka podał je nadchodzącemu Remy'emu.

- Kresh - powiedział z niedowierzaniem w głosie.

Remy wziął od niego zwitek, obejrzał dokładnie obie rozerwane części i schował do kieszeni na piersi.

- Co to było? - spytał Myszka.

- Posłannictwo od bogów niebios, Ducha Wód i przodków w Zielonym Raju. Dostając moją kulę ten szczęściarz poszedł prosto do nieba. I nawarzył nam cholernego piwa.

To nie była przecież nasza wina - zaprotestował Myszka.

- Nie nasza - zgodził się Remy. - Ale bez względu na to jak mało braterskich uczuć żywi król, kiedy rozejdzie się weść, że jego brat został zamordowany, będzie musiał odegrać niezłe przedstawienie. To nie ma żadnego znaczenia, czy dokonaliśmy tego czynu czy nie; byliśmy na miejscu, a to oznacza kłopoty.

Madoc podszedł do nich z tyłu, niosąc dwa karabiny. Tuż za nim stanął Iasus Fiemme. - Ten nie żyje - powiedział Madoc, wskazując lufą karabinu na jednego z rozciągniętych na podłodze sioconów. - Za mocno go uderzyłem.

- To już nie ma żadnego znaczenia - odparł ochryple Remy.

- Gdyby ten kresh się tu nie pojawił - zauważył Madoc - wszyscy siedzielibyśmy teraz na dole, w celach. Wyświadczył nam przysługę.

- Jasne - powiedział Remy. - Ale coś mi mówi, że dzięki niemu bardzo, bardzo długo będziemy w Ziaracie persona non grata.

Ostatni wóz karawany znikł za wschodnią bramą miasta w nasyconej gwiazdami nocy. Remy przyglądał się jak wyjeżdżały, jeden za drugim, a potem dołączył do zamykającego karawanę Doona. Obejrzał się przez ramię na majaczące w ciemności mury miasta i unoszącą się nad nimi mgiełkę pomarańczowej poświaty, która w miarę tego, jak obywatele Ziaratu budzili się z nocnego snu, stawała się powoli coraz jaśniejsza.

- Nikt nas nie śledzi - upewnił go Doon.

- Wiem. Chłopcy Yamby nie ruszą za nami; będą zadowoleni, że się wynieśliśmy. Wolą raczej doprowadzić do skazania nas na wygnanie pod naszą nieobecność, niż mieć do czynienia z nami samymi.

- Czy Calvarowie nas nie wybronią? W końcu nie zrobiliśmy zupełnie nic, jeśli nie brać pod uwagę odbicia Myszki z więzienia.

- To wystarczy. Wystarczy, że byliśmy w całą tę sprawę zamieszani. Calvarowie nie kochają nas wcale bardziej niż sioconi. To Yerema był naszym protektorem. A teraz trafiła im się okazja do pozbycia się nas i na pewno z niej skorzystają. A Yeremy także nie będzie teraz w mieście. Nie możemy wrócić do Ziaratu.

Przez kilka chwil Doon jechał w zupełnym milczeniu, rozmyślając zapewne z niechęcią o tym, że konsekwencje czynu Madoca i Remy'ego odbiją się na nich wszystkich i zastanawiając się czy on sam nie miałby jakiejś szansy powrotu, może nawet po to, by zająć miejsce Remy'ego...

Remy nie przeszkadzał mu w tych rozmyśleniach; nie mogły go donikąd zaprowadzić.

W końcu Doon spytał: - No to co robimy?

- Zabieramy się za poszukiwanie mapireńskiej bazy na Syrenę - odpowiedział Remy. - I przestajemy mieć nadzieję, że jej tam nie ma, a zaczynamy mieć nadzieję, że tam jest.

- A co potem? Jak już ją znajdziemy?

Remy roześmiał się. - Nie wiem. To zależy od Scapaccia, Yeremy, Delizii, klanu Cagiriama... Na razie skoncentrujemy się na tym, żeby zachować życie. Jeżeli wszystko inne zawiedzie, zawsze pozostaje nam Tzara.

Pognał swego konia do przodu, nie mając ochoty na wysłuchiwanie pytań Doona. Najzwyczajniej w świecie nie znał na nie odpowiedzi, a to stawiało go w dość niezręcznej sytuacji.

Podjechał do przodu i zajął miejsce na czele kolumny, prowadząc ją drogą na wschód. Wewnątrz czuł dziwną pustkę - poczucie osamotnienia i niepewności. Czuł się tak jak wtedy, kiedy zdezerterował z wojska w Omerze, kiedy podróżował przez cały Azreon, nie wiedząc dokąd właściwie się udaje ani gdzie ta jego podróż się zakończy. Nie był zdenerwowany - prawdę mówiąc ogarnął go jakiś zupełnie niezwykły spokój - ale do głębi przenikał go chłód, chłód tak wielki, że uwalniał jego czyny spod kontroli umysłu, pozwalając mu obserwować i traktować samego siebie jak kogoś zupełnie innego.

Przebiegł w pamięci zamglone wspomnienia z Ziaratu, widząc i odczuwając wewnętrznymi zmysłami. Teraz, kiedy miały nie mieć już dalszego ciągu, kiedy w nowy sposób zaczęły należeć do przeszłości, wydawały się dziwnie odmienne. Ten etap jego życia już się zakończył i należało usunąć go w najdalsze zakamarki pamięci. Jedyłą jego pozostałością, jaką miał zabrać ze sobą, wkraczając w nową fazę życia, była ta garstka ludzi i veichów, mających podążyć jego śladem przez wschodnią bramę miasta przed następnym zachodem słońca. Jego przyszłość była w dalszym ciągu nierozzerwalnie związana z ich przyszłością i miała niemal całkowicie zależeć od Yeremy, jedynej istoty, do której miał zaufanie i jedynego mężczyzny, u jakiego kiedykolwiek w życiu szukał oparcia i rady.

W chłodnym, stojącym powietrzu, gwiazdy oświetlające drogę zdawały się wisieć nienaturalnie nisko. Kiedy tak jechał przed siebie, bez trudu potrafił sobie wyobrazić, że mógłby sięgnąć ręką i ich dotknąć. Przebywał na Haidrze bardzo długo - połowę swego życia - i zdążył się już do tego przyzwyczaić. Na samym początku, w Omerze, często myślał o opuszczeniu tej planety i spędzeniu reszty życia tak, jak spędził większość lat swego kształcenia - na statku, odwiedzając inne światy i cywilizacje. Z biegiem lat te marzenia opuściły go i dziś rzadko zadawał sobie trud odgrzebywania wspomnień z życia w przestrzeni czy na tych obcych planetach, na które udało mu się wtedy rzucić okiem. Już od pewnego czasu Haidra - a właściwie sam Azreon - stały się dla niego wszystkim, co w całym wszechświecie miało jakiegokolwiek znaczenie, stały się dla niego niemal wszystkim, czym ten wszechświat w ogóle był. Nawet wojna zatarła się w jego świadomości, niewymuszaną swobodą omijana w jego rozmyślaniach. Teraz jednak patrząc na gwiazdy widział w nich

odwzorowanie gigantycznego konfliktu, angażującego miliony międzygwiazdnych statków, wysysającego zdolności wytwórcze tysiący światów i miliardów rozumnych istot. Ta myśl sprawiała, że nawet same gwiazdy stawały się wrogie, jak niesione wiatrem drobiny srebrzystego pyłu, dniem i nocą nękającego Syrenę.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk dzwonka. Podniósł głowę i dostrzegł grupę sioconów, pędzących tuzin wychudłych zwierząt i usuwających się właśnie z drogi, by przepuścić karawanę. Jeden z sioconów trzymał w ręku małą latarnię, której światło wylaniało z mroku oczy zwrócone w kierunku mijającego ich Remy'ego. Oczy te lśniły, ale na wszystkich twarzach malował się jednolity wyraz wypranego z ciekawości otępienia. Prowadzili bydło do miasta, do rzeźni, gdzie zwierzęta miały zostać zarżnięte, a ich mięso zasolone i zmagazynowane w składach. Musiała to być nadwyżka zwierząt z jakiegoś wiejskiego stada, likwidowanego teraz przed nadejściem jesieni, w okresie gromadzenia zapasów na zimę.

Kiedy wozy przejechały, sioconi wpędzili swoje zwierzęta z powrotem na drogę i w milczeniu wznowili swą nużącą podróż.

10.

Pojazdy zjeżdżały w dół długiego, usianego bryłami skalnymi zbacza. Zaprzężone do nich silne, kosmate zwierzęta starannie wybierały sobie drogę, ciągnąc wozy to w jedną, to w drugą stronę, posuwając się do przodu jak pijak próbujący przejść wzdłuż nakreślonej kredą linii. Pospuszczały nisko głowy, wywiesiły języki z pysków i ciężko dysząc cierpliwie ignorowały kłęby much brzęczących wokół ich oczu i uszu. Przed nimi rozciągała się ogromna, jednostajna równina, zwana pustynią Syrenę.

Pustynia ciągnęła się aż po horyzont niczym leniwy, szary ocean, z falami, które ktoś w jednym ułamku sekundy powstrzymał i na wieki zestalił w bezruchu. Powietrze było zupełnie spokojne, a niebo bezchmurne, lecz horyzont rozmazywał się w bijącej od skał rozedrganej mgłę żaru i w zasnuwających go jak dym cząsteczkach zawieszzonego w oddali pyłu. Nie rosło tu nic poza przypadkowym źdźbłem szorstkiej, zielonej trawy i przysadzistymi sukulentami, które wyglądały raczej na fragmenty skał czy krystaliczne nacieki niż żywe organizmy. Tu i tam powierzchnię skał przecinały pęknięcia i rozpadliny, a spod ich krawędzi często błyskała plama zieleni. Na Syrenę nawet roślinność chroniła się we wszelkie dostępne miejsca przed wypalającym wszystko na popiół słońcem. W głębszych szczelinach ziemia powinna być chłodna, a mogła nawet zawierać odrobinę wilgoci. Wegetujące w nich rośliny nie potrzebowały obfitego ulistnienia - słońca zawsze miały pod dostatkiem, a czynnikiem

limitującym była woda. Życie na Syrenę toczyło się w zwolnionym tempie. Nie było tu ssaków ani ptaków - jedynie jaszczurki potrafiące żyć przez kilka dni energią uzyskaną ze schwymania pojedynczego owada. Nawet owady były tu ospale i bardzo rozważne; jeżeli miały skrzydła, to rzadko ich używały. Było tu po prostu za mało energii, by trwonić ją na taki zbytek jak latanie.

Z twarzą niemal całkowicie zakrytą wyprofilowaną, plastikową maską, przyciemnionymi okularami i filtrami na nos i usta, Remy obserwował zejście kolumny mając żarliwą nadzieję, że żaden z wozów nie złamie koła. Wewnątrz luźnej, białej koszuli skurcz międyżebrowych mięśni spinał mu klatkę piersiową bolesną obręczą. Nie znał przyczyny tego bólu, ale wiedział, że za jakiś czas sam przejdzie. Być może ból ten miał coś wspólnego z nagromadzeniem się w jego ciele nadmiaru odpadów produktów przemiany materii, bo zupełnie się nie pocił - jego ciało przywykło do maksymalnego oszczędzania wody. Sięgnął ręką, by delikatnie poruszyć maską; jakkolwiek by ją założył, zawsze któryś z jej elementów ocierał mu twarz, ale jeżeli co jakiś czas lekko nią poruszał, uszkodzenia skóry nie były poważne. Nie mógł sobie pozwolić na otwarte, nie gojące się rany.

Ramon Delizia, przyodziały podobnie jak Remy i dosiadając jednego ze sprowadzonych przez ludzi z Omeru, specjalnie wyhodowanych koni, ruszył powoli w poprzek zbocza w jego kierunku i równając się w końcu z Remy'm ściągnął cugle.

- Niech pan popatrzy ostatni raz na horyzont - powiedział Remy, wyraźnie i dość głośno wymawiając słowa, by można go było dosłyszeć i zrozumieć przez maskę. - Jutro, kiedy będziemy już daleko na równinie, pograżymy się w czymś w rodzaju otchłani, w świecie o kompletnie rozmazanych krawędziach, pod niebem patrzącym na nas jak ogromne, błękitne oko, spowite kręgiem ognia. Wygląda to zupełnie niezwykle nawet wtedy, gdy powietrze jest zupełnie spokojne, ale kiedy zrywa się wiatr, wrażenie staje się naprawdę niesamowite.

- Ile czasu zajmie nam dotarcie do masywu centralnego? - spytał Delizia.

- Pięć, może sześć dni. Droga jest dość łatwa. Zaspy pyłu nie są zbyt głębokie i jeśli tylko zwierzęta potrafią utrzymać się z dala od rozpadlin, nic im nie może się stać. Choć oczywiście nie można ich za bardzo poganiać. Po prostu trzeba uzbroić się w cierpliwość. Jak natomiast wyglądają warunki bliżej wnętrza pustyni, po prostu nie wiem. Można się tego tylko domyślać. - Popuścił koniowi cugli i skierował go w dół zbocza, a Delizia ruszył za nim.

- A jak właściwie dowiedzieliście się o istnieniu tej bazy? - spytał Remy. - Może ten informatyczny dysk kupiliście przypadkiem od jakiegoś niepiśmiennego żebraka z chińskiej dzielnicy chyłącego się ku ruinie miasta, takiego jak Ziarat?

- Scapaccio go znalazł - odparł Delizia. - Na Kilifi. Ja w tym czasie pracowałem na Pajilli i tam przywiózł mi ten dysk do drobiazgowej analizy. Udało nam się odzyskać mniej więcej dwadzieścia procent surowej wersji zapisanych na nim danych i połowę z tego rozszyfrować. Zupełnie niezły wynik jak na dysk, który liczy sobie trzydzieści tysięcy lat. Oczywiście był zabezpieczony i zmiany struktury krystalicznej zbierają swoje żniwo, nawet jeżeli okoliczności uchronią takie znalezisko przed uszkodzeniem mechanicznym.

- Kilifi należała chyba kiedyś do veichów, prawda? Tak jak Haidra.

- Owszem - potwierdził Delizia. Spojrzał uważnie na Remy'ego, wyraźnie zastanawiając się do czego zmierza.

- Dlaczego oni nie znaleźli tego dysku?

- Nie mieli szczęścia... Choć w pewnym sensie ten brak szczęścia zawdzięczają sami sobie. Ich neofeudalne społeczeństwo jest z samej istoty konserwatywne i mało sprawne. Ich nauka wykazuje skłonność do kontynuowania starych i zakorzenionych trendów, a różnice w prestiżu, jaki jest związany z pracą w różnych zawodach, są ogromne. Archeologia obcych ras nie cieszy się zbyt dużym poważaniem, zostawia się ją raczej amatorom. Amatorstwo jest rzeczą bardzo dobrą i ma nad profesjonalizmem przewagę hobbistycznej pasji, ale amatorzy nie najlepiej porozumiewają się między sobą, skłaniając się raczej ku pracy dla osobistej satysfakcji.

- Sądząc po panu i Scapacciu - powiedział Remy sucho - nie odnosi się do tylko do veichów.

- Ale u veichów jest to nie tylko normalne, lecz także chroniczne. Dlatego właśnie przegrywają wojnę. Mają dłuższą historię niż my, okres gwałtownego postępu technologicznego rozpoczął się u nich mniej więcej trzy tysiące lat temu i osiągnął swój szczyt na długo przedtem zanim rozprzestrzenili się poza swój układ planetarny. Ich grupy władzy, które wyłoniły się w fazie gwałtownych przemian, napotykały okazję, jakiej nasze nigdy nie miały - okazję do wykorzystania darów nauki do umocnienia swojej władzy i stworzenia systemu politycznego, który by zapewnił jej utrzymanie. Kreowali nową arystokrację, świadomie wykorzystując model ze swej własnej historii i starannie zabezpieczyli ją przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami obdarzając ją nowym językiem, egzotyczną wiedzą i ścisłą ekonomiczną kontrolą nad wszystkimi ważniejszymi zasobami. Wkroczyli w okres historycznej stabilizacji; nieciekawe czasy. Kiedy natknęli się na nas, byli już za bardzo ustabilizowani. Nie byli w stanie zareagować odpowiednio szybko. Na początku mieli pięć razy więcej światów i porządną przewagę technologiczną, ale nie potrafili sprawnie przestawić swego systemu gospodarczego na tory produkcji wojennej. Powoli przystosowali

go do tego, ale my zdążyliśmy w tym czasie zlikwidować ich przewagę i teraz sami ją mamy. Byliśmy znacznie lepsi w wymyślaniu wojennych filozofii i wojennych postaw i potrafilismy zmilitaryzować swoje społeczeństwo od góry do samego dołu znacznie gruntowniej niż oni. Prawdę mówiąc, zrobiliśmy to tak dobrze, że gdyby któregoś dnia wojna się skończyła, to obawiam się, że nie bardzo wiedzielibyśmy jak wrócić do stanu poprzedniego.

To był temat, którego Remy wolał nie kontynuować. Wiedział jak łatwo Delizia daje się ponieść nie kończącym się filozoficznym dywagacjom. On sam skupiał swe zainteresowanie na sytuacji obecnej.

- Według tego, co pan mówi - zauważył ostrożnie - Syrenę jest pozostałością po batalii toczonej przez mapirenów i cascarenów pyłem o krótkim czasie połowicznego zaniku, czymś, co wymiotło wszelkie życie z centralnej części ładu, ale rozpadło się na tyle szybko, by pozwolić na ponowną inwazję już po okresie kilku pokoleń.

- Zgadza się - powiedział Delizia.

To bardzo kosztowny sposób zdobywania kontynentów - zauważył Remy. - Istnieją znacznie tańsze metody niszczenia na wielką skalę; metody, które zostały zastosowane w praktyce wszędzie i są głównym powodem, dla którego prawie wszystkie pozostałości po mapirenach są tak fatalnie zniszczone, starte niemal na proch. Jeżeli po tej stronie planety cascarenowie zastosowali pył, a po drugiej strumienie cząstek, to wskazuje to na ogromną rozbieżność priorytetów. Prawdę mówiąc, jedyną możliwą do przyjęcia przyczyną zastosowania przez nich pyłu mógł być tylko zamiar powrócenia tutaj po pięćdziesięciu czy stu latach, by przejąć, w nienaruszonym stanie, wyposażenie bazy na Syrenę.

To chyba dość rozsądna konkluzja - przyznał Delizia.

- Ale przecież nie wrócili, prawda?

- Najwyraźniej nie.

- Z tego wynika, że nie mogli i że to coś, cokolwiek to było, co spowodowało zagładę zarówno mapirenów jak i cascarenów w tej części Galaktyki, spadło na nich w ciągu mniej więcej stu lat po bitwie o Haidrę.

- Bombardowanie pyłem musiało nastąpić pod sam koniec wojny - powiedział Delizia, zadowolony, że to Remy ciągnie ten tok spekulatywnego rozumowania.

- W ostatnich szaleńczych działaniach, kiedy obie strony rzuciły do walki wszystko co posiadały, ze skutkiem tak rewelacyjnym, że nieomal doszczętnie się wymordowały.

Na to Delizia nic nie odpowiedział.

- Odnoszę wrażenie - powiedział spokojnie Remy - że baza, której szukamy, może sobą reprezentować ostatnie słowo techniki wojennej mapirenów; coś, czego cascarenowie nie

mieli, a bardzo chcieli skopiować. To właśnie to spodziewa się znaleźć Scapaccio, prawda? Jakąś nową, niezwykle potężną broń, coś rzeczywiście wielkiego.

- Tak myślę - potwierdził Delizia.

Remy znowu poprawił maskę; zaczęli z Delizia zostawać w tyle za ostatnim wozem karawany, gdy tymczasem pierwsze pojazdy znikły już z pola widzenia, pogrążając się we wzburzonej kołami wozów i kopytami zwierząt kipieli pyłu. Od tej chwili kolumna ekspedycji miała być równie widoczna jak dziewięćdziesięciometrowy słup gorejącego pyłu. Jeśli Belle Yella i jego wyznawcy nie pogrążyli się bez reszty w medytacjach nad sprawami wyższego rzędu i nie uśpiło ich złudne poczucie całkowitego bezpieczeństwa, to zbliżanie się ekspedycji powinno zostać zauważone z ogromnym wyprzedzeniem.

Remy obejrzał się przez ramię i zlustrował wzrokiem zachodni horyzont. Nie dostrzegł jeszcze żadnego śladu jadących ich tropem weichów, ale najdalej następnego dnia oni także powinni zacząć sygnalizować swoją obecność powietrznym fajerwerkiem.

Odwrócił się z powrotem do Delizii. - A jednak jest w tym wszystkim coś co mnie intryguje - powiedział. - W świetle tego, co pan twierdzi, intryguje mnie to właściwie jeszcze bardziej. Nie potrafię zrozumieć, jaką rolę w tym wszystkim gra pan. Nie sprawia pan wrażenia człowieka, który miałby ochotę wiązać swój los z monomaniakalnym paranoikiem, i to po to, by pomóc mu w zdobyciu jakiejś niewyobrażalnie potężnej broni. Co pan tu robi, panie Delizia?

Tak jak próbowałem to już kiedyś wyjaśnić - odparł Delizia - moje zainteresowania leżą w nieco innej płaszczyźnie. Nie wydawało mi się, żeby miał pan ochotę wysłuchać mnie do końca. Odniosłem wrażenie, że to, co mówiłem, nie miało dla pana żadnego sensu. Mam wątpliwości, czy potrafiłby pan zrozumieć moje powody.

- W Ziaracie zachowałem się chyba zbyt pochopnie - powiedział Remy. - Nie sądzę, że za mało starałem się pana zrozumieć. Prawdę powiedziawszy, nawet samą bazę uważałem wtedy za czysty wymysł waszej fantazji. Teraz jednak chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. I naprawdę chcę zrozumieć pańskie powody.

Delizia zaniósł się kaszlem, ale czy był to tylko zbieg okoliczności, czy też kaszel ten miał posłużyć archeologowi za wymówkę do nieudzielenia odpowiedzi, Remy nie wiedział.

- W końcu - mruknął wiedząc, że maska całkowicie stłumi jego słowa - przyjdzie nam bić się jak jasna cholera, żeby podejść na jakąkolwiek sensowną odległość od tej bazy. Chcę wiedzieć, o co walczę.

Tak jak Remy przewidział, tego wieczora po raz pierwszy mogli ujrzeć za sobą niebo, które zdawało się stać w ogniu. Tuman pyłu, wzburzony ich przejazdem, zawisł na południe od słońca, obrysowując i tnąc jego ogromny szkarłatny krąg brązowymi prążkami koloru zaschniętej krwi. Wokół całej krawędzi słonecznego dysku unosiła się przedziwna, połyskliwa aureola - roziskrzony nimb, wybrzuszający się horyzontalnie i falujący jak płetwy leniwie płynącej mątwy. Tam, gdzie obłok pyłu miał największą średnicę, różowe światło układało się w coś w rodzaju obsypanej pąkami gałązki, do złudzenia przypominającej odroślą koralowych raf, budowanych przez żyjątka niektórych mórz tropikalnych.

Wszyscy ludzie nieustannie odwracali za siebie głowy, by nie uronić z tego widowiska, a niektórzy z nich zdejmowali nawet przesłony okularów, chcąc w maksymalnym stopniu docenić baśniową gamę barw, z góry godząc się na zapłacenie za to nieprzyjemnej ceny, jaką miał być kłujący ból niczym nie chronionych oczu. Gdy nadejście zmroku wygasilo kolory, ich brak sprawił, że ciemność stała się smolście gęsta, a gwiazdy zdawały się jaśnieć światłem znacznie bielszym niż zwykle.

Kiedy wreszcie rozbili obóz na nocleg, wszystkich członków ekspedycji ogarnął zupełnie nowy nastrój. Znajdowali się już teraz na pustyni, stojąc twarzą w twarz z perspektywą kilkudniowej mozolnej wędrówki przez teren absolutnie monotony, niemal zupełnie pozbawiony życia i całkowicie bezwodny. Było to najbardziej wrogie człowiekowi środowisko, z jakim kiedykolwiek się zetknęli. Zanim udało im się zjechać na równinę, posuwanie się do przodu nieustannie utrudniały im drobne wypadki i nieoczekiwane wydarzenia; wystąpiły przeróżne trudności i zwłoki, ale okolice, przez które przejeżdżali, były zamieszkałe - nigdy nie tracili z oczu uprawnych pól, stad pasącego się bydła, maleńkich wiosek o domach z wyblakłego kamienia i brunatnej cegły. Teraz nie było nic. Jedyne, co im pozostało, to iść mozolnie naprzód, przez świat, który był nieledwie surrealistyczny w swej totalnej pustce i sprzecznym z naturą kolorycie.

Zdążyli już sobie uświadomić, że metaliczny posmak, który mają w ustach nie ustąpi. Jedli i pili oszczędnie, ale ani pożywienie, ani woda nie były w stanie zabić tego posmaku wywołanego cząsteczkami pyłu tak drobnymi, że przenikały przez filtry masek.

W ciągu dnia otoczeni pierścieniem ognia, w nocy skazani na pozbawioną nawet cieni ciemność, dość łatwo poddawali się złudzeniu, że maszerują przez jakiś rodzaj piekła. Nie było nikogo, kto nie żywiłby obaw, czy w ogóle można odnaleźć jakiegokolwiek miejsce przeznaczenia położone w samym sercu tej pustyni, nie mówiąc już o dotarciu do niego. Łatwo było uwierzyć, że te góry, do których zmierzali, były jedynie mirażem lub zwykłym wymysłem czyjejs wyobraźni.

Ale były to uczucia, do których nikt by się nie przyznał.

Remy szykował się właśnie do snu w namiocie dzielonym z Doonem, Madokiem i Myszka, kiedy Scapaccio odrzucił do góry wejściową płachtę i zaczął się przeciskać przez ochronną siatkę, mającą powstrzymać napór pyłu. Nie robił tego specjalnie ostrożnie i od razu stało się jasne, że jest mocno wzburzony. Spostrzegłszy, że Remy jest na wpół rozebrany i leży zawinięty w swój śpiwór, przymrużył oczy i w ostatniej chwili powstrzymał się od rzucenia oskarżenia, które najwyraźniej miał już na końcu języka.

Po krótkiej chwili, niemych, wewnętrznych zmaganiach, powiedział:

- Mamy kłopot. Sabotaż.

Remy natychmiast usiadł na posłaniu. - Jaki sabotaż? - spytał, wyplątując się jednocześnie z krępującego ruchu śpiwora.

- Radionadajnik - rzucił lapidarnie Scapaccio.

Remy napotkał jego wzrok i wyczytał w nim nie wyrażone słowami oskarżenie.

- Pan myśli, że to ja? - spytał.

- Albo któryś z pana podwładnych - odparł chrapliwie Scapaccio.

Remy ukląkł, zapinając koszulę. Madoc siedział na swej pryczy, obserwując uważnie obu mężczyzn, a Doon i Myszka leżeli już w śpiworach, gotowi do snu, ale obaj mieli oczy otwarte.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - spytał Remy.

- To nasza jedyna więź z Dowództwem Haidry, jedyna droga, jaką moglibyśmy ewentualnie wezwać pomoc, ostatnia deska ratunku. Z tego, co wiem, pan jest jedyną osobą, która za wszelką cenę chciałaby utrzymać Dowództwo Haidry jak najdalej od Azreonu.

- Kiedy to się stało? - spytał Remy, nie zadając sobie trudu, by zaprzeczyć.

- W ciągu ostatniej godziny. Tylko wtedy nikt nie pilnował wozu, jedliśmy kolację.

- Nic pan nie słyszał?

- Nie.

- Chodźmy popatrzeć.

Scapaccio wycofał się z namiotu, w dalszym ciągu nie starając się nawet przecisnąć przez siatkę w taki sposób, by pył nie dostał się do wnętrza. Remy ruszył za nim, obchodząc się z zasłoną znacznie delikatniej.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Scapaccio powiedział:

- To musi być któryś z pańskich ludzi; żaden z moich nie porębałby swojej ostatniej deski ratunku.

- Gdybym to ja miał oceniać jakieś prawdopodobieństwa - powiedział Remy chłodno - to zauważyłbym, że tym, który ma najdłuższą historię ukrywania czegoś przed Dowództwem Haidry, jest pan.

- Ja nie musiałbym rozbijać tego cholernego aparatu - zareplikował Scapaccio. - Mnie wystarczyłoby po prostu powstrzymanie się od jego używania.

- Chyba żeby pan podejrzewał, że może z niego skorzystać także ktoś inny, choćby po to, by przesłać Dowództwu informacje, których pan nie bardzo chciałby im udzielić.

Wściekłość malująca się na twarzy Scapaccia była widoczna nawet w nikłym świetle gwiazd.

- W porządku - powiedział szybko Remy. - Pan tego nie zrobił. Aleja też nie. A więc musiał zrobić to ktoś inny. Mnie równie jak panu bardzo zależy na tym, by wyjaśnić kto i dlaczego.

W wozie, w którym przechowywano aparat radiowy, zastali już Justinę Magnę i Delizia. Delizia starannie badał rozbite szczątki, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że o reperacji sprzętu nie może być mowy. Nie był to zwykły przypadek poprzecinania przewodów i uszkodzenia obwodów scalonych. Płyta z obwodami została w całości wyrwana z wnętrza aparatu i bardzo precyzyjnie pogruchotana. Nawet rama obudowy nadajnika nie ostała się zniszczeniom - była pogięta i połamana jakby uderzeniami ogromnego młota.

- I ten, kto to zrobił, zrobił to po cichu?! - spytał Remy.

- Na tyle cicho, by nie zwrócić na siebie uwagi - potwierdził Scapaccio. - Ale nikt z nas nie znajdował się zbyt blisko, a poza tym nie wyteżaliśmy słuchu, by pochwycić najlżejszy szmer. - A pozostałym dwojgu powiedział: - Twierdzi, że to nie on.

- Ktokolwiek to zrobił, to wykonał swoją robotę bardzo sumiennie - mruknął Delizia.

- Jeżeli to nie on - powiedziała Justina Magna, zwracając się do Remy'ego - to kto?

- Ktoś, kto nie życzy sobie, byśmy przekazywali Dowództwu Haidry jakiejkolwiek informacje i chce mieć całkowitą pewność, że nie będziemy w stanie wezwać ich na pomoc - odparł gładko Remy. - Ktoś bardziej nawet tajemniczy niż Scapaccio. Nie Garston ani żaden z jego ludzi, to zwykle pieski gończe Dowództwa, ale także nikt ode mnie. Właściwie można by powiedzieć, że czwórka głównych podejrzanych znajduje się właśnie tu, w tym wozie. Każdy gra tutaj prawie wyłącznie na własną rękę, przynajmniej jak do tej pory, i wygląda na to, że ktoś z nas stara się nie dopuścić, by ta sytuacja uległa zmianie.

W tym momencie uzmysłowił sobie, że cała trójka w milczeniu wpatruje się niego.

- W porządku - powiedział, wzruszając lekko ramionami. - Widzę, że mi nie wierzycie. Może faktycznie to zrobiłem i dla wygody wymazałem z pamięci. Ale jeżeli to nie byłem ja

ani sam Scapaccio - w tym momencie odwrócił od nich wzrok, jakby chciał zasugerować, że to bardzo wątpliwa hipoteza - to ktoś tutaj prowadzi grę, o której nikt z pozostałych nic nie wie. Co się stanie, jeżeli nie zgłosicie się więcej do Dowództwa? Czy zaczną się tam niepokoić?

Scapaccio pokręcił głową. - Nie wydaje mi się. Jeżeli chce pan nam dać w ten sposób do zrozumienia, że ktoś rozbił ten nadajnik po to, by ściągnąć na nas uwagę Dowództwa, to uważam to za pomysł zupełnie absurdalny. Dwuminutowy przekaz radiowy odniósłby znacznie lepszy skutek. Ktokolwiek to był, zrobił to po to, by uniemożliwić przekazanie jakichś informacji i przeszkodzić nam w ewentualnym wezwaniu natychmiastowej pomocy. Dla mnie oznacza to tyle, że zdaniem tego kogoś rzeczywiście może dojść do sytuacji, w której tę natychmiastową pomoc będziemy chcieli wezwać.

“Remy wzruszył ramionami. - Może - powiedział bez specjalnego przekonania. Jeszcze raz uważnie przyjrzał się zniszczeniom, zastanawiając się, czy szczupłe palce siocona mogłyby w ogóle tak potężnie odkształcić grube metalowe pręty obudowy.

Teraz nic już na to nie możemy poradzić - dodał po chwili. - Jedyne co nam pozostało, to lepiej nawzajem się pilnować.

11.

Remy wyjechał z obozu przed zakończeniem nocnego odpoczynku. Nawet nie próbował wysłiznąć się niepostrzeżenie, lecz otwarcie pokazał się zarówno swoim własnym ludziom, jak i wartownikom rozstawionym przez Garstona. Tym niemniej ruszając na północny zachód nie udzielił im żadnego wyjaśnienia.

Mniej więcej kilometr od obozu trafił na wyschnięte koryto rzeki, którego szukał - płytki żleb, wypłukany w szarej skale przez wodę płynącą tędy z centralnego masywu górskiego raz czy dwa razy do roku. Ta rzeka niosła wodę przez nie więcej niż pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt dni w roku, a woda ta nigdy nie docierała do granic Syrenę. Dno koryta było wysuszone na popiół i gęsto usiane otoczkami, a gdzieniegdzie sterczały z niego większe odłamki skał, wokół których nagromadziły się wydmy srebrzystego pyłu. A mimo to wzdłuż obu brzegów ciągnęły się wąskie pasy zieleni - upartej, mechatej trawy i ciernistych krzewów, spośród których tu i tam wyrastała jakaś przypadkowa roślina o barwnych kwiatach i szerokich liściach, powleczonych grubą warstwą woskowego pancerza, chroniącego miąższ przed wyschnięciem.

Remy skierował wierzchowca wzdłuż brzegu, posuwając się w dół rzeki. Zabrał ze sobą latarkę, ale jej nie włączył - światło gwiazd było zupełnie wystarczające nawet dla oczu człowieka. Mniej więcej po piętnastu minutach udało mu się zlokalizować skalną iglicę, jeden z bardzo nielicznych znaków orientacyjnych w tej części Syrenę, miejsce, gdzie umówił się na spotkanie z Yeremą. Iglica nie była zbyt duża - miała może piętnaście metrów wysokości - ale w płaskiej okolicy łatwo ją było odszukać.

Ponieważ spóźnił się kilka minut, poczuł się nieco zaskoczony, kiedy nikt nie wyszedł mu na powitanie, ale zeskoczył z konia w cieniu iglicy i puścił zwierzę wolno między krzewy pasa zieleni.

I w tym momencie jego nozdrza pochwyciły swąd spalenizny.

Nie miał na sobie maski, ale nos i usta zabezpieczała mu chusta. Taka przeszkoda normalnie uniemożliwiłaby jego zmysłowi powonienia wykrycie tak słabej woni, ale z jakiegoś powodu wydawała się ona niesłychanie przenikliwa. Włączył latarkę i poświecił nią szybko dokoła, po czym skierował ją w dół, w głąb żlebu. Leżało tam - najwyraźniej rzucone siłą upadku z miejsca, w którym właśnie Stał - jakieś ciało.

Zeskoczył na dno żlebu i odwrócił ciało tak, że niewidzące oczy spojrzały w usiane gwiazdami niebo. Poczuł, że zalewa go fala emocji tak potężnej, jakiej nie doznał już od wielu, wielu lat. Była to wściekłość tak szalona, że zaczął drzeć na całym ciele i żal, żal i smutek tak ogromny, że poczuł w oczach zwiastuny łez. Był oszołomiony gwałtownością swojej reakcji. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak głęboka była jego przyjaźń z Yeremą. Wszystkie słowa, które zamienili kiedykolwiek ze sobą stylizowane były zawsze etykietą, która choć daleka od zwykłej rezerwy veichów, postawiła między nimi zasłonę ugrzecznienia i konwenansów. Lecz veichiańskie kanony zachowania nie służyły tylko nieustannemu krępowaniu tych, którzy ich przestrzegali - pozwalały im także zręcznie manipulować całą skomplikowaną pajęczyną powinności, lojalności i oznak szacunku tak, by ich raczej zbliżała do siebie, a nie odpychała. W oczach Yeremy Remy stał się członkiem klanu Syroleth i dopiero teraz nagle zrozumiał, do jakiego stopnia przyjął na siebie tę rolę i dopiero teraz pojął wszystkie jej implikacje.

W piersi Yeremy widniała dziura wystarczająco duża, by można było wsunąć w nią palec. Ciało wokół rany zostało zwęglone i to właśnie było przyczyną unoszącej się w powietrzu woni spalenizny. Veich został zabity strumieniem energii, która mogła pochodzić tylko z jednego źródła - z działa laserowego.

Remy rozejrzał się uważnie po płytkim łożysku wyschniętej rzeki. Instynkt żądał od niego, by przypadł do ziemi lub rzucił się w stronę jakiegoś schronienia, ale zdawał sobie

doskonale sprawę, że wspinałym celem dla ewentualnego mordercy był już wtedy, kiedy zbliżał się przez otwarty teren do kamiennej iglicy. Użycie działa laserowego do zabicia jednego mężczyzny było mniej więcej tym samym, co zastosowanie buldożera do usuwania pajęczyn, ale rozwiązanie to miało dwie zalety: cel mógł być trafiony z bardzo dużej odległości, zupełnie bezgłośnie i ponieważ energia poruszała się z prędkością światła, nigdy nie było żadnych kłopotów z namierzaniem. Trafić można było dosłownie wszystko, co dało się dostrzec - choćby za pomocą teleskopu czy czujnika podczerwieni.

Próbował ocenić, gdzie dokładnie znajdował się Yerema, kiedy uderzył w niego strumień energii i z jakiego kierunku strzelano. Doszedł do wniosku, że zabójcy znajdowali się przynajmniej w momencie strzału - gdzieś dalej na północny zachód. Oddział Yeremy musiał obozować gdzieś na południe od łożyska rzeki, ale i tak było mało prawdopodobne, by wysłannik klanu Cagiriama był uzbrojony w działo laserowe. Według posiadanych przez Remy'ego informacji wszystkie działa laserowe znajdujące się na Haidrze zamontowane były w czołgach i samolotach bojowych.

I wszystkie, co do jednego, należały do Dowództwa.

Ukląkł ponownie obok ciała głowy rodu Syroleth, wodząc koniuszkami palców wzdłuż zimnej skały, na której wypoczywało. Uważał za zupełnie oczywiste, że Yerema nie został zabity w wyniku przypadkowego natknięcia się na swych morderców. Nie mogli znajdować się nigdzie w pobliżu, musieli być gdzieś dużo, dużo dalej, na pustyni. Wybrali go z zupełną premedytacją - był celem z góry upatrzonym. Równie dobrze mogli wybrać sobie przecież Remy'ego, ale nie wybrali.

Zaczął się nad tym wszystkim zastanawiać, ale nie mógł dostrzec w tym morderstwie żadnego sensu. Działem laserowym można było zgładzić cały oddziałek Yeremy, który liczył sobie nie więcej niż dwadzieścia osób. Po co wybierać sobie jedną z nich?

- Ktokolwiek to zrobił - wyszeptał do martwego przyjaciela - przeliczył się. Ciągle jeszcze masz swój klan, choć może nie ma już nikogo, kto chciałby to uznać. Za zamordowanie ciebie zapłacą najwyższą cenę, przysięgam.

Mówił swoim własnym językiem, choć wiedział, że powinien był wybrać mowę klanów. Znał w tej mowie odpowiednie słowa, lecz nie był pewien, czy potrafi je odpowiednio wymodulować. A to ważne, żeby wszystko było jak należy.

Wyniósł ciało Yeremy na krawędź żlebu i ostrożnie złożył je w pyłe, tuż obok iglicy. Nie mógł go pochować, ale wszędzie wokół leżało wystarczająco dużo odłamków skał, by usypać nad nim coś w rodzaju kurhanu. Przez chwilę zastanawiał się, czy to zrobić, ale odrzucił tę możliwość. Już wkrótce powinien pojawić się tu w poszukiwaniu Yeremy ktoś z jego obozu -

najprawdopodobniej Oclo. Lepiej, żeby Yeremę zabrał któryś z veichów, a i on sam powinien właściwie porozmawiać z jednym z veichiańskich najemników Yeremy. Śmierć głowy klanu Syroleth ogromnie wszystko zmieniała. Skoro nawet Yerema nie był pewien, czy po pojawieniu się na scenie Cagiriamy uda mu się zachować lojalność swych nie należących do klanu wasali, to jakże miał sobie z nimi dać radę Remy?

W tym samym momencie, w którym ta myśl przyszła mu do głowy, zrozumiał nagle, że jednak istnieje przyczyna, dla której Yerema mógł zostać zamordowany. Jeżeli był z góry upatrzonym celem, to najbardziej prawdopodobnym motywem jego zabójstwa było to, że stanowił jedyne ogniwo łączące obie posuwające się przez pustynię grupy. Póki Yerema żył, najemnicy towarzyszący obu karawanom zachowywali potencjał działania jednolitej siły. Teraz ten potencjał przestał istnieć. Ludzie i veichowie byli nie tylko od siebie oddzieleni, ale wręcz przeciwstawieni sobie. Było bardzo możliwe, że zamiast złączyć swe siły w walce z er'kresha, obie grupy zaczną w końcu walczyć ze sobą.

W dalszym ciągu pozostawało jednak pytanie kto mógłby na takiej ewentualności skorzystać. To jasne, pomyślał Remy, że Scapaccio i Zemek nie są jedynymi stronami zainteresowanymi tą bazą mapirenów na Syrenę. "Tajemnica" Scapaccia zdawała się być znana dosłownie każdemu w całym zbadanym wszechświecie. Użycie działa laserowego sugerowało, że tą trzecią stroną byli przedstawiciele Dowództwa Haidry, ale to po prostu nie miałyby najmniejszego sensu. Gdyby Dowództwo było zainteresowane tą bazą, mogłoby przerzucić drogą powietrzną na Syrenę tysiące żołnierzy, mogło od samego początku przejąć całą ekspedycję Scapaccia. Nie mieli najmniejszego powodu, by działać ukradkiem; w końcu władali tym światem. Wyglądało raczej na to, że ta trzecia strona - ktokolwiek ją stanowił - chciała równie skrzętnie umknąć uwadze Dowództwa Haidry jak Scapaccio i Zemek.

Przypomniał sobie uszkodzony nadajnik i zaczął się zastanawiać, czy nie mógł tego dokonać ktoś spoza obozu. Odrzucił jednak tę hipotezę. Byłoby to zbyt trudne, nikt nawet nie próbowałby tego dokonać. A skoro tak, to należało rozpatrzyć dalsze płynące stąd wnioski. Ktoś w obozie ludzi musiał najwyraźniej pracować nie dla Scapaccia, a dla tej trzeciej strony, która przebywała gdzieś dalej na pustyni i posiadała w składzie swego uzbrojenia działa laserowe.

Ta konkluzja była jedynie domysłem i Remy zdawał sobie sprawę z tego, że nie może jej być pewien, ale ogarnęło go jakieś intuicyjne przeświadczenie, że się nie myli. Ta gra okazała się być znacznie bardziej skomplikowana, niż się tego spodziewał. Brała w niej udział jeszcze jedna drużyna graczy i wypatrzenie figur, którymi grała, nie miało być wcale takie proste.

Usiadł na nagiej skale, oparł się plecami o stożkową kolumnę i patrząc obojętnym wzrokiem na swego konia skubiącego trawę kilka kilometrów w dół rzeki, czekał. Nie wypuszczał z ręki latarki, ale jej nie wyłączał. Czekał.

Minęła niemal cała godzina, a w poszukiwaniu Yeremy nikt się nie pojawił. Remy wiedział, że Scapaccio i jego towarzysze zaczynają się właśnie budzić ze snu i na pewno spostrzegą jego nieobecność, ale nie obawiał się, by ktokolwiek z nich zbytnio się tym przejął. Scapaccio mógł jedynie nabrać w stosunku do niego jeszcze większych podejrzeń, ale teraz Remy'ego nie obchodziły już żadne podejrzania Scapaccia.

W końcu na południu wyłonił się z ciemności jakiś jeździec, sunąc dość szybko na swym wierzchowcu przez kamienisty teren. Remy wstał i postąpił kilka kroków do przodu, wiedząc, że każdy veich dostrzeże go bez najmniejszych trudności. Ich oczy były jak skonstruowane, by najlepiej widzieć właśnie w mroku.

Z pewnością rozpoznała go na długo przedtem, zanim on ją rozpoznał, bo była już zupełnie blisko, kiedy z zaskoczeniem stwierdził, że jeźdźcem tym jest nie Oclo, lecz Valla.

- Gdzie Yerema? - spytała, kiedy chwycił jej konia za uzdę. Iglica skrywała przed nią ciało.

- Przykro mi, Vallo - powiedział w języku nie należących do klanów. - Nie żył już, kiedy tu przyjechałem.

Wyciągnął ręce, by pomóc jej zsiść z konia. W świetle gwiazd nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, ale poczuł jak bardzo stężało całe jej ciało. Poza jednym ostrym i gwałtownym wciągnięciem oddechu nie uczyniła niczego, co mogłoby świadczyć, że dotarło do niej pełne znaczenie jego słów.

Poprowadził ją do ciała i kiedy uklękła tuż obok ojca, cofnął się o krok.

- Trafili go laserem - powiedział głosem, który zabrzmiał tak, jakby dochodził z jakiejś ogromnej dali. - Musieli się ustawić na grzbiecie wzniesienia, jakieś dwa kilometry na północny zachód stąd. Mogli trafić i mnie.

Nie odezwała się ani słowem, zamykając wszystko w sobie, pod całkowitą kontrolą. Nie był mu potrzebny żaden atak histerycznej rozpacz, by wiedzieć, co ona czuje. Wśród veichów tak być po prostu musiało i było. Odszedł, by sprowadzić swego konia, zostawiając ją sam na sam z ojcem. Odnalazł także wierzchowca Yeremy, pasącego się trzydzieści czy czterdzieści metrów dalej w górę łożyska i nie spiesząc się wrócił z obydwojma zwierzętami.

Zastał ją stojącą obok ciała Yeremy, sztywno wyprostowaną, wpatrzoną w kierunku północnego zachodu.

- Nie zobaczysz ich - powiedział cicho. - Musieli użyć czujnika podczerwieni. Wiedzieli kogo chcą trafić i trafili. Na pewno już stamtąd odjechali.

- Ludzie - powiedziała.

- Nie ma chyba innej możliwości - odparł spokojnie. - Ale nie wiem kto. Może jakiś pułkownik z Dowództwa Haidry, który ma wielkie ambicje i postanowił działać za plecami swoich własnych zwierzchników. Nie wiem. Ale dowiem się tego, Vallo. I zabiję ich, wszystkich.

- Tak - szepnęła bezszelestnie. - Oczywiście.

- Vallo - powiedział, a w jego głosie pojawiła się nutka natarczywości. - Ja chyba wiem, dlaczego to zrobili. Zrobili to, bo był jedyną istotą, która mogła zjednoczyć veichów i moich ludzi w jedną, zwartą siłę bojową. Zrobili to po to, by rzucić nas sobie nawzajem do gardeł. Oclo i wszyscy pozostali przejdą teraz pod rozkazy Cagiriamy, chyba że ty ich przed tym powstrzymasz.

Przez chwilę wyraźnie się wahała, a potem spytała:

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo jeżeli tego nie zrobisz - powiedział nalegająco - to pozwolisz, by mordercy twojego ojca uzyskali to, o co im chodziło.

Czuł, że dziewczyna wpatruje się w niego uważnie, choć było za ciemno, by dostrzec wyraz jej twarzy - pochyliła głowę lekko do przodu, a oczy przesłaniał jej cień.

- Nie wiem jakie dokładnie plany miał Yerema - ciągnął Remy powoli. - Ale wiem, że zrobiliby absolutnie wszystko, żeby nie dopuścić do powrotu wojny na Haidrę. Zesak sądzi, że uzyskaliby pomoc Yeremy, ponieważ wierzy, iż każdy należący do klanu veich kieruje się tylko jednym jedynym priorytetem: walką przeciwko rasie ludzkiej. On nie wie, że na Yeremie ciążył wyrok śmierci, wydany przez jego własnych, klanowych braci za rzekomą zdradę tej właśnie sprawy. Ale ty o tym wiesz i stąd nie możesz udawać, że wierzysz, by Yerema mógł kiedykolwiek stanąć po stronie Cagiriamy. W tej bazie pod wzgórzami Syrenę może znajdować się coś, co ma ogromne znaczenie militarne, ale jeżeli tak jest, to Yerema na pewno nie chciałby, żeby to coś wpadło w ręce ludzi. Lecz nie chciałby także, by to coś wpadło w ręce veichów. Wojna nie była dla niego niczym innym jak zagładą obu naszych ras, dokładnie taką samą, jaką zgotowali sobie swoim konfliktem mapirenowie i cascarenowie.

Ja też nie mam żadnych skonkretyzowanych planów, ale powiem tak: nie pozwolę Scapaccioni wejść w posiadanie tego, co znajduje się w bazie, jeśli tylko będę w stanie mu w tym przeszkodzić. Nie oddałbym tego ani Dowództwu Haidry, ani nawet Dowództwu Ziemi.

Nie wiem, czy uda mi się zapobiec temu, by to coś zdobyli, ale wiem na pewno, że im w tym nie pomogę.

Kiedy rozpoczynaliśmy tę grę, naszym celem było pokazanie er'kresha dla dobra Ziaratu. Teraz ten cel stał się już nieaktualny, nie mogę wrócić do Ziaratu. Ale w dalszym ciągu musimy pokonać er'kresha, choćby tylko z tego prostego powodu, że bez walki nie pozwolą nam odnaleźć tego, czego szukamy. Mamy znacznie większe szansę przeżycia walk z er'kresha, jeżeli zwrócimy naszą broń przeciwko wspólnemu wrogowi, a nie nawzajem przeciwko sobie. I nie zapominaj, że mamy dwóch wspólnych wrogów: kreshów i ludzi z działem laserowym.

Odwróciła się od niego i znów uklękła przy ojcu.

- Pomóż mi go podnieść - powiedziała. Będziemy musieli przywiązać go do siodła.

Podniósł ciało Yeremy i pomógł przymocować je do karku zwierzęcia, które go tu przywiozło. Wszystkie te czynności wykonali w całkowitym milczeniu.

Na koniec, kiedy gotowa już była do odjazdu, powiedziała:

- Ty nie jesteś moim wrogiem, Remy. Mój ojciec uczyniłby cię swoim synem. Ty i ja jesteśmy już teraz wszystkim, co zostało z klanu Syroleth. Oclo i cała reszta nie będą chcieli walczyć z tobą, ale nie przypuszczam, by mieli jakiegokolwiek inne wyjście.

Wsunęła nogę w strzemień i dźwignęła się na siodło, ale Remy ciągle jeszcze trzymał cugle jej konia i nie puścił ich, kiedy wyciągnęła po nie rękę.

- Vallo - powiedział zduszonym głosem. - A czego ty chcesz w tym wszystkim... dla siebie.

Milczała przez chwilę, po czym odpowiedziała: - Pójdę drogą mojego ojca. Nie chcę, żeby Zemek sprowadził wojnę z powrotem na Haidrę. A dla siebie... Jakież to ma znaczenie? Cóż innego mogę zrobić, jak wrócić do Ziaratu i oddać się pod opiekę Calvarów?

- Mogłabyś pójść ze mną - powiedział cicho.

- Dokąd? Gdzie jest to miejsce, do którego ty zmierzasz, Remy?

- Nie wiem - powiedział. - Ale czy gdyby było takie miejsce... miejsce, do którego mógłbym się udać... czy pojechałabyś ze mną?

Wiedział, że to fatalny moment na zadawanie takich pytań; żałował teraz, że nie doprowadził tej rozmowy do końca wtedy, kiedy przyszła zobaczyć się z nim w jego domu, w Ziaracie. Może teraz w ogóle było już za późno, by dowiedzieć się, jakie było jej zdanie na temat małżeństwa, którym Yerema chciał chyba połączyć swoją córkę ze swym przyjacielem.

- Nie umiem na to odpowiedzieć - szepnęła. Poczul się niemal szczęśliwy, że jej słowa nie oznaczały odmowy.

- Kiedy dojedziemy do gór - powiedział - muszę znów się z tobą zobaczyć. Być może będziemy w stanie ułożyć jakieś plany, przynajmniej co do pokonania er'kresha. Pierwszej nocy, sześć godzin po zapadnięciu zmierzchu, w połowie drogi między naszymi obozami. Ja cię odszukam.

Tym razem bez wahania skinęła głową. I natychmiast potem, uzmysłowiwszy sobie, że najpewniej nie mógł w ciemności dostrzec tego gestu, powiedziała: - Spotkam się z tobą.

Puścił cugle i pozwolił jej ponaglić konia do marszu. W lewej ręce trzymała wodze konia Yeremy, który ruszył za nią nieco z tyłu, niosąc swój ciężar bez widocznego wysiłku i z całkowitą obojętnością.

Remy stał wyprostowany, patrząc w ślad za nimi i dopiero kiedy rozplynęli się w ciemnościach, ciężko dosiadł swego własnego wierzchowca.

Kiedy wrócił do obozowiska, wszystkie rzeczy były już spakowane i złożone w pojazdach, a karawana gotowa do wymarszu w dalszą drogę. Mijając wóz Scapaccia czuł, że jest uważnie obserwowany, ale przejechał obok innego w wystarczająco dużej odległości, by nie dopuścić do zadawania jakichkolwiek pytań.

Odszukał Doona i Madoca, którzy mieli prowadzić czoło kolumny.

- Gdzie Iasus? - spytał.

- Śpi - odparł Madoc. - Miał ostatnią wartę. Jest w jednym z wozów. Co ci zajęło tyle czasu?

- Yerema nie żyje. Gdzie Myszka?

- Jedzie w kolumnie, dziś jego kolej na powożenie. Musiałeś koło niego przejechać. Jak zginął?

- Ktoś go zastrzelił - powiedział Remy zimno. - Laserem.

- Laserem?!

Ten okrzyk zaskoczenia i niedowierzania wydał Doon. Remy dał mu znak, żeby zachowywał się ciszej i ciągnął stłumionym głosem: - Wszystko diabli wzięli. Najpierw te kłopoty z Yambą, a teraz to. Jesteśmy zdani już wyłącznie na siebie i może się okazać, że mamy przeciwko sobie nie tylko er'kresha, ale także veichów. Że nie wspomnę o właścicielach lasera. Chcecie się wycofać?

Madoc roześmiał się niewesoło. - A dokąd mielibyśmy pójść?

- Jeszcze czas, żeby zawrócić na południe - odparł Remy. - W ciągu dwóch dni wydestalibyście się z pustyni, a potem moglibyście ruszyć do Tzary, omijając szerokim łukiem Ziarat. Albo jechać dalej na południe, aż do wybrzeża. To mogłoby się udać.

- Ty sam o tym nie myślisz? - spytał Doon.

- Ja zostanę ze Scapacciem - odparł lapidarnie Remy nie podając żadnych dalszych wyjaśnień.

- Ale zdobyłeś się na ofiarowanie nam możliwości wyboru?

- Nasza mała operacja "Ziarat" dobiegła końca. Nie musicie już słuchać moich rozkazów.

- Nigdy nie słuchaliśmy ich dlatego, że musieliśmy - powiedział Madoc. - Czy myślisz, że Scapaccio rzeczywiście znajdzie coś w tych górach?

Remy wzruszył ramionami. - Jeżeli nic tam nie ma, to mnóstwo ludzi dozna tęgiego rozczarowania. Nie wiem, co on przed nami ukrywa, ale na tamtym dysku rzeczywiście musiało być coś, co wprawiało wszystkich w ogromne podniecenie.

- Kto zabił Yeremę? - spytał Doon. - Kto może mieć laser w takim miejscu jak to, setki mil skądkolwiek? To się zupełnie nie trzyma kupy. Mogłoby to być tylko Dowództwo Haidry, ale to także nie miałoby żadnego sensu.

- Wiem akurat tyle - powiedział Remy - że równie dobrze mógłbym podejrzewać o to samych mapirenów. Ale za jedno mogę dać głowę: jeszcze usłyszymy o tych od lasera.

- Mogą nas sprzątnąć, zanim w ogóle będziemy mieli taką okazję - powiedział Madoc.

- Zgadza się - przyznał Remy. - Mogą. Gdyby chcieli, mogli zmieść z powierzchni Syrenę cały oddziałek Yeremy, ale nie zrobili tego.

- A właściwie dlaczego?

- Na moje oko chcieliby, żebyśmy przez jakiś czas nie wyłączali się z tej gry. Może mają nadzieję, że załatwimy dla nich er'kresha, a potem nawzajem sami siebie... Tak, żeby mogli spokojnie zjawić się, kiedy będzie już po wszystkim i odebrać swoją nagrodę. Kimkolwiek są, to według mnie nie są w stanie stawić czoła kilkuset kreshom, ani być może nawet dwudziestu pięciu ludziom. Przypuszczam, że będą grać na zwłokę, dopóki nie zapewnią sobie w jakiś sposób przewagi.

- No więc co robimy? - spytał burkliwie Doon.

- Nie mamy chyba zbyt wielkiego wyboru - odparł spokojnie Remy. - Na razie uzbrajamy się w cierpliwość i czekamy.

Zawrócił konia i pogalopował c powrotem wzdłuż kolumny wozów, rozglądając się za Myszka i pozostałymi najemnikami, których zabrał ze sobą z Ziaratu.

Madoc i Doon odwrócili się do tyłu w siodłach i patrzyli za nim dopóki nie zniknął im z oczu.

12.

Kiedy zatrzymali się na następny postój, Remy odszukał Ramona Delizię i wyprowadził go poza krąg, w jaki ustawiono wozy. Szli dotąd, aż znaleźli się poza zasięgiem słuchu, znacznie dalej niż docierał blask oświetlających obóz latarni.

Remy przytknął zapaloną zapalną do ogarka świecy i ostrożnie ustawił go na dnie niewielkiej skalnej rozpadliny.

- Proszę usiąść - powiedział swobodnie. Delizia rozejrzał się dokoła, próbując znaleźć wśród zwietrzałych i bardzo kruchych skał jakieś solidniejsze miejsce, po czym potrząsnął przecząco głową.

- O co chodzi? - spytał.

- Doszedłem do wniosku, że najwyższa pora dokończyć naszą rozmowę - powiedział Remy. - O wojnie, o jej kosmicznym znaczeniu, o tym, co sprowadza pana do tej zapomnianej przez bogów i ludzi głuszy.

Delizia popatrzył na niego jakoś podejrzliwie, jakby nie był pewien, czy Remy przypadkiem z niego nie drwi.

- Kiedyś myślałem, że potrafi pan to zrozumieć - powiedział. - Ale to było kiedyś. Ponieważ bez żadnej widocznej przyczyny zdezerterował pan z wojska, sądziłem, że może doszedł pan do tych samych wniosków co ja. Przypuszczam, że interpretowałem pana, panie Remy, zbyt romantycznie. Dziś już trochę zmądrzałem.

- Niech mnie pan wystawi na próbę - zachęcił Remy.

Delizia pokręcił przecząco głową.

- Ta baza interesuje nie tylko pana i Scapaccia - podjął Remy tonem towarzyskiej pogawędki. - Mamy konkurencję. Ktoś z naszych pracuje dla tej konkurencji i to oni właśnie rozbili nasz nadajnik. Wiem, że pan niezupełnie stoi po tej samej stronie co Scapaccio, a to czyni z pana głównego podejrzanego.

Delizia był wyraźnie oszołomiony, Po chwili oczy zwięzły mu się w szparki. - Cezar mówił, że ktoś nas śledzi - mruknął. - Powiedziałem mu wtedy, że ten tuman za nami to tylko pył, który sami wzbijaliśmy swoim przejazdem, ale wcale nie wydawał się tym przekonany. Złożyłem to wówczas na karb jego paranooidalnych obsesji...

- Rzeczywiście ktoś nas śledzi - powiedział Remy.

- Ja nic o tym nie wiem - odpowiedział Delizia.

- To niech mnie pan o tym przekona.

Delizia rozejrzał się wokół, jakby szukając czegoś, na czym mógłby zawiesić wzrok. Odwrócił się od Remy'ego, a także od migotliwego światła świecy. - Nie wydaje mi się, żeby uznał pan to, co mogę powiedzieć, za przekonywające - powiedział głucho.

- Tak jak mówię, niech pan spróbuje.

- Powiada pan, że nigdy nie zastanawiał się pan nad gwiazdnymi siewcami ani motywami, które skłoniły ich do rozsiania życia po całej Galaktyce. Przypuszczam, że niewielu ludzi w ogóle to robi, gdyż jest to problem, który z łatwością może człowieka przerazić. Ale ja się nad tym zastanawiam, panie Remy. Jest to zagadnienie o fundamentalnym według mnie znaczeniu, nie tylko dla mnie samego, ale dla całej ludzkiej rasy.

Urwał, jakby czekając na zachętę do rozwinięcia tej myśli, więc Remy powiedział: - Niech pan mówi dalej.

- Wojna wymknęła się nam spod kontroli. Kiedyś jej prowadzenie miało jakiś sens, a przynajmniej tak nam się wydawało. Współzawodniczyliśmy z veichami w zdobyciu panowania nad zbadaną Galaktyką, albo my podbiliśmy gwiazdne światy, albo oni. W takiej formie sprzedali nam ten problem wojskowi. A my to zaakceptowaliśmy. Ale dziś wojny nie prowadzi się już w tym właśnie celu, nawet jeżeli kiedyś rzeczywiście tak było. Wojna stała się dziś celem samym w sobie, sposobem życia. Prowadzimy tę wojnę, bo ona jest, bo była zawsze, jak daleko sięgnąć pamięcią i zawsze będzie. Wie pan przecież, że gdybyśmy chcieli, to moglibyśmy zawrzeć pokój już dziesiątki razy. Twierdzi się, że wygrywamy tę wojnę, że kontrolujemy więcej światów niż oni, że nasze statki wychodzą zwycięsko ze starć z pojazdami veichów, gdy napotkają je w dalekiej przestrzeni. Możemy tak wygrywać w nieskończoność i nie będzie to miało żadnego wpływu na to, w jaki sposób żyjemy. Wojna nas pochłonęła i nasyciła naszą świadomość do tego stopnia, że większość ludzi nie potrafi sobie w ogóle wyobrazić życia bez niej.

Powiem panu coś dziwnego o tej wojnie, panie Remy. Tę wojnę można by prowadzić całkowicie bez udziału ludzi. Już od stuleci nasze maszyny, a szczególnie maszyny wojenne, uzyskały znaczną niezależność od nas samych. Nasze statki i pociski mają swoje własne, automatyczne systemy naprowadzania i korektury reakcji, swoje własne, automatyczne systemy obronne i wewnętrzne komputery strategiczne. Nasze statki mogłyby prowadzić wojnę w przestrzeni bez jakiegokolwiek udziału ludzi - jakiegokolwiek. Na powierzchni planet nasze czołgi mogłyby toczyć walki z czołgami veichów, nasze pociski mogłyby strącać nasze pociski zupełnie niezależnie od jakichkolwiek działań ludzkich. W wojnie istoty ludzkie są anachronizmem i były nim zawsze, już od dwudziestego wieku. Nie musimy być

pionkami i figurami w tym konflikcie - wszyscy moglibyśmy zostać w domu, zajmując się wewnętrznymi sprawami naszych ojczystych światów, a całą walkę pozostawić naszym maszynom. Moglibyśmy prowadzić tę wojnę bez jakichkolwiek ofiar w ludziach i to przez całe stulecia, a może nawet wiecznie. Nie musimy być bilami w prowadzonej przez nas grze, a jednak nie korzystamy z tej możliwości. Pojazdy gwiazdne, które mogłyby doskonale walczyć zupełnie same, niosą na swych pokładach tysiące ludzi. Każdy zdobyty przez nas świat zalewamy oddziałami tysięcy żołnierzy, czego jedynym efektem jest zmniejszenie sprawności działania naszej maszyny wojennej. Jak pan myśli, panie Remy, dlaczego tak się dzieje? Dlaczego prowadzimy tę wojnę w taki właśnie sposób? Zakładając nawet, że w ogóle musimy ją prowadzić.

- Mówi się, że wojna zaspokaja potrzeby psychiczne - odparł Remy cicho. - Że istoty ludzkie zawsze buntują się przeciwko czasom pokoju i że dlatego właśnie czasy takie nie mogą trwać dłużej niż przeciętny okres życia człowieka. Agresja jest podobno naszą cechą wrodzoną.

- Pan w to wierzy?

- Skąd ja to mogę wiedzieć? Skąd ktokolwiek może to wiedzieć? Ale jedno jest pewne: bez względu na to czy jesteśmy agresywni w momencie narodzin, czy nie, to na pewno stajemy się piekielnie agresywni po przejściu wojskowego treningu.

Delizia sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słyszał tej uwagi, zatopiony w swych własnych rozmyślaniach. Kiedy odezwał się znowu, wydawało się, że podjął zupełnie nowy wątek.

- Przez całe swoje dorosłe życie byłem archeologiem - powiedział. - Wiem o mapirenach więcej niż jakikolwiek inny człowiek. A przecież nie wiem co się z nimi w końcu stało. Nikt tego nie wie. Prowadzili swoją wojnę przez półtora, a może nawet przez dwa tysiące lat, a potem po prostu zniknęli. Całkowicie i bez najdrobniejszego śladu. Z tego, co wiadomo, nigdzie w poznanej części Galaktyki nie natrafiono na żywych mapirenów. Przecież na każdym świecie, który okupowali niegdyś w całym tym sektorze, jacyś mapirenowie musieli tamtą wojnę przeżyć... A jednak najwyraźniej wyginęli co do jednego i to na absolutnie każdym z tych światów. Przeważa pogląd, że przyczyną tej tak totalnej zagłady była jakaś potężna zaraza, prawdopodobnie sztucznie stworzona i rozpowszechniona w tym właśnie celu. Może to i prawda. Ale ja nie mogę się powstrzymać od rozmyślań nad tym, jak to możliwe, że dwie międzygwiazdne rasy takie jak mapirenowie i cascarenowie trawiły tyle wieków na walce między sobą, a potem po prostu zniknęły ze sceny. Widzi pan, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dokładnie taki sam los czeka ludzi i veichów. Jest także stare

przysłowie, że ludzie, którzy nie uczą się na historii, są skazani na jej powtarzanie się. Myślę - boję się - że w tym, co spotkało mapirenów potrafię dojrzeć nasze własne przeznaczenie.

- Nikt nie wie, jakie motywy kierowały tymi, którzy zasiedlili Galaktykę, ale istnieje na ten temat mnóstwo hipotez. Jedna z nich mówi, że istoty te są niepoprawnymi hazardzistami i że Galaktyka jest ich szachownicą, a prowadzona przez nich gra nosi nazwę międzygwiazdnej wojny. Widzi pan, przy takim założeniu można bez najmniejszego trudu wyjaśnić, co się stało z mapirenami i cascarenatm. Kiedy ich gra dobiegła końca, zostali po prostu usunięci z szachownicy, jak śmieci, by zrobić miejsce na następną rundę rozgrywek. W ten sposób, jak pan widzi, mogła to wcale nie być kwestia wzajemnej zagłady, ale likwidacji zwycięzców przez nieskończenie bardziej potężną siłę zewnętrzną. Wyjaśniłoby to bardzo wiele rzeczy, zarówno z odległej przeszłości, jak i teraźniejszości. Wyjaśniałoby dlaczego prowadzimy tę wojnę w taki właśnie sposób, dlaczego nie możemy pozwolić, by się zakończyła. Prowadzimy tę wojnę, bo jesteśmy takim a nie innym rodzajem stworzeń, bo tak właśnie chcieli nasi stwórcy.

Przerwał, a Remy przez dłuższą chwilę nie zakłócał milczenia.

- Czy pan naprawdę w to wierzy? - zapytał w końcu.

- Musiałbym być wariatem, żeby w to wierzyć, prawda?

- Tak - powiedział Remy. - Musiałby pan być wariatem.

- Nie wierzę w to - powiedział mały archeolog. - Ale gdyby to była prawda, to myślę, że najważniejszą rzeczą w świecie byłoby w porę ją poznać. A jeśli to nie jest prawda, no cóż, to myślę, że tego też powinniśmy się dowiedzieć. Powinniśmy się dowiedzieć kim byli gwiazdni siewcy i jakie motywy nimi kierowały, ponieważ dopiero wtedy będziemy mogli doszukać się istoty tego czym jesteśmy i co robimy. Gdybyśmy wiedzieli, jakie były ich zamiary, to być może potrafilibyśmy tę wojnę przerwać. To jedyne, co mogłoby ją zakończyć. Gdybyśmy się dowiedzieli, że zarówno my jak i veichowie zostaliśmy genetycznie zaprogramowani, by walczyć o władzę nad Galaktyką ku uciesze jakichś nieznanych hazardzistów... lub jakbyśmy dokonali jakiegoś innego odkrycia, które powstrzymałoby nas od zmagania się z veichami, a zmusiło do zmagania ze sobą... Tak, myślę, że tylko wtedy moglibyśmy mieć jeszcze nadzieję na zakończenie tej wojny.

- Problem polega na tym - powiedział Remy tonem dziwnej rezygnacji - że trudno znaleźć kogoś, kto chciałby, żeby ta wojna się skończyła. Ci, którzy są jej przeciwnikami, zarówno ludzie jak i veichowie, mają największe szansę stać się jej ofiarami. Znałem kiedyś mężczyznę, który został skazany na śmierć przez swoich własnych klanowych braci, viechow, którzy przysięgali ochronić go bronić, ponieważ uważali oni, że zhańbił ich i że ta hańba jest

nie do zniesienia. Jego zbrodnia polega na udziale w spisku, którego celem było doprowadzenie do negocjacji w sprawie zawieszenia broni w tej części Galaktyki; zakończenie niepotrzebnej rzezi tysięcy, a może nawet milionów jego rodaków, mających zginąć w batalii o tuzin planet, tak naprawdę zupełnie nikomu niepotrzebnych. Planet takich jak Haidra, Pajilla i Kilifi.

- Światów bez żadnego znaczenia - powiedział Delizia - poza tym, że stanowią małe pola wielkiej szachownicy, które trzeba oczyścić, by móc iść dalej.

Odwrócił się z powrotem do Remy'ego i napotkał jego spojrzenie.

- Muszę wiedzieć, co było na tym dysku - powiedział Remy. - To, co Scapaccio uważa za taką ogromną tajemnicę. To, co ściągnęło tutaj pana.

- Nie mogę panu tego powiedzieć - odparł bez przekonania Delizia.

- Owszem może pan to zrobić i zrobi. Przecieków w tej sprawie było tyle, że aż dziw bierze, że nie zważyło się tu jeszcze pół Galaktyki. Przed nastaniem wiosny może się tu rozpętać bitwa, jakiej dawno już nikt nie oglądał. O tym dysku wiedzą już veichowie, a i jeszcze ktoś chce rozwalić jego tajemnicę. Nie mam zamiaru włączyć z nimi wszystkimi, dopóki nie będę wiedział, o co walczę. Co jest w tej bazie?

- Nie wiem - odparł z wahaniem Delizia. - Jedyne co nam się udało odczytać z tego dysku, to informacja, że była to dość duża baza wojskowa, uważana przez mapirenów za niezwykle ważną. Było na nim jeszcze sporo innego materiału, w większości nie do odczytania, ale najważniejsze było jedno zda nie... Nie wiem nawet, czy dobrze je przetłumaczyłem...

- Jakie to było zdanie? - zapytał głucho Remy.

- Na tyle, na ile mogłem się zorientować, była w nim wzmianka o "tajemnicy gwiazdnych siewców".

- Gwiazdnych siewców - powtórzył jak echo Remy.

- Widzi pan, mapirenowie mogli wiedzieć. Mogli znać odpowiedź... I może gdzieś w tej bazie uda się ją odnaleźć. - Ostatnie słowa Delizia wypowiedział zupełnie niepewnie, tak jakby w miarę ich wypowiedzania uzmysłowił sobie, jak bardzo nieprzekonywająco brzmią.

Remy wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. - I to właśnie pana tu sprowadziło?! To jedno zdanie, o którym w dodatku wcale nie wiadomo, czy jest poprawnie przetłumaczone?!

- Było tam jeszcze coś - powiedział Delizia. - Fragment jeszcze jednego zdania... Znów nie jestem pewien, czy dobrze je zrozumiałem. Mówił on "Wojna wkrótce się zakończy". Słowa były może nieco inne, ale taki właśnie był ich sens. Scapaccio uważa, że mapirenowie

weszli w posiadanie czegoś, co było w stanie zniszczyć Cascarenów raz i na zawsze, ale że nie zdążyli tego użyć. On uważa, że to coś ciągle jeszcze tam jest. Ale jeżeli mapirenowie rzeczywiście znali tajemnicę gwiazdnych siewców, to zdanie to mogło oznaczać coś zupełnie innego. Mogło ono...

- Wiem - powiedział Remy, przerywając mu niechętnym ruchem ręki. - Od tego miejsca dalsze rozumowanie potrafię przeprowadzić sam. Ale wygląda na to, że te pańskie poglądy mało kto podziela. Veichowie przysłali tu członka klanu wojowników, a ta trzecia konkurencyjna strona uzbroiła się w działo laserowe. Oni nie szukają klucza do metafizycznych dylematów; im chodzi o coś znacznie bardziej brutalnego.

Na to Delizia nic nie odpowiedział.

- W ten sposób pozostaje nam tylko jeden problem - ciągnął Remy. - Jeżeli mówi pan prawdę, a to wszystko jest tak zwariowane, że chyba nie mógł pan tego zmyślić, to nadajnik musiał zniszczyć ktoś z członków naszej ekspedycji, ktoś, kto pracuje dla naszej konkurencji. Co pan wie o Justinie Magnie?

Delizia był wyraźnie zaskoczony. - Ja o niej... - zaczął i urwał. - Ja nic o niej nie wiem - powiedział w końcu.

- To i tak pewnie nie ma żadnego znaczenia - powiedział Remy. - Jeśli to Dowództwo maczało w tym palce, to może to być każdy z chłopców Garstona, nawet ten odmieniec. Zgadywanki donikąd nas nie zaprowadzą. Lepiej niech pan teraz pójdzie się trochę przespać.

Wyjął świecę ze skalnej rozpadliny i zdmuchnął płomień. Wrócili razem do kręgu pojazdów, a potem Remy zatrzymał się i odprowadził wzrokiem Delizię, idącego powoli przez pustą przestrzeń do swego namiotu. Uzmysłował sobie, że ciągle jeszcze nie jest za późno, by skorzystać z możliwości, jaką przedłożył swoim towarzyszom; pojechać na południe i zostawić te wszystkie grupy zmierzające w głąb Syrenę, by same walczyły ze sobą. Zastanawiając się nad tym stwierdził, że w najmniejszym stopniu nie obchodzi go, co znajduje się w tej bazie mapirenów, nawet jeśli ona sama rzeczywiście istniała. Nie obchodziła go ani ultymatywna broń Scapaccia, ani obłąkańcza łamigłówka Delizia - z natury nie był człowiekiem ciekawym. Ale było coś, co miało dla niego znaczenie; jeden jedyny powód, by nie jechać na południe. Musiał zrobić coś dla Yeremy.

Nie zamieniając z nikim ani słowa, wrócił do swego namiotu.

Nim zatrzymali się na następny postój, wkroczyli w okolice, które do złudzenia przypominały pozbawiony wszelkich konturów ocean pyłu. Do tej pory podróżowali przez tereny skaliste lub pokryte warstwą kamienistej ziemi, napotykając po drodze zasypany pyłu

jedynie kilkucentymetrowej grubości. Ale teraz pył był dosłownie wszędzie, a patrząc w kierunku wschodu Remy wiedział, że to dopiero początek prawdziwej pustyni. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było najmniejszego śladu niczego poza pyłem. Nie było szorstkiej trawy, nie było kolczastych krzewów, nie było nawet beczułkowatych kaktusów. Pociągnął maleńki łyk wody z menażki i poruszył delikatnie swoim ubraniem, próbując uwolnić się od kontaktu z trującym pyłem, od którego zaczęły mu się pojawiać czerwone obręcze wokół nadgarstków.

Usłyszał, że ktoś go woła i odwróciwszy się ujrzał za sobą Scapaccia, Justinę Magnę i Garstona. Ich widok specjalnie go nie zaskoczył - od czasu rozmowy z Delizią spodziewał się czegoś w rodzaju poselstwa.

Starannie docisnął zakrętkę menażki i naciągnął z powrotem maskę, by zapięcie było szczelne i nie uwierało.

- Ktoś nas śledzi - burknął Scapaccio dość cicho, ponieważ maska tłumiła mu głos.

- Zgadza się - odparł Remy. - Naszymi śladami jedzie grupa veichów. W większości są to, lub byli, najemnicy Yeremy, ale prowadzi ich członek klanu wojowników z innej planety, przysłany tutaj, by sprawdzić wasze informacje. Poza tym jest jeszcze ktoś, kto śledzi obie nasze grupy, jakiś mały oddziałek, sądząc po ilości wzbijanego przez nich pyłu. Kim oni są, nie wiem.

- Co z tym zrobimy? - nie tyle spytał, co zażądał odpowiedzi Scapaccio.

- Na razie nic - odparł spokojnie Remy.

- Ci veichowie to pewnie pańscy przyjaciele - odezwał się Garston. Głos miał dziwnie chrapliwy i wyraźnie dźwięczała w nim nuta zaciętości.

- Do niedawna - potwierdził Remy. - To znaczy poza tym obcym. Ale nie stawiałbym na to, że są nimi w dalszym ciągu. Zdaje się, że Azreon zmienił się w strefę działań wojennych, przynajmniej na jakiś czas.

- Od jak dawna wie pan o tym obcym veichu? - spytał Scapaccio.

- Od kiedy wróciliśmy do Ziaratu, po spotkaniu z wami na drodze do Piru.

- Ale nie uznał pan za stosowne nam o tym powiedzieć?

- Nie, nie uznałem. Nic wtedy nie mogliśmy poradzić, podobnie zresztą, jak nie możemy na to poradzić teraz. Nie mogliśmy wszczynać walki w Ziaracie, mieście zamieszkałym przez dziesiątki tysięcy veichów. Nie możemy podjąć żadnych odpowiednich kroków także i tutaj. Jeżeli choćby ruszymy w ich kierunku w ciągu dnia, to natychmiast zostanie to wypisane ogromnymi kłębamii pyłu na całym niebie. Gdybyśmy chcieli ich zaatakować w ciągu nocy, to także bylibyśmy skończonymi głupcami, bo oni widzą po ciemku wielokrotnie lepiej niż my. Ale i oni byliby głupcami, gdyby przyszło im do głowy zaatakować nas, ponieważ znacznie

przeważamy ich liczebnością, a także dlatego, że ich celem nie jest zdobycie bazy, lecz złożenie meldunku o tym, co my w niej znaleźliśmy. A jeśli chodzi o tę trzecią stronę... Za mało wiemy na ich temat, by w ogóle cokolwiek przeciwko nim przedsięwziąć. Jedynie, co wiem, to to, że są znacznie lepiej uzbrojeni od nas i że nie mam zamiaru podejmować choćby próby zbliżenia się do nich, kiedy oni są w stanie w każdej chwili upiec mnie żywcem. Czy teraz wszystko jest już jasne?

- Jak cholera - burknął Garston.

- Zatrzymał pan dla siebie mnóstwo różnych ciekawych informacji, panie Remy - rzucił Scapaccio z wściekłością w głosie.

- O panu także trudno powiedzieć, żeby się pan palił do powiedzenia wszystkiego co pan wie - odciął się Remy.

- Problem w tym - wtrąciła Justiny Magna - co zrobimy z tymi pozostałymi, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, zakładając oczywiście, że w ogóle nadejdzie.

To zależy - odparł Remy.

- Od czego?

- Od er'kresha. Jeżeli są w tych górach, to stanowią zagrożenie dla nas wszystkich. Jeżeli jest ich tam wielu, to naszym pierwszym celem będzie ich usunięcie. Tego chcemy my, tego chcą veichowie i tego chce także nasza tajemnicza konkurencja. Nie mogę już wydawać veichom rozkazów, ale mogę przypuszczać, że z uwagi na nasze dawne powiązania będę w stanie zawrzeć z nimi coś w rodzaju układu. Jeżeli uda nam się połączyć nasze siły w walce z er'kresha, to bez wątpienia potrafimy opanować jezioro. Wtedy walka znów zacznie toczyć się na trzech frontach i być może uda nam się pokonać w niej veichów. Ale jeżeli zaczniemy walczyć z veichami już teraz i nawet jeżeli ich pokonamy, to już nigdy nie wydostaniemy się z Syrenę. Oni muszą wiedzieć o tym równie dobrze jak my.

- To byłby bardzo odpowiedni moment do wezwania Dowództwa Haidry - zauważył Garston. - Oczywiście gdybyśmy jeszcze mieli nadajnik.

- A tak — wszedł mu niemal w słowo Remy - nasze szansę są niestety znacznie mniejsze, ale coś mi się wydaje, że Scapaccio to woli. Z jego punktu widzenia wezwanie Dowództwa Haidry byłoby końcem wszystkiego. A niech mi pan powie, panie Scapaccio, od jak dawna pan wie, że jesteśmy śledzeni? Od zniszczenia nadajnika, czy też wiedział pan o tym już wcześniej?

- Niech pan sobie wyobrazi, że wolałbym jednak oddać tę bazę Dowództwu Haidry, niż skończyć jako trup - odparł Scapaccio, ciągle jeszcze najwyraźniej wściekły.

- W porządku - powiedział Remy. - No to zastanówmy się nad czymś takim. Jeżeli mamy wyjść z tego wszystkiego z życiem, to będzie nam potrzeba naprawdę mnóstwo szczęścia. Nie możemy wezwać na ratunek Dowództwa Haidry, ale istnieje być może sposób, by jednak uzyskać jakąś pomoc. Możemy zawrzeć układ z veichami, by pomogli nam rozprawić się z er'kresha. Może, powtarzam, może, udałoby się rozciągnąć ten układ także na pomoc w zwalczeniu tej trzeciej strony. Ale jeśli nam się to nie uda, to musielibyśmy zagwarantować temu wysłannikowi spoza planety, że będzie mógł bez przeszkód złożyć swój meldunek. Niech pan sobie zada jedno pytanie, panie Scapaccio: gdyby musiał się pan podzielić z kimś swym odkryciem, to z kim by pan wołał? W końcu, zanim veichom uda się przesunąć działania wojenne w te rejony, upłynie sporo czasu... A kiedy wreszcie to zrobią, to pewnie i tak zostaną jeszcze raz pokonani. Może będzie pan mógł w ten sposób zyskać te kilka miesięcy, które są panu potrzebne do sprzedania tego, co pan znajdzie w bazie Dowództwu Międzygwiazdnemu albo nawet Dowództwu Ziemi. Co pan o tym sądzi?

- Powiem panu co ja o tym sądzę - wtrącił szybko Garston. J a sądzę, że to pachnie zdradą stanu.

- Mnie to pachnie jedyną szansą przeżycia - odparł Remy.

- To byłaby zdrada także z punktu widzenia veichow - powiedziała Justina Magna. - Najemnicy mogliby na to pójść, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, ale na pewno nie członek klanu wojowników. On nie mógłby się na to zgodzić. Co więcej, gdyby zwrócił się pan do niego z taką propozycją, uznałby ją za tak hańbiącą, że czułby się w pełni uprawniony do wyrażenia na nią zgody, mając jednocześnie świadomość, że przy pierwszej nadarzającej się okazji złamie dane słowo. Zdradziłby pana, czując się z góry rozgrzeszony.

Remy uśmiechnął się, choć przez maskę nie sposób było tego dojrzeć. - Zgadza się - przyznał. - Ale zdradziłby mnie dopiero p o rozprawieniu się z er'kresha i nie byłoby to dla mnie żadnym zaskoczeniem. Mogłoby to nadejść nawet po rozprawieniu się z tą trzecią tajemniczą stroną, co może się okazać najistotniejszym elementem całej tej sprawy. Nie mam nic przeciwko walce z veichami, jeżeli nie można będzie jej uniknąć, lecz chcę ją po prostu odsunąć w czasie, dopóki nie poradzimy sobie z prawdziwą konkurencją.

- Czy pan naprawdę uważa, że dałoby się zawrzeć z veichami taki układ? - spytał Scapaccio.

Remy wzruszył ramionami - Mam zamiar spróbować - powiedział.

Scapaccio popatrzył z ukosa na Garstona. - W porządku - powiedział. - Może im pan obiecać co pan tylko zechce, zawsze mając w pamięci, że niczego nie będziemy dotrzymywać.

Garston wydał z siebie jakiś stłumiony dźwięk, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Sierżant nas nie pochwała - zauważył obojętnie Remy.

- Nic mi nie może zrobić - powiedział Scapaccio. - Kiedy już dowiem się, co jest w tej bazie, nikt mi nic nie będzie mógł zrobić. Będę w drodze na Ziemię.

Ta beztraska wiara w nietykalność wydawała się Remy'emu objawem czystego szaleństwa, ale poruszanie tej sprawy nie miało najmniejszego sensu. Zamiast tego powiedział:

- Zastanawiam się, czy przypadkiem nie ma pan jakiegoś pomysłu, kim mogłaby być ta trzecia strona. W końcu to pańska tajemnica, a oni jakoś się do niej dobrali.

Scapaccio pokręcił przecząco głową. - Jeżeli to nie jest ktoś z Dowództwa Haidry - powiedział - to nie mam najmniejszego pojęcia. - On także odwrócił się i ruszył za Garstonem w kierunku wozów.

- No i jak? - spytał Remy Justinę Magnę. - Chciała pani, żeby coś się działo i proszę, dzieje się.

- Może nawet trochę za dużo - odparła sucho. - Nie miałam w planach dać się zabić.

Takie są koleje wojen - powiedział równie sucho Remy.

- Myśli pan, że uda się panu nas stąd wydostać?

- To nie będzie wcale takie łatwe - przyznał Remy - ale problem sam w sobie jest bardzo ciekawy. A przecież nikt nie żyje wiecznie.

Jej ciemne oczy wpatrywały się w niego uważnie spod krawędzi maski. - Jedną z zalet tych wszystkich komplikacji jest to - powiedziała - że sekret Scapaccia staje się dzięki nim znacznie bardziej interesujący. Byłabym bardzo rozczarowana, gdyby przyszło mi umrzeć, zanim dowiem się, co takiego naprawdę kryje się w tych górach.

- Nie liczyłbym za bardzo na wyjaśnienie tej tajemnicy - powiedział Remy. - Jeżeli dobrze rozgryzłem Scapaccia, to on nie ma zamiaru podzielić się nią z nikim. Potrzebuje nas jako obstawy, ale nie ma zamiaru zaproponować nam równych udziałów w łupie. Myśli raczej o zwykłej pożegnalnej odprawie, podczas gdy on sam wsiądzie w statek na Ziemię, by awansować do grona półbogów.

Justina Magna roześmiała się i powiedziała: - Już ja ją wyjaśnię.

Obserwował jak odchodziła, a potem powrócił na krótko do kontemplacji morza srebrzystego pyłu. W końcu sam ruszył do cienia na południowy sen.

Brnąc przez zasy pyłu zastanawiał się, czy Scapaccio nie należy przypadkiem do osób, które mówią przez sen. Wyglądał na takiego.

Już na długo przed świtem piątego dnia podróży Remy wiedział, że wschodzące słońce ukaze się więcej niż tylko czerwoną zorzę, nazywaną przez mieszkańców Ziaratu rzeką krwi. Jeszcze przed zmierzchem poprzedniego dnia zaczął zauważać coraz więcej zmian terenu, przez który się posuwali. Droga znów stała się twarda i bardzo nierówna; powierzchnię pustyni stanowił teraz pył zmieszany z gruboziarnistym piaskiem i szorstkim kawałkiem zwietrzalej gleby, a tu i tam wystawały spod niego coraz większe grupy skał. Podczas zachodu słońca cały wschodni horyzont był jeszcze tylko tą samą co zwykle rozmazaną plamą czerwieni, ale teraz słoneczna tarcza wyłaniała się z ponurego zamczyska cieni.

Kiedy ukazały się pierwsze promienie światła, ściągnął cugle z trudem wciągając szarpiające płuca powietrze przez oblepioną pyłem maskę. W płucach odezwał się stary ból, gardło paliło go nieznośnie i właściwie zupełnie stracił głos. Podobnie jak wszyscy pozostali mówił teraz chrapliwym szeptem. Prowadzenie rozmów stało się bardzo trudne, a napięcie i wzajemna wrogość, które stopniowo opanowały wszystkich członków ekspedycji, jeszcze bardziej do nich zniechęcały.

Remy zamrugał kilkakrotnie, usilnie próbując wywołać łzy, które mogły złagodzić ból oczu. Wiedział, że kiedy słońce wejdzie wyżej, ból jeszcze się nasili. Ale wiedział także, że zanim ponownie zajdzie, dotrą już do podnóża gór, umkną przed najgorszym pyłem i znajdą zbawczy cień, a może nawet odrobinę wody.

Góry wyrastały ponad kipiela czerwieni jak postrzępione pasmo wyraziście odcinających się ód tła cieni - rząd połamanych zębów sterczących z ociekającą krwią szczęki. Nie sposób było powiedzieć, by wyglądały zachęcająco, ale już sam widok prawdziwej czerni miedzy rozpalonym błękitem nieba a ogniście pomarańczową mgłą wirującego pyłu dodawały otuchy. W ciągu ostatnich dni ogarnęło go przygnębiające uczucie, że czas przestał płynąć, tak jakby on i wszyscy jego towarzysze skazani zostali na wieki czyśćca, na wieczną tułaczkę po tej bezkresnej równinie. Wszystko uległo zawieszeniu - wszystkie problemy i stosunki międzyludzkie zapadły w całkowity letarg, czekając, aż zmiana krajobrazu przywróci je do życia.

Remy doskonale zdawał sobie sprawę, że ma niewielkie szansę, by kiedykolwiek powrócić z tych gór do świata, a jednak z wdzięcznością przyjął ich pojawienie się na horyzoncie. Oczekiwanie było czasem straconym, czasem bezpańskim - jak chwilowa śmierć. Jeżeli czekała go walka, to znacznie bardziej wolałby stanąć do niej już teraz, niż odwlekać ją w nieskończoność otepiałym, straconym oczekiwaniem.

Kiedy wozy zaczęły przejeżdżać obok niego, rozejrzał się za jakimiś innymi jeźdźcami, ale nie dostrzegł ani jednego. W ciągu ostatnich trzech dni dosłownie wszyscy uznali, że znacznie wygodniej jest podróżować we wnętrzu pojazdu, gdzie nie musieli nakładać masek i gdzie pył nie wciskał im się pod ubranie. Obserwował mijających go jeden po drugim woźniców, okutanych w nocną odzież, z twarzami zakrytymi tak całkowicie, że widać w nich było tylko oczy. Rozpoznał Madoca, ale pozostali woźnice byli niemal absolutnie nie do odróżnienia - w żaden sposób nie potrafiłby powiedzieć, który z nich jest jego, a który Garstona. Żołnierze już dawno porzucili swoje mundury na korzyść ubioru wymyślonego specjalnie do wędrówki po pustyni i jej okolicach. Nawet sam Garston skapitulował przed tą koniecznością.

Kiedy przejechał ósmy wóz, Remy nie ruszał się jeszcze przez kilka chwil z miejsca, wpatrując się w ogromny tuman kurzu, podniesiony kopytami zwierząt i kołami pojazdów. Potem znów ponaglił swego konia kierując go nieco w bok od kolumny i najgorszego pyłu. Zwierzę parsknęło, szarpiąc głową, kiedy ściągnął cugle. Było teraz znacznie chudsze niż wtedy, kiedy po raz pierwszy zjechali na równinę pustyni - zużyło niemal całą warstwę swego tłuszczu, służącego jako awaryjny zapas energii. Koń nie cierpiał jeszcze na odwodnienie, ale z pewnością był głodny, a pył wciskający mu się w chrapy i do gardła, musiał być dla niego równie drażniący jak dla ludzi. Zwierzętom nie można było założyć masek, choć w ciągu dnia przesłaniano im głowy kapturami opatrzonymi zasłonami z gazy.

Remy poklepał kosmaty zad konia i zmusił go do dalszej drogi uderzeniem pięty. Z ogromnym znużeniem zwierzę poddało się jego woli.

Do podnóża gór dotarli późnym popołudniem i Remy natychmiast rozesłał dwójki konnych w poszukiwaniu wody. Pojazdy wkraczały teraz na tereny nieco bardziej zielone, ale robiły to powoli i trzymając się wyłącznie otwartych przestrzeni. Nie natrafili co prawda na żadne wyraźne ślady er'kresha i było zupełnie możliwe, że ich zbliżanie się nie zostało zauważone, ale Remy wolał być przezorny. Wraz z zapadnięciem zmroku rozesłani przez Remy'ego ludzie wrócili, a na ich miejsce wyprawieni zostali sioconi, tym razem pojedynczo. To oni właśnie znaleźli wodę i poprowadzili karawanę w głąb niewielkiej doliny, osłoniętej od wschodu i zachodu przez dwie potężne granie. Choć szczyty wzgórz były całkiem nagie, samą dolinę porastała roślinność, która miała jeszcze dość listowia, by konie mogły się pożywić. Woda znajdowała się w kilku stojących zbiornikach, połączonych wyschniętymi łożyskami potoków, które z nadejściem pory deszczowej miały zmienić się w rwące rzeki. By

woda nadawała się do picia, należało ją najpierw przedestylować, ale to nie stanowiło już żadnego problemu.

Remy odetchnął dopiero wtedy, kiedy wozy ustawiono wokół największej z sadzawek, a konie wpuszczono do zagrody wykonanej naprędce z lin, gdzie natychmiast zabrały się do skubania poźółkłej, suchej trawy. Przyjemnie było móc poruszać się bez maski na twarzy, a powietrze miało cudownie czysty smak - niemal odurzający, ale ta sytuacja miała także kilka mniej przyjemnych aspektów. Wzgórza po obu stronach były dość wysokie, a ich zbocza niezbyt urwiste, lecz obozowisko w żadnym wypadku nie nadawało się do obrony przed zorganizowanym atakiem jakiegokolwiek większej liczby napastników, nawet słabo uzbrojonych. Garston z miejsca podniósł ten problem, ale Remy zaproponował mu w odpowiedzi, by spróbował znaleźć wodę na szczycie któregoś z sąsiednich wzgórz.

- Jak długo ma pan zamiar się tu zatrzymać? - spytał sierżant.

- To zależy - odparł Remy. - Do jeziora moglibyśmy już teraz dojechać pewnie w jeden dzień, ale najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie są er'kresha. Zostaniemy tu na noc, a może także na cały jutrzejszy dzień. Przed południem pojedę z kilkoma ludźmi zorientować się w sytuacji.

- A jeżeli zaatakują nas właśnie w tym czasie?

- To będziemy się bronić powiedział Remy z oschłą stanowczością w głosie. - Niech pan lepiej zadba o wystawienie silnej straży; zostawię panu swoich sioconów.

Garston spojrział na niego pośepnie, a światło lampy wiszącej na wrędze pobliskiego wozu rzuciło na jego twarz cienie, jeszcze bardziej uwypuklające uczucia, które się na niej malowały.

- Jak to zostawię?

- Wybieram się na spotkanie.

- Z veichami?

- Z veichami - powiedział Remy. - Wezmę ze sobą tylko Myszkę; to powinno wystarczyć. Wrócę przed świtem.

Chmurny wyraz nie zniknął z twarzy sierżanta.

O co chodzi? - spytał Remy łagodnie. - Czy myśli pan, że chcę czmychnąć?

- Ujmijmy to w ten sposób - powiedział Garston. - Jeżeli pan nie wróci, powstrzymam się od wydawania sądu, biorąc pod uwagę, że mógł pan zginąć.

- Jeżeli nie wrócę - odparł lekko Remy - to cała ta impreza będzie w pana rękach. Nie przypuszczam, że moi ludzie się ulotnili, ale od tej chwili aż do zakończenia walk na

Scapaccia nie ma pan co liczyć. To od pana będzie zależało, czy oni wszyscy jakoś to przeżyją.

- Gdyby to zależało ode mnie - zareplikował Garston - to natychmiast po napełnieniu zbiorników wodą ruszylibyśmy z powrotem do Ziaratu. Powinniśmy byli to zrobić już wtedy, kiedy zniszczono nam nadajnik. Ja z tym wszystkim nie mam nic wspólnego. Walka z tymi pańskimi pustynnymi dzikusami wcale mi się nie uśmiecha.

- Nawet dla dobra całej rasy ludzkiej? By zdobyć broń mogącą natychmiast zakończyć wojnę... Nawet po to, by poznać tajemnicę gwiazdnych siewców?

Garston najwyraźniej nie rozumiał do czego Remy nawiązuje. Był pewnie jedynym człowiekiem w całym obozie, który jeszcze nie słyszał krążących wokół plotek.

- No cóż - powiedział Remy ze znużeniem - jeżeli będzie pan chciał wycofać z tego swoich ludzi, to niech pan to zrobi. Będzie pan pewnie musiał pozbawić swobody Scapaccia, ale pańscy przełożeni z Dowództwa uznają najprawdopodobniej, że postąpił pan słusznie. Niech pan posłucha dobrej rady i kieruje się na południe, omijając Ziarat. I niech pan pilnuje tego swego osiłka, żeby nie wypuszczał z rąk karabinu maszynowego. Dotrzecie do domu, choćby miało wam to zająć pół roku. W tym czasie, oczywiście, Zemak może już sprowadzić do tego sektora całą wojenną flotę veichów.

- Zawiera pan układ, który właśnie ma mu to umożliwić - powiedział szorstko Garston.

- To prawda - przyznał Remy. - Ale tak tylko między nami; postawiłbym tysiąc do jednego, że on nie będzie w stanie uruchomić tej swej aparatury sygnalizacyjnej. Powiem szczerze, że mnie samego zupełnie to nie obchodzi. Ale gdzieś tutaj niedaleko jest ktoś, kogo to obchodzi i to bardzo. Moim zdaniem obchodzi go tak bardzo, że dopóki nie dopadnie Zemaka, to właśnie ten veich będzie się znajdował na pierwszym miejscu listy celów. To powinno poprawić humor nawet panu. Tyle tylko, że kiedy już załatwią Zemaka, zabiorą się za nas wszystkich. Jak zatem pan widzi, istnieją dwa powody, dla których trzeba przynajmniej spróbować zawrzeć ten układ z veichami. Po pierwsze, pomogą nam przedrzeć się przez er'kersha; a po drugie Zemak może posłużyć za przynętę i dopomóc nam w - schwytaniu w pułapkę facetów z laserem. Niech pan o tym pomyśli.

- Panu chyba naprawdę ta zabawa się podoba? - raczej stwierdził, niż zapytał Garston.

- Jedyne, co mi się w niej podoba - odparł Remy - to swoboda, z jaką mogę sam decydować, jak to wszystko rozegrać. Wolę być graczem niż bilardową kulą. Być może bezpieczniej byłoby dla mnie zostać w wojsku, ale z drugiej strony mógłbym się znaleźć dokładnie na pana miejscu i w zastępstwie martwego dowódcy plutonu gnać swoich żołnierzy za jakimś stukniętym, podrabianym pułkownikiem prosto do doliny śmierci. Jedziemy na

jednym wozie, ale jeżeli chce pan wiedzieć, to owszem, ta przejażdżka sprawia mi znacznie większą przyjemność niż panu.

- Drań - rzucił przez zęby Garston. - Chciałbym pana zabrać ze sobą do Omeru, jeżeli tam dojadę.

- Jasne - powiedział Remy. - Ale zanim pójde się trochę przespać przed wyjazdem, niech mi pan powie jedno. Verdigo nie przysłali tu po to, żeby niańczyć Scapaccia, prawda? Miał rozkaz pospieszować trochę w Ziaracie. Zgadza się?

- A skąd miałbym to wiedzieć? Ja jestem tylko zwykłym sierżantem.

- Wiedziałbym o tym. Właściwie nie musi mi pan odpowiadać, mam zaufanie do swej intuicji.

Przez twarz Garstona przemknął przebiegły uśmiezek i przez chwilę Remy myślał, że się jednak pomylił. Ale zaraz potem sierżant powiedział:

- No więc owszem, takie właśnie były rozkazy. A wie pan dlaczego?

- Chyba wiem - odparł Remy. - Na początku nie byłem tego pewien, ale teraz już jestem. Armia okupacyjna już od bardzo dawna nie ma nic do roboty; od czasu zakończenia tej tak zwanej pacyfikacji. Mnóstwo żołnierzy umiera z nudy w braku jakiegokolwiek zajęcia; nie zawijają tu żadne statki, które pozwoliłyby na rotację personelu. No więc Dowództwo Haidry zaczęło zabawiać się myślą o inwazji na Azreon. Jako o bojowym ćwiczeniu... Czymś dla zabicia czasu. Kiedy wojna zdaje się o człowieku zapominać, zawsze można rozejrzeć się za jakąś mniejszą draką. I tyle, prawda?

- A pan myślał, że może pan tu sobie zbudować własne imperium? - spytał drwiąco Garston. - Miał pan nadzieję, że będzie tu całkowicie bezpieczny, by prowadzić swoją własną gierkę z veichami i zbijać fortunę w Ziaracie?

- Nic nie trwa wiecznie - powiedział sentencjonalnie Remy.

Veichowie obozowali na otwartej przestrzeni cztery kilometry dalej. Remy i Myszka odnaleźli ich bez jakichkolwiek trudności, po czym skierowali się na niewielki pagórek, jakieś sześćset metrów od ustawionych w kwadrat wozów. Zsiedli z koni i zaczęli czekać.

- Jak ona nas tu znajdzie? - spytał Myszka ochryłym szeptem.

- Znajdzie nas - odparł Remy z pewnością siebie.

- Jeśli to takie proste, to na ten piknik może ich się tu zlecieć trochę więcej.

- I tak w końcu będziemy musieli porozmawiać z Cagiriamą - powiedział Remy beztrąsko. - Od razu wjechałbym prosto do ich obozowiska, gdyby nie możliwość, że jakiś

nadgorliwy wartownik pociągnie za cyngiel. Lepiej, żeby Valla ich na to przygotowała i przyzwyczaiła tego veicha do myśli, że potrzebuje tego, co my mamy do zaoferowania.

Czekali cały kwadrans, nim ujrzeli rysującą się na tle świateł obozowiska veichów sylwetkę jeźdźca. Tak jak przewidział Remy, dziewczyna nie miała żadnych kłopotów z odnalezieniem ich. Remy wyszedł jej na spotkanie i pozdrowił konwencjonalną formułą mowy klanów. Dziewczyna ledwie spojrzała na Myszkę.

- Czy natrafiliście na jakieś ślady er'kresha? - spytała.

- Nie - odparł Remy. - Nie przypuszczam, by wiedzieli, że tu jesteśmy. Jeżeli zgrupowani są wokół jeziora, to mogli wcale nie zauważyć pyłu, jaki wzbijaliśmy przy przejeździe przez pustynie. A co tam w waszej grupie?

- Cagiriama nie czuje się najlepiej - odparła. - Wszyscy jesteśmy zmęczeni i bardzo spragnieni.

- Odczepił menażkę od siodła swego konia i podał dziewczynie. Przyjęła ją chętnie, lecz wodę piła bardzo wstrzemięźliwie.

- Chciałbym porozmawiać z Cagiriama - powiedział Remy, kiedy oddała mu menażkę.

- To niemożliwe - odparła stanowczo.

- Jako córka swego ojca - powiedział Remy łagodnie - musisz zdawać sobie sprawę z tego, w jak nieprawdopodobnej znaleźliście się sytuacji. Nie ma takiego sposobu, żebyście zdołali pokonać er'kresha, ludzi oraz tych, którzy zabili Yeremę. Jedynym sposobem, by ktokolwiek przeżył ten galimatias, jest połączenie sił, choćby nie wiem jak niechętnie, z którąś z sił drugiej strony. Razem, dwie grupy mają jakieś szansę pokonania pozostałych dwóch. Ci z laserem wiedzą o tym, dlatego właśnie zabili Yeremę.

- Zemek nigdy się na to nie zgodzi... Jego honor i duma nigdy mu na to nie pozwolą.

- Jego honor i duma nie pozwolą mu dotrzymać słowa. Ale on jest wojownikiem. Zna się na taktyce i wie co to obłuda. Potrafi być oportunistą. Da się przekonać. Nie ma innego wyjścia. Gdyby nie ci z laserem, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, ale teraz oni bardziej zagrażają obu naszym grupom, niż my sobie nawzajem.

- Oni nie są veichami - powiedziała.

- No to są ludźmi - powiedział Remy. - Ale wcale nie wygląda na to, by lubili nas bardziej niż was.

- Ale to Yeremę zabili.

- I właśnie dlatego ktoś musi zająć jego miejsce. Tylko ty możesz to zrobić, Vallo. Nie Oclo, nie Subala ani nikt z pozostałych. Tylko ty.

Milczała przez chwilę, pochyliwszy nisko głowę. Potem nagle podniosła wzrok, zupełnie jakby szukała natchnienia w zamglonych gwiazdach. Ale Remy zbyt często już widywał tak patrzących veichów - nawet veichów z miasta.

- Co się stało? - zapytał szybko z nagłym niepokojem w głosie.

- Pomyliłeś się - powiedziała spokojnie. - Er'kresha wiedzą już, że tu jesteśmy.

Nie potrzebowała dodawać, że byli blisko - musieli być, inaczej nie byłaby w stanie wyczuć ich zapachu. Bez słowa Remy zdjął z ramienia automatyczny karabin i wsunął do komory pierwszą kulę.

Kiedy tuż nad nim zamajaczył jakiś cień, Delizia aż podskoczył, a serce zaczęło mu bić coraz szybciej i w ułamku sekundy już trzepotało w piersiach jak oszalałe. Dopiero kiedy usłyszał głos, uzmysłowił sobie, że to optimen.

- Nie powinien pan wałęsać się w ciemności - powiedział melodyjnie Andros. - Któryś z wartowników mógł pana zastrzelić.

- Musiałem - powiedział słabym głosem Delizia. - Ta nowa woda, chyba rozregulowała mi żołądek. - Oparł się o drugi dyszel jednego z wozów, patrząc w górę na ocienioną twarz optimena; Andros był wyższy od niego o pełne pół metra. Optimen opuścił podniesiony karabin i schylając się nisko, zwinnie przeszedł pod dyszlem na drugą stronę. Bez słowa zajął pozycję o kilka kroków od Delizii i zaczął lustrować jedną ze ścian doliny.

- Co pan o tym wszystkim sądzi? - spytał po chwili Delizia.

Optimen obejrzał się przez ramię. - To dość osobliwe pytanie - powiedział.

- Nie aż tak bardzo - odparł Delizia. - W końcu w pewnym sensie pan stoi poza tym wszystkim. Jest pan czymś w rodzaju bezstronnego obserwatora.

- Może pan tak uważać - powiedział Andros - ale to błędne przypuszczenie. Uważa mnie pan za coś zupełnie ludzkiego, za pewien rodzaj androida. Myśli pan o mnie jako o jakiejś maszynie, zaprogramowanej do wykonywania pewnych konkretnych i ograniczonych zadań. My patrzymy na siebie nieco inaczej.

- Jak? Niech mi pan powie.

Andros milczał przez chwilę, po czym odezwał się swym ciężkim melodyjnym głosem: - Czy między macicą z plastiku i metalu, a macicą z żywej tkanki jest rzeczywiście aż taka wielka różnica? Nasze geny zostały wyselekcjonowane, jesteśmy z góry zaprojektowani. Ale czy ludzie, którzy chcą zostać rodzicami, nie dokonują także przez dobór swoich partnerów pewnej eugenicznej selekcji, choć oczywiście znacznie bardziej prymitywnej? Od momentu narodzin zostajemy poddani treningowi, lecz przecież nasz trening nie jest niczym więcej, jak

tylko logicznym rozwinięciem treningu, jakiemu poddane jest każde ludzkie dziecko. Strawiliście wiele pokoleń na próbach zrobienia z siebie optimenów, więc teraz, kiedy znaleźliście na to sposób, odmawianie nam przynależności do rasy ludzkiej wydaje się zakrawać na wyraźną perwersję. My jesteśmy wami, dokładnie w taki sam sposób, w jaki są wami wasze dzieci. Jesteśmy produktem waszego ciała.

- Ale sami nie możecie się reprodukować - powiedział Delizia, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie jest zbytnia brawura z jego strony.

- To nadejdzie - odparł chłodno Andros. - Chyba pan w to nie wątpi?

- Nie - powiedział Delizia. - Nie wątpię. Myślę, że przyczyną, dla której nie traktujemy was jak ludzi, jest to, że nie możemy uwierzyć, żebyście wy uważali nas za podobnych sobie. Przypuszczamy, że możecie nami gardzić i samym tym przypuszczeniem przyznajemy, że moglibyście mieć do tego prawo. Tworząc was chcieliśmy osiągnąć ideał w granicach wyznaczonych przez cel tego tworzenia i stąd posiadamy pełną świadomość, że my sami tym ideałem nie jesteśmy i być nie możemy. Stworzyliśmy was po to, byście byli lepsi i nie możemy się powstrzymać od posądzenia was, że za takich właśnie się uważacie. Wkładamy ogromny wysiłek w wasz trening, by zmusić was do wiary w to, w co chcemy, żebyście wierzyli, by zmusić was do myślenia narzuconymi przez nas kategoriami, ale zawsze pozostaje podejrzenie, że jeżeli zrobiliśmy was dobrze, to żaden trening nie może być całkowicie skuteczny.

- A może raczej powinniście się martwić o to, czy przypadkiem wasze traktowanie nas jako istot nadludzkich nie doprowadzi w końcu do tego, że się nimi staniemy.

- Mamy długą historię lęku przed własnymi wytworami - odparł Delizia cicho. - Zawsze podejrzewaliśmy, że zwrócą się w końcu przeciwko nam i nas zniszczą. Nie wiem dlaczego... Może z obawy przed tym, czy ludzka działalność twórcza nie jest przypadkiem uzurpacją prerogatyw Boga.

- Wydawało mi się, że od jakichś dwudziestu pokoleń ludzkość wolna jest od jakiegokolwiek strachu.

- Wolni jesteśmy od strachu przed fizycznym niebezpieczeństwem, od popadania w panikę, od drżącej bezsilności; wszyscy poza nielicznymi wyjątkami. Ale są różne rodzaje strachu. Mogę uwierzyć, że człowiek jest w stanie pokonać strach przed umieraniem, ale nie mogę uwierzyć, by był w stanie pokonać strach przed śmiercią. Reakcje fobiczne dość łatwo poddają się uwarunkowaniu, ale strach to nie tylko reakcje fobiczne. Jest pewien odmienny rodzaj strachu, pojawiający się na skutek rozmyślań. Można go zwalczyć tylko drogą ich unikania. Ja nie muszę się do tego stosować, ja mam licencję na odczuwanie strachu, mnie

wolno być nawet jego koneserem. Może mi pan wierzyć, że nie wystarczy usunąć słowo “strach” z naszego słownictwa; pozór to zbyt mało do zbudowania rzeczywistości. Są lęki wywoływane immanentnymi własnościami doświadczenia, lęki, na które nie można się uodpornić. Uczynić człowieka odważnym, tak by w czasie walki nie odczuwał impulsu każącego mu uciekać i kryć się, to jedno, ale uwolnienie go od strachu przed własnymi myślami, to zupełnie inna sprawa. Czy pan to rozumie?

- Rozumiem, co pan próbuje powiedzieć - odparł Andros, najwyraźniej staranie dobierając słowa.

- Dlatego właśnie genetyczna optymalizacja stawia nas w tak dziwnej sytuacji - ciągnął Delizia. - Boimy się was, ale nie możemy się do tego przyznać, nie możemy tolerować nawet takiej myśli. Więc stworzyliśmy was, nie pomimo swego strachu, ale właśnie z jego powodu, w próbie udowodnienia, że on nie istnieje. Cóż za dziwna ironia. Czasami zastanawiam się, jak rasa ludzka, a właściwie jak wszystkie rasy lemuroidalne, traktowane są przez swoich własnych stwórców. Byłoby przerażające dojść do wniosku, że przy zasiedlaniu naszej galaktyki istoty te kierowały się równie pokrętną motywacją. Jeśli rzeczywiście jesteśmy stworzeni na ich podobieństwo...

- Może proces tworzenia jeszcze się nie zakończył - zasugerował Andros. - Może to dopiero nasi odlegli potomkowie mają stać się gwiazdnymi siewcami.

Ta uwaga najwyraźniej zaskoczyła Delizię. Spojrzał szybko na twarz opitmena, próbując w otaczających ich ciemnościach dojrzeć jego oczy. Nie udało mu się to, choć wiedział, że jego twarz tamten widzi zupełnie wyraźnie.

- Problem polega na tym - powiedział powoli - że od wielu pokoleń my sami jesteśmy odpowiedzialni za naszą ewolucję. Teraz my podejmujemy decyzje na temat kierunków naszego rozwoju... Nasz wybór ukształtuje naszych ostatecznych potomków. Nie ma sposobu wiedzieć, czy przekształcamy siebie w gwiazdnych siewców czy w... monstra. Genetyczna optymalizacja - powiedział płynnie Andros - jest najważniejszym z pojedynczych kroków na drodze przyszłej ewolucji ludzkości.

- Pan oczywiście cytuje - zauważył Delizia sucho.

- Dyrektora projektu, naszego duchownego ojca.

- To świadoma trawestacja deklaracji; deklaracji złożonej kilkaset lat temu przez człowieka o nazwisku Carrien. “Pokonanie strachu jest najważniejszym pojedynczym krokiem na drodze przyszłej ewolucji ludzkości”. Zastanawiam się, jaki będzie ten następny krok... i następny. I jak wielu ludzi używało dokładnie tych samych słów, by propagować swe pomysły, bez powodzenia.

- Uważa pan, że Carrien się mylił?

- Owszem - odparł Delizia - tak właśnie uważam. Ale ja jestem zainteresowany tym, by tak właśnie myśleć, gdyż fakt odczuwania przeze mnie strachu wyobcowuje mnie spośród moich własnych współplemieńców wcale nie mniej niż pańska optymalizacja.

Andros roześmiał się nisko i melodyjnie. - Niech pan mi powie - poprosił miękkim, jedwabistym głosem - czy pan rzeczywiście uważa się za kogoś bardziej ludzkiego niż Scapaccio, Garston czy Remy?

Delizia nawet się nie zawahał. - Tak - odpowiedział - oczywiście.

- W takim razie rzeczywiście musi się pan czuć jeszcze bardziej wyobcowany spośród ludzi niż ja.

- Owszem - przyznał Delizia - może nawet bardziej.

- A zatem, w jakim kierunku według pana powinna ewoluować ludzkość?

- W kierunku wiedzy i coraz większego zrozumienia. W kierunku pokoju zamiast wojny. W kierunku takiej kreacji, która by nie zmuszała nas do tworzenia koszmaków równych po to, by wmawiać sobie, zresztą fałszywie, że nie potrzebujemy się ich obawiać.

- Urodził się pan poza swoim czasem.

- Wiem - powiedział Delizia. - Ale może nie jest jeszcze za późno na zmianę kierunku historii i ludzkiej ewolucji.

- Byleby tylko udało się panu odkryć tajemnicę gwiazdnych siewców - powiedział Andros. Mówił spokojnie, a w jego głosie nie można było doszukać się nawet nuty sarkazmu, ale Delizia wiedział, że z niego drwi.

- Skąd pan o tym wie? - spytał.

- W całym obozie nie ma nawet jednej osoby, która by tego nie wiedziała - odparł optimen. - Słyszysz pan?

Delizia drgnął, zaskoczony alarmującą nutą, która wdarła się do ostatnich słów optimena.

Nie - odparł. - Niczego nie słyszałem. Co to było?

Andros wyprostował się na całą swoją ogromną wysokość i podniósł karabin, trzymany do tej pory dość niedbale.

- Niech pan budzi Garstona - powiedział. - Nikogo więcej. To był odgłos wystrzałów. Niech pan posłucha!

Tym razem przygotowane na pochwylenie najdrobniejszego szmeru uszy Delizii odebrały dźwięk, którego nie można było pomylić z niczym innym.

- Wygląda na to, że szczęście nam nie sprzyja - powiedział optimen. - Er'kresha zaatakowali veichów.

14.

Jeźdźcy kreshów wyłonili się z północy, galopując wprost na oświetlony czworobok wozów. Pierwsi z pędzących wojowników zaczęli strzelać, ale na szczęście nie byli w stanie przekształcić ognia w zmasowaną kanonadę. Znacznie potężniej zabrzmiała odpowiedź automatycznych karabinów obrońców karawany, choć czuwało ich zaledwie czterech czy pięciu.

Jeźdźcy rozdzielili się na dwa oddziały, otaczając prowizoryczne umocnienia veichów z obu stron i rozciągając błyskawicznie swoje szeregi, by uzyskać jak największą swobodę strzelania, bez niebezpieczeństwa rażenia siebie nawzajem. Ich ogień gwałtownie przybrał na sile, ale i reakcja obrońców była już znacznie bardziej stanowcza - do tej pory cały obóz zerwał się już na nogi.

Remy widział sylwetki jeźdźców spadających z koni na ziemię w ogniu automatycznej broni, widział walące się tuż za nimi i przygniatające ich wierzchowce, ale było za ciemno, by mógł ocenić całą sytuację. Jego uwagę zaprzętnęła Vella, która ruszyła szybkim krokiem do swego konia, jakby miała szczerzy zamiar włączyć się do walki. Remy chwycił ją za ramię.

- Nie - rzucił szybko. - Musimy uciekać. Musimy wydostać się stąd jakoś w głąb doliny.

Dziewczyna dotknęła jego ręki na znak uległości, pozwolił jej więc dosiąść konia, wdrapując się jednocześnie na swego wierzchowca. Myszka siedział w siodle już od dobrych kilku chwil.

Mocnym uderzeniem pięty pognął swego konia, zmuszając go do maksymalnego wysiłku i objęcia prowadzenia. Zwierzę stęknęło i rzuciło łbem w proteście przeciwko tak brutalnemu traktowaniu, lecz natychmiast przeszło w galop.

Z tyłu dobiegło go wołanie Myszkki: - Wypatrzyli nas!

Remy sięgnął po omacku do bezpiecznika karabinu i zdołał ustawić go w takiej pozycji, by w razie potrzeby móc strzelać jedną ręką. Tymczasem, trzymał jednak broń nisko, tuż przy boku i koncentrował się na utrzymaniu równowagi w siodle szaleńczo pędzącego konia.

Wiedział, że w normalnych okolicznościach zwierzęta, których dosiadała Valla, Myszka i on sam, umknęłyby koniom er'kresha bez najmniejszych trudności, ale teraz miały za sobą wielodniową, mozolną podróż przez pustynię, a krótki popas w dolinie nie zdołał jeszcze na

pewno odbudować ich nadwątlonych sił. Usłyszał huk karabinu Myszki, kiedy tamten zaczął strzelać do ścigających ich kreshów.

I wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, jego koń padł. W pełnym pędzie najechał na spore i dość strome zagłębienie terenu i nie przygotowany na tak nagłą zmianę kąta nachylenia gruntu runął na kolana, wyrzucając Remy'ego przez łeb daleko do przodu. W czasie, gdy Remy koziółkował bezładnie, starając się nie wypuścić z ręki karabinu, leżące zwierzę podcięło nogi koniowi Valli. Na tle gwiazdnej poświaty zarysowała się sylwetka stojącego dęba konia Myszki, ale olbrzym utrzymał się w siodle i zdołał zapanować nad swoim wierzchowcem. Utracił jednak cały swój rozpęd i nie sprawiał wrażenia, by miał zamiar go odzyskać. Zamiast tego rozparł się mocniej w siodle, obrócił konia przodem do nacierających er'kresha i sypanął salwą automatycznego ognia.

Remy zerwał się na równe nogi, mierząc w kierunku napastników i jednocześnie rozglądając się za Valla, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. Najwidoczniej nie podniosła się z ziemi.

Kiedy czarne sylwetki pogoni wyłoniły się z mroku, Remy nacisnął spust, bez trudu powalając pierwszych dwóch kreshów, jakich udało mu się wypatrzeć. W tej samej chwili jakiś pozbawiony jeźdźca koń wypadł z ciemności wprost na niego i Remy poczuł, że traci grunt pod nogami. Kiedy próbował się podnieść, zobaczył nad sobą wierzgające przednie nogi konia stojącego dęba, które za ułamek sekundy miały przygwoździć go do ziemi opadającymi kopytami i błyskawicznie przeturlał się w bok. Zobaczył, że zwierzę mściwie ponawia swój atak i spróbował raz jeszcze przed nim umknąć, lecz w tym samym momencie poczuł jakies potężne uderzenie w tył głowy i stracił przytomność.

Ostatnim dźwiękiem, jaki do niego dotarł, były soczyste przekleństwa Myszki.

Ze względu na wysoką grań, tworzącą wschodnią ścianę doliny, świt późno dotarł do obozowiska ekspedycji Scapaccia. Po niebie płynęły drobne, białe obłoczki, które już na długo przedtem, zanim promienie słońca ściągnęły w głąb zalegającego dna doliny cienia, rozjarzyły się złocistym światłem. Garston odetchnął jednak z ulgą dopiero wtedy, gdy w oczy zaświeciło mu samo słońce. Kiedy to wreszcie nastąpiło, zdjął z posterunków połowę wartowników i zaczął rozdzielać pracę między tych, którzy nie pełnili wachty. Bieg prac obozowych został poważnie zakłócony, a wszyscy zdawali się być bardzo zmęczeni, lecz przygotowania do posiłku toczyły się normalnym trybem.

Garston udał się na poszukiwanie Scapaccia i najpierw zajrzał do jego wozu. Delizia spał jeszcze na jednej z prycz, ale pułkownik siedział już za stołem, zajęty studiowaniem map. Kiedy sierżant stanął w drzwiach pojazdu, podniósł znad nich wzrok.

- No i co? - spytał.

- Na razie powinniśmy być bezpieczni - odparł Garston.

- Wiedzą, że w ciągu dnia mamy nad nimi sporą przewagę. Teraz już nas nie zaatakują. Możemy się ich spodziewać nie wcześniej niż po zapadnięciu zmroku.

- Myślę, że powinniśmy przenieść się gdzieś bliżej jeziora - powiedział Scapaccio. - Tak jak mówisz, w ciągu dnia powinni nas zostawić w spokoju. Moglibyśmy znaleźć jakieś znacznie lepsze miejsce do ewentualnej obrony i przygotowania ataku.

- Ataku?

- W końcu i tak musimy zająć pozycję w bezpośrednim sąsiedztwie jeziora, a poza tym potrzebna nam swoboda ruchów do poszukiwania bazy.

Garston położył swój karabin na wolnym łóżku i pochylił się, by usiąść. - Nie wiemy ilu jest tych dzikusów - zauważył. - Mogą mieć nad nami przewagę stu do jednego.

- Zgodnie z tym, co mówił Remy, dziesięć do jednego wydaje się znacznie bardziej prawdopodobnym szacunkiem. Remy popełnił już jeden poważny błąd - powiedział sierżant. - I pewnie już nie żyje. Nie mam zamiaru ryzykować życia żadnego z moich ludzi w jakimkolwiek ataku, dopóki nie będę dokładnie wiedział, gdzie są wrogowie i ilu ich właściwie jest. To że mamy karabin maszynowy i kilka moździerzy, nie oznacza, że możemy sobie tych pustynnych włóczęgów lekceważyć.

- Co pan proponuje? - spytał Scapaccio.

- W południe wyślemy na przeszpiegi ludzi Remy'ego. Są wystarczająco doświadczeni, żeby nie wplątać się w jakąś kabałę. Z podjęciem jakiegokolwiek akcji zaczekamy na ich powrót.

- W ten sposób nie będziemy mieli czasu, żeby zbliżyć się do jeziora na mniej niż dwanaście kilometrów.

- Nie będziemy, ale po drodze jest jeszcze kilka innych miejsc zupełnie dobrze nadających się do obrony.

- Tyle że zbyt daleko od bazy, żebyśmy mieli jakiegokolwiek szansę jej zlokalizowania. Odpada, musimy podejść bliżej.

- Przede wszystkim musimy być ostrożni. Naszym najpilniejszym problemem są er'kresha. Po utracie Remy'ego i jego ogromnego przyjaciela zostało nas tylko dwudziestu plus pan, Delizia i ta kobieta. Powiedzmy dwudziestu jeden zdatnych do walki mężczyzn.

Jeżeli tych dzikusów kręci się tam czterystu czy pięciuset, to nawet zakładając, że tylko połowa z nich ma strzelby, mogą nam przysporzyć piekielnych kłopotów.

- Nie chcę tracić za dużo czasu. Gdyby udało nam się dostać do bazy, to właśnie ona byłaby prawdopodobnie najlepszym miejscem obrony, jakie można sobie wymarzyć. Wolę nie myśleć, co by było, gdyby ktoś inny dotarł tam przed nami.

- Bardzo mi przykro, panie pułkowniku - powiedział spokojnie Garston - ale w tej chwili jest to już operacja wojskowa. Pan może mieć wszelkie pełnomocnictwa do prowadzenia tej ekspedycji, ale nie jest pan oficerem liniowym. Odpowiedzialność za bezpieczeństwo tego całego przedsięwzięcia ponoszę ja i właśnie biorę ją na siebie.

Wpatrywał się uważnie w oczy Scapaccia, ale nie dostrzegł w nich spodziewanego błysku gniewu. Co więcej, pułkownik wydawał się wręcz nienaturalnie spokojny.

- Nie możemy sobie pozwolić na żadnych dalszych zabitych - dodał po chwili. Potrzebna nam będzie każda para rąk zdolnych do posługiwania się karabinem. A poza tym musimy tu pozostać także i dlatego, żeby uzupełnić nasze rezerwy wody. Dotarcie do tego jeziora może potrwać dość długo, bez względu na to, jak bardzo będziemy się spieszyli.

Scapaccio wykrzywił usta w zdawkowym uśmiechu.

- W porządku, sierżancie - powiedział. - Na czas prowadzenia walki pan obejmuje dowództwo. Ale kiedy zostanie ona zakończona, wraca pan pod moje rozkazy. Chyba się rozumiemy, prawda?

Twarz Garstona pozostała zupełnie bez wyrazu, a i z jego głosu nie sposób było wyczytać żadnych uczuć, kiedy sierżant rzucił krótkie: - Tak jest.

Scapaccio wydawał się nie być o tym zupełnie przekonany, ale na razie musiało mu to wystarczyć. Bez wątplenia wiedział równie dobrze jak Garston, że i tak mają już dość kłopotów, a wywoływanie dodatkowych rozdzwięków we własnym obozie byłoby zwykłym szaleństwem. Podniósł karabin i wstał, potężnie uderzając się w ramię o krawędź górnego łóżka.

Kiedy odwrócił się, by odejść, zobaczył, że Delizia nie śpi już najwyraźniej od jakiegoś czasu i przez na wpół przymknięte oczy uważnie mu się przypatruje.

Remy ocknął się z wypełnionego majaczeniami snu, doświadczając przemożnego uczucia obcości miejsca, w którym się znajdował. W głowie mu huczało, ale kiedy spróbował sięgnąć do niej rękami, nie mógł tego zrobić - miał je ciasno związane na plecach. Na wszelki wypadek spróbował także rozsunąć stopy, lecz okazało się, że i one są mocno skrupowane.

Otworzył oczy i poczuł na swym ramieniu dotknięcie. Usiłował przeturlać się na wznak, ale przeszkodziły mu w tym czyjeś kolana. Tuż obok niego leżała Valla, podobnie unieruchomiona paskami z kiepsko wyprawionej skóry. Zamrugął, próbując pozbyć się huczenia w głowie i zebrać wszystkie urywki wspomnień, które mogłyby mu wyjaśnić, gdzie się znajduje. Odruchowo zaczął mamrotać pod nosem wszystkie znane dosadne przekleństwa.

Światło było bardzo skąpe, lecz mimo to dość łatwo odgadł, że znajdują się w jakimś namiocie. Przez dziurę u jego szczytu, spełniającą zapewne funkcję komina, wpadało trochę słońca, ale nigdzie nie mógł dostrzec żadnego otworu wyjściowego. Namiot miał kształt pofałdowanego z jednego boku stożka i nie posiadał żadnej podłogi. Remy leżał wprost na ubitej glinie, zaśmieconej grubo igiełkowatymi liśćmi jakiejś wiecznie zielonej rośliny.

Valla przesunęła się, nieco w bok, robiąc mu tyle miejsca, by mógł się przetoczyć na plecy i wtedy dostrzegł, że zaraz za nią leży Myszka. On także był przytomny, ale włosy zlepiała mu zakrzepła krew, a na lewej skroni miał dwie nakładające się na siebie rany.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Remy.

- Na wyspie pośrodku jeziora - wyjaśniła Valla. - Byłam przytomna, kiedy nas tu przynosili. Z łądem łączy ją pomost z łodzi, a po tamtej stronie na wyschniętej części jeziora, jest dość duży obóz er'kresha. Przywieźli nas przed południem, ale na razie jakby o nas zapomnieli. Niedługo sobie przypomną.

- Nie złapali nikogo więcej?

Potrząsnęła przecząco głową. - Z tego, co zrozumiałam, odstępili od ataku na obóz. Mieli trzydziestu czy czterdziestu zabitych, a wszystkich razem było ich zaledwie stu. Wyjechali akurat w góry kilkoma wozami jako jedna z grup dostarczających zaprowiantowania i nie orientując się, jaką siłą ognia dysponujemy, natychmiast nas zaatakowali. Gdyby przedtem wrócili tutaj po swych przyjaciół, wszystko zakończyłoby się pewnie zupełnie inaczej. Kiedy nas tu przywieźli było południe, więc nie mogę być tego zupełnie pewna, ale sądząc po rozmiarach obozu i liczbie zwierząt, musiało się tu zebrać co najmniej sześciuset wojowników er'kresha. W okolicy może ich być jeszcze więcej. Tym niemniej kwatery Belle Yelli znajduje się na pewno na tej wyspie. W tej chwili jesteśmy na niższych partiach zbocza, nad nami ciągną się głównie lasy. Góra jest dość stroma, ale nie ma właściwie szczytu. Jak na górę nie jest zbyt wielka.

Dziewczyna mówiła bardzo szybko, potoczną odmianą języka nie należących do klanów. Wydawała się zupełnie spokojna, choć sposób, w jaki wyrzucała z siebie potoki słów sprawiał wrażenie, jakby po prostu nie mogła się przed tym powstrzymać. Wiedziała, dlaczego er'kresha schwytyli ich żywcem. Nawet w najspokojniejszych czasach lubowali się w

zemście, wkładając całą swą niemałą wyobraźnię w wymyślanie metod jej zaspokajania. Najemnicy zawsze przysparzali im wielu cierpień, a teraz najechali ziemię, która była świętym miejscem wszystkich kreshów.

- Przed nastaniem nocy - powiedział Myszka, chrypiąc nieprzyjemnie - wyślą większość swoich wojowników, by zaatakowali oba obozy. Jeżeli mamy się stąd jakoś wyrwać, to musimy to zrobić właśnie wtedy. Kiedy wrócą, będzie już za późno.

Remy zabrał się za sprawdzanie wytrzymałości rzemieni, którymi skrępowano mu nadgarstki. Były ciasno ściągnięte i bardzo mało elastyczne. Nóż, który nosił zwykle za pasem, zniknął, podobnie zresztą jak wszystkie pozostałe rzeczy. Rozejrzał się po otaczającym go śmietniku w poszukiwaniu jakiegoś kamienia. Nie było ani jednego.

Usiadł i z całych sił napiął więzy. Jedynym tego skutkiem było to, że przecinały mu skórę.

- Nic z tego - mruknął. Spojrzał na swoje kostki u nóg. Zabrano mu buty i tu rzemienie także wpijały się w ciało. Kiedy leżał w bezruchu, nie tamowały mu krążenia, ale każde napięcie mięśni zaciskało węzły odrobinę mocniej i pogarszało tylko sprawę.

- Chyba mogłabym odsupłać rzemienie na nogach - powiedziała Valla - ale z ledwością sięgam do nich koniuszkami palców.

- Daj temu spokój - powiedział Remy. - Zabierz się raczej za rzemienie wokół kostek Myszki.

Kiedy dziewczyna próbowała przybrać taką pozycję, by móc dosięgnąć palcami węzłów rzemieni krępujących stopy Myszki, Remy przeturlał się pod ścianę namiotu, do miejsca, gdzie w szparze między skórzaną płachtą a ziemią prześwitywało trochę słońca. Sprawa przedstawiała się beznadziejnie - widział jedynie kilka cali nagiej gliny i fragment korzeni jakiegoś drzewa.

Chwycił go kaszel; gardło miał zupełnie wyschnięte i był bardzo spragniony.

Usiadł ponownie i huśtając się na boki zaczął przerzucać całe ciało coraz bliżej klapy zasłaniającej wejście do namiotu. Zanim zdążył do niej dotrzeć, klapa odskoczyła w górę i w niskim wejściu stanęło dwóch kreshów. Zgięli się niemal w pół, by zmieścić się pod belką stanowiącą nadproże i weszli do środka. Jak na przedstawicieli swojej rasy obaj byli wysocy, choć Remy był wyższy od każdego z nich. Sądząc po wyglądzie, pierwszy musiał być przywódcą jednej z wielu band maruderów, które się tu zgromadziły. Drugi był odziany jedynie w przepaskę biodrową - nie miał nawet sandałów. Był tak chudy, że przez skórę napiętą wokół oczu i szczęki wyraźnie wystawały mu kości. W ascetycznie wychudłej dłoni

trzymał jakiś mały przedmiot, a dojrawszy Remy'ego podniósł go lekko, jakby po to, by zwrócić na niego uwagę.

Remy odchylił się do tyłu i spojrzał w górę.

- Skąd to wzięłeś? - spytał kresh po siocońsku. Słowa wymawiał wyraźnie, lecz z bardzo dziwnym akcentem.

Remy rozpoznał w trzymanym przez niego przedmiocie mały skrawek pergaminu, rozdarty w poprzek, lecz ciasno zwinięty, tak by obie jego części trzymały się razem.

To posłannictwo bogów niebios - odparł Remy ochryple. - Ja jestem posłańcem.

Wódz wydał z siebie stłumiony dźwięk mający wyrażać oburzenie. W rękę trzymał dużą latarkę, którą musiał zabrać z juków przy siodle Remy'ego. Zgiął dłoń, przygotowując się do uderzenia nią Remy'ego w twarz, lecz trzymający zwitek pergaminu kresh to powstrzymał.

- Posłannictwo jest moje - powiedział. - Ja jestem Sigor Belle Yella.

- Więc możesz je sobie zabrać z powrotem - mruknął Remy. - I tak nie przypuszczam, żeby wasi przodkowie wpuścili mnie do rajy er'kresha.

Wódz ponownie zamachnął się, by go uderzyć i Belle Yella ponownie go powstrzymał.

- Skąd wzięłeś ten pergamin? - spytał spokojnie po raz drugi.

- Zabrałem go wojownikowi, którego nasłałeś, żeby zabił Yambę - odparł Remy.

- On przebywa teraz wśród swych przodków - powiedział prorok - a Yamba smaży się w piekle południowego skwaru. Jego brat wkrótce do niego dołączy.

- Może - mruknął Remy, wzruszając ramionami. - Dla mnie możecie go sobie zabić. Opuściłem Ziarat.

- Oczywiście - wyszeptał prorok. - To bogowie cię tu nam zesłali z darami dla kreshów. Oddali cię w nasze ręce tak jak obiecali.

- Obiecali? - zdziwił się Remy.

- Zostało obiecane, że wszyscy wrogowie wpadną w nasze ręce. Zostało obiecane, że zalejemy ziemię Ziaratu, by odzyskać to, co prawnie nam się należy i nikt nie będzie mógł stawić nam czoła. Przyniosłeś nam w darze nową broń i samego siebie, to jest znak.

Remy był niemal pewien, że słyszy nutę ironii w jego głosie, nie dlatego, by prorok nie wierzył w to co mówi, lecz dlatego, że rozkoszował się niewiarą Remy'ego.

- Przecież mówiłem, że jestem posłańcem - powiedział Remy. - Wydawałoby się, że mógłbym być traktowany z nieco większym szacunkiem.

- Będiesz traktowany z całym szacunkiem, jaki ci się należy - zapewnił go Belle Yella. - Pokażemy cię ludowi, by on także zobaczył znak bogów i w twym cierpieniu i śmierci ujrzął zapowiedź swego zwycięstwa. Wielu z naszych wojowników cię rozpozna; niektórzy z tobą

walczyli, a wszyscy znają twoje imię, tak jak znają imiona Yeremy, króla Hellena Grygli i jego bękarciego brata Yamby. Obiecano nam, że umrzecie wszyscy czterej i że wierni na własne oczy ujrzą waszą śmierć, tak by mogli poznać sprawiedliwość naszych przodków.

- Coś mi się zdaje - zauważył Remy - że zgrabnie dopasowujesz te boskie obietnice do zaistniałych okoliczności.

- Wszystkie obietnice zostaną spełnione - oświadczył prorok z uśmiechem błakającym się po ustach.

- Odebranie tej podarowanej wam przez bogów broni nie będzie wcale takie proste - mruknął Remy.

- Kiedy mój lud ujrzy znak zesłany mu przez bogów, uwierzy w swoje przeznaczenie. Nic nie będzie w stanie go powstrzymać. Bogowie osłonią er'kresha przed ogniem i ciosami wrogów.

- A ci, których nie osłonią, pójdą wprost do nieba?

Tym razem prorok opuścił wyciągniętą rękę i wojownik natychmiast uderzył Remy'ego latarką w twarz. Cios nie był bardzo silny, a Remy poddał mu się, uchylając lekko do tyłu i pozwalając przewrócić się na ziemię, ale latarka głośno zgrzytnęła na jego zębach i ból głowy, powrócił.

Belle Yella wykręcił się na pięcie i opuścił namiot, a drugi kresh poszedł jego śladem.

Remy z wysiłkiem usiadł. - Kiedy twój ojciec powiedział mi, że er'kresha zbierają się tu po to, by ujrzeć cud - odezwał się do Valli - nie przyszło mi do głowy, że sam wystąpię w tej roli.

- Dlaczego on ci to wszystko powiedział? - spytał Myszka.

- Chciał udowodnić jaki jest sprytny - odparł Remy. - Nie mnie, sobie. To nie było zwykłe puszenie się, nie w potocznym tego słowa znaczeniu. On wierzy w to co mówi, ale jego wiara wymagała podbudowy. Kłopot w tym, że uwierzą w to także jego wyznawcy. Kiedy odegra to przedstawienie, naprawdę doda im skrzydeł. Nie będą nietykalni, ale uwierzą, że są. Uderzą na Scapaccia jak tajfun. Na Zemaka oczywiście też, zakładając, że zostało mu przy życiu dość veichów, by w ogóle mógł stawiać jakikolwiek opór. Wszystkie karabiny maszynowe i moździerze świata nie będą w stanie ich powstrzymać.

- Tylko że dla nas nie będzie to już miało żadnego znaczenia - wychrypiął Myszka.

- Dla mnie ma to znaczenie - odparł Remy. - Ciągle jeszcze nie doprowadziłem do końca pewnej sprawy, Valla też. Zastanawiam się, czy ten kościsty cudak wie, że gdzieś tu w okolicy kręci się jeszcze trzecia przesyłka darów, czy też może umknęła ona jakoś jego

uwagi. Czy możecie sobie wyobrazić co by było, gdyby ta horda Belle Yelli najechała Ziarat uzbrojona w działo laserowe?

- Chyba uda mi się rozplatać te węzły - powiedziała Valla, wykręcając za siebie głowę w próżnym wysiłku dojrzenia co robią jej ręce. Myszka z powątpiewaniem spojrział na swoje kostki u nóg.

Remy znów zaniósł się kaszlem. - Gdyby tu był Delizia - mruknął - próbowałby namieszać sobie w głowie rozmyślaniami, czy Belle Yella nie ma przypadkiem racji. Może bogowie rzeczywiście dostarczyli nas do jego drzwi, może to o to właśnie chodzi w całej tej zwariowanej krucjacie. Może nie ma tu żadnej bazy, a dysk informatyczny został podrzucony na Kilifi przez jakiegoś tamtejszego kumpla Ducha Wód kreshów. Gdybyśmy od razu sprowadzili tu oddział specjalny zamiast patrolować drogę do Piru, moglibyśmy roznieść er'kresha w puch; moglibyśmy teraz być władcami całego tego piekielnego terytorium i czekać spokojnie, aż Scapaccio i Zemek pojawią się na horyzoncie, zebrząc o odrobinę wody... To tyle na temat braku stanowczości w działaniu.

Urwał raptownie, uświadomiwszy sobie, że jego mową próbuje zawładnąć jakiś nieprzyjemny przymus. Skoncentrował się na węzłach wokół kostek Myszkę i szczupłych, zwinnych palcach próbujących je rozsypać.

W tym momencie płachta przesłaniająca wejście do namiotu uniosła się po raz drugi i po raz drugi do środka weszło dwóch wojowników. Nawet nie spojrzeli na Myszkę i Valle, chwycili natomiast pod ramiona Remy'ego. Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że jego stopy ciągną się za nim po ziemi, wywlekli go na zewnątrz, w skwar południowego słońca. Remy zaczął mamrotać przekleństwa.

15.

Wycięli głębokie szczeliny w twardych pniach dwóch wysokich drzew rosnących jakieś pięć metrów od siebie, na samej krawędzi urwistej ściany skalnej. Zrobili je trzy metry nad ziemią i do tej samej wysokości oczyścili drzewa ze wszystkich mniejszych gałęzi. Rozwiązali mu ręce, rozpostarli na boki i przymocowali je starannie do długiej żerdzi, przeciągniętej za plecami na poziomie bioder. Potem za pomocą długich drągów z rozwidlonymi końcami podnieśli żerdź i wsunęli jej końce w nacięcia na pniach drzew, zostawiając go zawieszony w powietrzu na boleśnie wykręconych do tyłu rękach, z twarzą skierowaną w dół urwiska.

Mniej więcej trzydzieści metrów niżej przepaść zmieniała się w rozległe rumowisko głazów i ostrych kamieni poprzerastanych licznymi kępami ciernistych krzewów. Opadało ono dalej pod coraz ostrzejszym kątem, by zakończyć się raptownie niemal pionową ścianą nagiej, zwietrzałej skały. To miejsce znaczyło najwyższy osiągnięty przez jezioro poziom wody, choć obecnie jej powierzchnia znajdowała się ledwie dwanaście metrów niżej. Po przeciwnej stronie błotnistej grzędzawiska, w jakie o tej porze roku zmieniało się jezioro, rozciągała się ogromna połać szarobrazowego mułu, którego spalona słońcem i porysowana siecią spękań powierzchnia była twarda jak beton.

Na tym ogromnym obszarze, dokładnie na wprost niego, znajdowało się obozowisko kreshów. Składało się z setki namiotów, kilkunastu małych ognisk i wielu corrali nie tylko dla koni, lecz także dla trzech stadek kóz. Pomędzy namiotami kręciły się jeszcze inne domowe zwierzęta - kreshański odpowiednik psów myśliwskich. Na skraju obozowiska stało dwanaście schludnie ustawionych wozów w większości załadowanych warzywami i czerstwym chlebem. No i przede wszystkim byli tam, wiście, Wojownicy er'kresha - urojona armia urojonego narodu. Stawili się nad brzegiem jeziora w pełnej sile uzbrojeni we wszystko, co udało im się zdobyć podczas całego życia pełnego grabieży i rozboju.

Kiedy Remy zawisł na wyginającej się powoli pod jego ciężarem żerdzi, wijąc się desperacko w próbie ustawienia ramion i nadgarstków w takim położeniu, by sprawiało mu ono choć odrobinę mniej bólu, wszyscy - aż do ostatniego - podnieśli wzrok i zaczęli się w niego wpatrywać. To dla nich wystawiono go na pokaz, to oni mieli uznać go za znak, za przepowiednię swej wspaniałej przyszłości.

To on był cudem Belle Yelli.

Wszystkich wojowników było razem około siedmiuset - więcej niż się spodziewał i więcej niż oszacowała Valla. Jednak tylko mniej więcej trzystu posiadało broń palną i właśnie ta liczba miałaby podstawowe znaczenie, gdyby er'kresha zaatakowali wozy ekspedycji Scapaccia. Te trzysta karabinów musiałoby postawić zasłonę szarzy jeźdźców - łuki i dzidy mogły być skuteczne dopiero po przełamaniu zapory wozów. Ci, których jedyne uzbrojenie stanowiły szable i noże, nie mogli ich wykorzystać, dopóki nie doszłoby do walki wręcz. Gdyby linie Garstona oparły się pierwszej nawale ognia i pierwszej szarzy, to jego broń zdołałaby na pewno odeprzeć atak całej tej hordy. Nawet siedmiuset wojowników nie wytrzyma długo pod ogniem kilkunastu pistoletów automatycznych i ciężkiego karabinu maszynowego.

Remy patrzył w napięciu na czekających er'kresha. Odwzajemniali mu się wrogimi spojrzeniami, ale zdawali się mieć z tym jakieś trudności. Słońce opadało z wolna w dół nieba

za jego lewym ramieniem i świeciło teraz pod takim kątem, że próbując patrzeć na Remy'ego, er'kresha musieli jednocześnie patrzeć w jego tarczę. Ich oczy pokrywały nasyczone pigmentem membrany, zabezpieczając je przed oślepiającą jasnością, lecz intensywne światło słoneczne rozmyślało jednocześnie kontury wszystkiego, co znajdowało się między jego źródłem a ich oczami i na to nie było już żadnej rady.

Zgromadzony daleko w dole pod nim tłum przykuł całą jego uwagę i dlatego z pewnym opóźnieniem zorientował się, że wokół niego coś zaczyna się dziać. Wisiał na samej krawędzi przepaści i bezpośrednio przed nim nie było już nic, a wykręcanie głowy do tyłu było bardzo bolesne. Kiedy wywleczono go z namiotu, zauważył, że w najbliższej okolicy rozbito jeszcze kilka innych namiotów, ale poza plemiennym kacykiem i wojownikami, którzy przywiązali go do górnej poprzeczki ramy, w jaką go oprawiono, nie widział żadnych innych kreshów.

Dopiero przybierająca na sile fala zgiełku, która dobiegła go z dołu, z obozowiska er'kresha, powiedziała mu, że za jego plecami musieli się pojawić jacyś nowi aktorzy tego spektaklu. Spróbował obejrzyć się za siebie i, nim ból zmusił go do odwrócenia głowy, zobaczył kilkunastu kreshów ubranych podobnie jak Belle Yella, zbierających się na skrawku wolnej przestrzeni, który oddzielał brzeg urwiska od pierwszych drzew lasu. Boczne widzenie pozwoliło mu obserwować tylko jednego z nich - wojownika który podszedł i stanął tuż obok niego, nieco przodu, dosłownie o krok od przepaści i prowokacyjne pół metra poza zasięgiem nagej stopy Remy'ego. Gdyby posunął się jeden mały krok w lewo, jeden silny wyrzut nóg Remy'ego mógłby strącić go ze skalnej ściany. Musiał to być sam Belle Yella.

Na jakiś nieuchwytny znak dany przez proroka pomruk dochodzący z dołu zamarł i przekształcił się w nienaturalną ciszę. Belle Yella odczekał jeszcze chwilę i zaczął przemawiać. Rozpoczął spokojnie i rytmicznie, podkreślając treść swych słów starannie odmierzonymi pauzami. Remy nie znał języka kreshów na tyle, by zrozumieć o czym Belle Yella mówi, ale z tym większą łatwością wychwytywał rytm, jaki wybijały jego słowa przy zestawianiu ich ze sobą w zdania i wielokrotnym powtarzaniu. Już po chwili ramiona Belle Yelli rozpostarły się szeroko i uniosły w górę, a jego głos przybrał na sile. Słowa zaczęły płynąć szybciej, niosąc coraz większy ładunek emocji, lecz wybijany przez nie rytm zachował swe metrum.

Remy potrafił sobie wyobrazić jak to musiało wyglądać z dołu. Zachodzące za stok góry-wyspy słońce przeistoczyło zalesione zbocza w plamę niemal absolutnej czerni. Czuł, jak jego jaskrawe promienie zalewają mu plecy i wiedział, że jego tors, głowa i rozpostarte ramiona rysowały się patrzącym z dołu kreshom dokładnie na tle rozjarzonego dysku. Po zachodzie słońca tło, na którym był eksponowany, zmieniłoby się w ciemniejący powoli

granat, ale jego jasne ubranie było dostateczną gwarancją, że będzie widoczny aż do nastania zupełnych ciemności. Znak niebios miał pozostać widzialny nawet po tym, jak Belle Yella z nim skończy. Miał przypominać jego wojownikom wyruszającym na pierwsze z wielu spotkań ze śmiercią, że tak jak zapewniał prorok, nie musieli jej się obawiać.

Belle Yella przemawiał dalej. Remy dostrzegł kątem oka, że taką samą pozycję jak prorok, lecz po jego lewej stronie, zajął wojownik z latarką. Najpierw po prostu tam stał, ale kiedy w słowach Belle Yelli zadźwięczała nowa, bardziej płomienna nuta, postąpił krok do przodu i w momencie, w którym Belle Yella zrobił dramatyczną pauzę, uderzył Remy'ego w twarz jego własną latarką. Gdy potok słów wykrzykiwanych teraz przez proroka w ekstatycznym niemal uniesieniu popłynął dalej, każdemu wielokrotnie powtarzanemu rytualnemu zwrotowi zaczęło wtórować rytmiczne uderzenie latarką.

Zgromadzony w dole tłum zaczął reagować na słowa Belle Yelli, nucąc je coraz głośniejszym razem z nim w rytm zadawanych Remy'emu razów. Ciosy nie były szczególnie mocne - Remy wisiał na tyle wysoko, że wojownik był zmuszony z całych sił wyciągać rękę, by w ogóle dosięgnąć jego twarzy. Uderzenia szerokim reflektorem latarki wprawiały Remy'ego w lekkie kołysanie. Wszystkie spadały na bok jego szczęki, raniąc ją co prawda boleśnie, lecz nie mając odpowiedniego impetu, by złamać kość. Po obu stronach ust skóra została wielokrotnie przecięta, od skroni w dół płynęły mu i skapywały z brody strumyki krwi, ale ból był za słaby, żeby pozbawić go przytomności. Wiedział, że to dopiero początek. Nie chcieli go jeszcze zabić - musieli z góry zaplanować jakieś bardzo efektowne zakończenie przemowy.

Dwa razy próbował wyrzucić przed siebie nogi, mając nadzieję, że uda mu się kopnąć wojownika i strącić go w przepaść, ale kresh był na to przygotowany. Z łatwością uchylał się, szczerząc przy tym w uśmiechu zęby, by pokazać, że wie jak potwornymi falami bólu zalewa całe ciało Remy'ego każda próba wykonania gwałtowniejszego ruchu.

Rozśpiewany tłum zaczął teraz poruszać się w takt swego zawodzenia, podnosząc i umiejętnie obracając swoje karabiny i dzidy tak, aby chwyciły promienie słońca i dobijały je w kierunku Remy'ego migotliwą kaskadą.

Pieśń zaczęła wdzierać mu się do wnętrza czaszki, a jej działanie było tak odurzające, że po chwili przyłapał się na powtarzaniu w głębi gardła bezsensownie brzmiących słów. Przestał niemal zupełnie odczuwać zadawane ciosy, pozwalając, by głowa bezwładnie im się poddawała i nie próbując nawet ich unikać. Przytomność w dalszym ciągu nie chciała go opuścić, ale zaczynał czuć się dziwnie wyobcowany ze swego ciała, zupełnie jakby jego umysł odpłynął gdzieś daleko lub należał do jakiegoś postronnego obserwatora, beznamiętnie przyglądającego się torturowaniu kogoś całkiem obcego.

Niespodzianie poczuł na plecach falę chłodu. Jakiś mały obłok zaczął nasuwać się na tarczę słońca, spowijając ziemię coraz gęstszym cieniem. Po chwili palące promienie słońca niemal zupełnie zgasły. Wydawało się, że cały świat złowróźnie pociemniał.

To zakłócenie scenariusza odbiło się na rytmie płomiennej oracji Belle Yelli. Na mgnienie oka zawahał się nie w tym miejscu i pieśń wypadła ze swego natarczywego metrum. Wszystko to trwało niezwykle krótko, tyle tylko ile przepłynięcie niewielkiego obłoku przez słoneczny dysk, ale chwila ta w jakiś dziwny sposób wydawała się zwiastować zmianę. Jeszcze sekunda i słońce znów zaleje zbocze góry bezpośrednim światłem. Cień minie...

Pieśń Belle Yelli znów rozbrzmi pełną mocą...

Rozbrzmiała, ale tylko na chwilę, nie dłuższą niż moment, w którym obłok przesłaniał tarczę słońca.

Belle Yella urwał swą pieśń w pół słowa; głos mu zamarł.

“Zamarł” było chyba odpowiednim słowem do sytuacji, bo Remy dostrzegł kątem oka, że prorok zaczyna się jakby chwiać, kiwa do przodu i w tył, a potem kuli się, zgina w pół i osuwa na ziemię, jakby tkanka podtrzymująca jego kościsty szkielet zmieniała się nagle w wodę. Upadłszy przybrał pozycję, która z pewnością nie mogła być naturalna.

Cisza zapadła powoli - podjęta pieśń wzbiła się jeszcze potężną falą i dopiero w miarę tego, jak do zebranych na dole wojowników zaczęło docierać, co się właściwie stało, zaczęła niemrawo przycichać.

Mężczyzna z latarką, najwyraźniej nie mogąc uwierzyć własnym oczom, zrobił krok w kierunku powalonego ciała Belle Yelli i w zupełnym oszołomieniu na chwilę się zawahał. Ten jeden krok postawił go dokładnie na wprost Remy’ego. Oszołomienie zupełnie odwróciło jego uwagę od więźnia.

W tej samej chwili Remy wypchnął przed siebie obie stopy, podciągając je w górę i w przód z całą siłą, jaką mogły znieść jego wykręcone ramiona. Kresh wyrzucił w bok ręce w desperackiej próbie utrzymania równowagi, ale nie miał najmniejszej szansy. Przekoziółkował nad krawędzią przepaści, wydając z siebie przeraźliwy krzyk strachu i rozpacz - jego prorok nie zdążył zrobić nawet tego.

Pozostała po nim tylko latarka, rzucona jedną z rozpaczliwie wymachujących rąk na poduszkę z igliwia.

Kopnięcie przeszło Remy’ego falą potwornego bólu. Kołysał się na wykręconych do tyłu rękach, zaciskając z całej siły zęby i zbierając się do krzyku - wiedział, że musi krzyknąć. Kiedy w końcu był w stanie wydusić z płuc choć odrobinę powietrza, dobył z siebie ostatnie resztki energii i zawył przeraźliwym, jęklwym tonem dwie krótkie sylaby - wołał Myszkę.

Ten dźwięk wywołał pomruk przerażenia ze strony zgromadzonego w dole tłumu i Remy uzmysłowił sobie z radością, że er'kresha musieli przeżyć potężny psychiczny szok. Przez wiele dni czekali, by ujrzeć znak - znak obiecany im przez Belle Yellę, znak mający zapowiadać ich przyszłe zwycięstwo nad odwiecznymi wrogami i potwierdzać zapowiadaną życzliwość bogów i przodków z Zielonego Raju.

Belle Yella wystąpił, by powiedzieć, że znak został zesłany, przypomniał im jego znaczenie i doprowadził do stanu euforycznego upojenia rangą wyznaczonej im przez bogów misji.

I co ujrzeli?

Cień przesłaniający słońce i uderzenie piorunu pochodzącego nie wiadomo skąd, który powalił ich proroka. W ich oczach sprawcami tego mogli być wyłącznie sami bogowie.

Nikt z nich nie mógł wiedzieć, że Sigor Belle Yella padł właśnie ofiarą strumienia energii wystrzelonego z działa laserowego.

Myszka potężnym wyrzutem nogi przewrócił wojownika stojącego na straży przy ich namiocie, a potem mocno nadepnął mu na głowę. Jego zrogowaciała pięta była naga, okazała się jednak wystarczająco twarda, by złamać kreshowi szczękę. Rozejrzał się w samą porę, żeby dostrzec jak Remy wije się desperacko, próbując umknąć przed grotem dzidy, którą dość niezdarnie chciał go przebić jakiś inny półnagi wojownik. Myszka pochylił nisko głowę i zaszarżował, tratując po drodze dwóch akolitów Belle Yelli, wyraźnie pozbawionych ochoty na jakąkolwiek walkę. Wojownik z dzidą zauważył jego atak i szybko odwrócił się od Remy'ego, by stawić mu czoła. Ze związanymi w dalszym ciągu na plecach rękami Myszka musiał wydawać mu się łatwym celem dla jego dzidy. Ale kiedy kresh zamachnął się nią do przodu, Myszka uskoczył w bok i kopnął drzewce tuż za grotem z taką siłą, że jego przeciwnik zachwiał się potężnie i poleciał do tyłu. W momencie, w którym upadł, było już po nim - pięta Myszki z potworną siłą uderzyła w jego wystające zębra i wgniotła je.

Rozległ się huk wystrzału i Myszka poczuł, jak kula smaga mu w przelocie plecy, przypiekając je jak rozpalonym żelazem, ale nie powodując żadnego poważniejszego krwotoku. Rozejrzał się dokoła, dostrzegł strzelca i natychmiast ruszył na niego. Strzelba była bardzo stara, jej ponowne załadowanie trwałoby zbyt długo, więc kresh nie miał wyjścia - musiał użyć jej jako maczugi. Chwycił za lufę, machnął nią poziomym łukiem, mierząc w głowę Myszki, ale ten uchylił się błyskawicznie i wbił głowę w brzuch kresha. Wojownik upadł do tyłu, rozpaczliwie usiłując chwycić powietrze. Myszka jednym skokiem znalazł się obok niego i w następnej sekundzie zmiażdżył mu kolaniem tchawicę.

Nim zdążył się podnieść, większość pomocników Belle Yelli umknęła. Pozostał tylko jeden z nich, uzbrojony w strzelbę, którą z odległości piętnastu stóp pewnie wymierzył w potężny tors Myszki. Myszką podjął rozpaczliwą próbę uskoczenia za drzewo, ale już w momencie skrętu ciała w jego kierunku wiedział, że zanim dopadnie pnia, kresh na pewno zdąży wystrzelić. Karabin wypalił, ale kula uderzyła w ziemię między stopami Myszki, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Strzelając kresh osuwał się już na ziemię - w jego plecach tkwił nóż.

Odebrawszy go pierwszemu z powalonych przez Myszkę wojowników, Valla zdążyła już chwilę wcześniej oswobodzić sobie nim ręce. Teraz bez namysłu wyrwała go z pleców zabitego i podbiegła do drzew, między którymi wisiał Remy. Nie mogła jednak dosięgnąć do krępujących go rzemieni.

- Pomóż mi! - zawołała do Myszki w języku Ziaratu.

Olbrzym w kilku susach znalazł się przy niej i odwrócił plecami, by mogła przeciąć jego więzy. Potem chwycił jeden z drągów, za pomocą których kreshowie zawiesili Remy'ego w górze i wysunął jeden koniec poprzeczki ze szczeliny w drzewie, opuszczając ją. Remy starał się opaść na nogi, ale okazało się to ponad jego siły. Przewrócił się, dusząc krzyk bólu, gdy poprzeczka niemal wyłamała mu ręce w nadgarstkach i ramionach. Dziewczyna natychmiast przecięła wszystkie rzemienie, uwalniając go nareszcie od morderczego bólu. Legł bezwładnie zwinięty bez ruchu w kłębek, nie więcej niż dwa metry od Sigor Belle Yelli, upadłego proroka.

Myszka zostawił Valle klęczącą obok Remy'ego i odszedł chwiejnym krokiem na bok w poszukiwaniu swoich butów. Dziewczyna podniosła latarkę i rękawem wytarła z niej krew. Remy skrzyżował ręce na piersi i z całych sił przycisnął do siebie ramiona, rozpaczliwie próbując przywrócić im choć trochę życia. Dłoni nie czuł zupełnie, a o zgięciu palców nie mogło być nawet mowy. Przekręcił się niezdarnie twarzą do ziemi, podparł czołem i klęcząc w takiej pozycji czekał, aż do leżących pod nim bezwładnie dłoni napłynie krew.

Jakaś kula uderzyła w krawędź urwiska, odłupując spory kawałek gliny. Valla skuliła się w sobie.

- Idą po nas - powiedziała. - Możesz biec?

Remy uniósł głowę i spojrzał w dół, na tłum dezorientowanych kreshów, biegnących w stanie najwyższego podniecenia we wszelkich możliwych kierunkach. Załedwie garstka z nich kierowała się przez pomost z łodzi ku wyspie. Na szczyt urwiska mogli dostać się tylko dość długą okrężną drogą, ale wszyscy uzbrojeni byli w karabiny i co kilkanaście kroków robili z nich użytek.

- Nogi mam w porządku - wykrztusił z siebie, zaskoczony słabością swego głosu.

Odturlał się nieco dalej od krawędzi klifu i pozwolił Valli, by pomogła mu wstać. Odeszli razem w kierunku namiotu, w którym trzymano ich jako jeńców. Nim do niego dotarli, ujrzeli Myszkę z triumfalnie uniesioną prawą ręką. Trzymał w niej trzy pary butów; w lewej ręce ścisnął rewolwer. Dalsze dwa rewolwery i kilka dużych noży wystawały mu z pasa spodni.

- Karabiny zniknęły - mruknął gardłowo. - Zakładajcie buty.

Rzucił je w ich kierunku, a sam schylił się i zaczął naciągać na nogi własną parę, nie wypuszczając przy tym ani na chwilę pistoletu. Valla chwyciła buty Remy'ego i wcisnęła mu je na stopy, a potem dopiero założyła swoje.

Remy ciągle jeszcze nie mógł posługiwać się rękami, ale wstał już bez niczyjej pomocy i zaczął się rozglądać. Wzdłuż brzegu urwiska biegła wąska ścieżka, zakręcająca dalej w stronę mostu z łodzi i to stamtąd właśnie miał nadejść pościg. Z przeciwnej strony urwisko zataczało szeroki łuk za porastającym je do samej krawędzi gąszczem drzew. Tam nie było żadnej ścieżki.

- Ruszamy prosto pod górę, między drzewa - powiedział czując gwałtowny nawrót bólu szczęki. - Jeżeli tylko nie utkniemy w jakichś zaroślach, to mamy szansę ich zgubić.

Myszka podał mu pistolet, ale Remy potrząsnął przecząco głową. Podał go więc Valli wyciągając jednocześnie z pasa jeden z wielkich noży. Skinął energicznie głową i Remy ruszył przed siebie, obierając drogę. W tej samej chwili usłyszeli świst następnej kuli, która przemknęła gdzieś obok nich i zginęła w gęstwinie listowia. Valla odpowiedziała strzałem, po czym cała trójka rzuciła się do przodu tak szybko jak to tylko było możliwe. W ciągu kilku sekund skryły ich drzewa i strzelanina ustała. Biegając słyszeli jednak za sobą głosy ścigających, a Remy zaczął się intensywnie zastanawiać, co zgromadzony nad jeziorem tłum może zrobić. Było dość mało prawdopodobne, by w pogoń za nimi ruszyło wszystkich siedmiuset wojowników, choć gdyby uznali, że Remy jest osobiście odpowiedzialny za śmierć Belle Yelli, to nie było to niemożliwe. Miał nadzieję, że er'kresha po prostu się rozjadą, ale w głębi duszy wcale w to nie wierzył. Strzał z lasera mógł napełnić ich zabobonnym strachem i pozbawić wiary w osobistą nietykalność, ale zrozpaczony kresh znał tylko jeden sposób wyładowania swojej furii, a tym sposobem była walka.

Zabójcy nie ocalili Scapaccia przed atakiem - co najwyżej zwiększyli jego szansę przeżycia, sami zyskując niemal pewność, że przed nadejściem następnego zmierzchu er'kresha odczują już następstwa swojej furii i wtedy odejdzie im ochota do walki.

Ustawivszy wozy dokładnie według swego życzenia i uszczelniwszy wszystkie przerwy między nimi barykadami ze skrzyń i łózek, Garston zaczął wypakowywać amunicję.

Był tylko jeden kierunek, z którego do nowego obozowiska można było dotrzeć na koniu. Po jednej stronie obronnego taboru znajdowało się strome piarżysko, opadające ponad dwieście metrów w dół. Piechurzy mogli się co prawda na nie wspiąć, ale przyszłoby im to z wielkim trudem; wprowadzenie tamtędy koni musiałyby zabrać całe godziny. Główną linię obrony ustawiono więc tak, by odparła atak ze strony przeciwnej, gdzie ciągnął się długi pas płaskiego terenu. Po lewej ręce pas ten przechodził w usypisko luźnych kamieni i miążkiego żwiru, dawno temu pozbawione przez wiatr wierzchniej warstwy gleby i stąd porośnięte jedynie nielicznymi kolczastymi krzewami. I znów piechurzy mogli tamtędy nadejść, wykorzystując jako osłonę krzewy, ale konie musiały poruszać się po takim podłożu z największym trudem i niesłychanie wolno. Z czwartej strony osłaniało obóz rumowisko wielkich bloków skalnych, przypominające naturalną piramidę schodkową. Jej kąt nachylenia był dość łagodny - nie większy niż trzydzieści stopni - a wierzchołek stanowiła płaska platforma o powierzchni około pięćdziesięciu jardów kwadratowych, górująca nad znaczna częścią okolicy. Garston zastanawiał się, czy nie umieścić tam karabinu maszynowego, ale uznał w końcu, że jego siłę rażenia najpełniej wykorzysta się przy strzelaniu na wprost do nacierających jeźdźców. Ustawił więc tam zamiast tego trzech ludzi i Iasusa Fiemme, dodając im do osobistego uzbrojenia moździerz i odpowiednią ilość granatów. Jedna sztuka artylerii polowej zmieniłaby w takich warunkach walkę w zwykłą rzeź, ale Dowództwo Haidry wyprawilo swój pluton z uzbrojeniem jedynie "osobistym".

Scapaccio i Justina Magna przyjęli przydzielone im karabiny i bez słowa komentarza pozwolili Garstonowi, by ustawił ich na wyznaczonych przez siebie pozycjach. Sierżant nie objął swoimi planami Delizii, aczkolwiek dopilnował, by on także otrzymał jakiś rewolwer. Z zapadnięciem zmroku wydzielił wszystkim ostatnią rację wody, po czym kategorycznie zabronił opuszczania wyznaczonych pozycji. Noc przyniosła z sobą lekki wiatr, nieliczne obłoki płynące przez niebo w ciągu dnia zagęściły się i okryły ziemię ciemnością znacznie głębszą niż zwykle. Przez dłuższą chwilę Garston przyglądał się niebu, potem wyciągnął Delizię z jego wozu, zaprowadził na pierwszą linię obrony i dał do ręki raketnicę. Kazał mu się przygotować do odpalenia racy na pierwszy jego rozkaz i strzelania bez przerwy, aż do wyczerpania się pierwszego pudła pocisków. Sierżant nie przewidywał, by walka miała trwać długo. Wiedział natomiast, że będzie bardzo zażarta.

Delizia znalazł się w towarzystwie Garstona, Androsa i Madoca, przytulonych do ziemi za niewysoką barykadą ze skrzyń, która ciągnęła się na przestrzeni jakichś ośmiu metrów, od tylnych kół jednego z wozów do przednich kół następnego.

- Może to pytanie wyda się panu głupie - odezwał się Delizia - ale czy jest pan pewien, że oni wiedzą, gdzie nas szukać?

- Wiedzą - odparł Garston cierpko. - Przez cały dzień obserwowali nasz przejazd i wszystkie ruchy naszych zwiadowców.

- Ilu ich jest? - spytał mały archeolog.

Garston nie odpowiedział. Madoc odwrócił głowę i mruknął: - Widzieliśmy co prawda obóz, ale trudno było policzyć. Pewnie z pięciuset. Choć to wcale nie znaczy, że zjawią się tutaj wszyscy.

- Naprawdę był pan na tyle blisko, żeby zobaczyć jezioro?

- Zgadza się - potwierdził Madoc. - I jak już powiedziałem temu Scapaccio, nie widziałem żadnych śladów jakichkolwiek budowli czy czegoś, co nie byłoby naturalne. A ty?
- Ostatnie pytanie zaadresowane było do Androsa, który wyjeżdżał z drugą grupą zwiadowców.

- Ja też nie widziałem żadnych budowli - odparł optimen.

Delizia zmarszczył czoło, zastanawiając się, czy nie miało to przypadkiem znaczyć, że optimen widział jednak coś, tylko coś, co nie było budowlą, zawahał się jednak przed zadaniem pytania, właściwie bez żadnej wyraźnej przyczyny, a Garston rzucił ochryply rozkaz, by skończyć rozmowy. Delizia nie bardzo wiedział, w jaki sposób milczenie mogło w czymkolwiek pomóc, ale podporządkował się.

Minął kwadrans, którego minuty ciągnęły się - przynajmniej Delizii - z zabójczą niemal powolnością. Garston zdawał się jednak zupełnie tego nie odczuwać - ani na chwilę nie stracił swego opanowania. W końcu Madoc wskazał na wierzchołek piramidy, gdzie zaczęło zapalać się i gasnąć jakieś światełko.

Garston odchrząknął i powiedział:

- Niech pan przygotuje race.

Andros poruszył się i z niezwykłą łatwością podniósł z ziemi karabin maszynowy. Najwyraźniej nie miał zamiaru korzystać ze stojaka, lecz wolał prowadzić ogień, trzymając broń tak jak w tej chwili w swoich potężnych ramionach. Teraz, kiedy nie było już Myszki, ze wszystkich pozostałych obrońców obozu tylko Garston mógłby się pokusić o coś takiego, ale i on nie utrzymałby strzelającego karabinu dłużej niż przez kilka sekund. Andros wydawał się gotów trzymać go, strzelać - i to celnie - tak długo jak będzie trzeba. Delizia podejrzewał w

duchu, że było to zupełnie zbyteczne i że karabin mógł równie dobrze spełniać swoje zadanie spoczywając na trójnogu, a optimen korzysta tylko z sytuacji, by popisać się swą ogromną siłą i domniemaną wyższością. Bez wątpienia Garston wiedział o tym równie dobrze, ale widocznie postanowił się do tego nie mieszać.

Delizia skonstatował nagle z zaskoczeniem, że słyszy zbliżających się er'kresha, a raczej stukot kopyt ich koni i grzechot żwiru pokrywającego w wielu miejscach otwartą przestrzeń.

Z wierzchołka piramidy rozległy się dwa wystrzały, a zaraz potem dobiegł go odgłos daremnej odpowiedzi karabinów nadciągającego wroga. Kreshowie musieli zrozumieć, że znajdują się już w zasięgu broni przynajmniej niektórych z obrońców, bo tempo tupotu kopyt - stało się znacznie szybsze. Garston warknął jednak do swych żołnierzy, by czekali. Dopiero kiedy tętent przeszedł w wyraźny galop, ryknął: - Raca!

Choć Delizia już od kilku chwil spodziewał się tego okrzyku, o mało nie wyskoczył ze skóry. Odruchowo poderwał rękę pionowo w górę i natychmiast poczuł, jak Garston chwytą ją w nadgarstku i ustawia pod bardziej sensownym kątem. Usłyszał jakieś rzucone przez zęby wymyślne przekleństwo sierżanta i nacisnął spust, zaciskając mocno oczy w obawie przed wybuchem światła.

W rzeczywistości do wybuchu racy upłynęły pełne trzy sekundy i dopiero potem fala nagłej jasności ukazała pędzących przez otwartą przestrzeń er'kresha. Garston ryknął natychmiast rozkaz otwarcia ognia, naciskając jednocześnie spust swego własnego karabinu, a Delizia zastygł z przerażenia. Nie mógł oderwać wzroku od pędzącej hordy, która zdawała się sunąć na nich stupięćdziesięciometrową ścianą, wypełniając szczelnie każdy dostępny kawał terenu. Wystawione przeciwko nim linie obronne wydawały mu się wręcz absurdalnie małe.

Do tej pory wyobrażał sobie, że szarża dzikich napotka na swej drodze istną lawinę ognia kładącego ich pokotem, nim zdołają zbliżyć się do linii wozów, ale teraz stwierdził z ogromnym zdumieniem, że po każdej salwie obrońców na ziemię pada zaledwie kilku jeźdźców. Zarepetował raketnicę i strzelił ponownie, tym razem sam pilnując, by raca przeleciała łukiem nad nacierającą watahą. Dopiero teraz, po rozbłyśnięciu drugiej flary, Andros podniósł się leniwie z ziemi, wycelował karabin maszynowy i kciukiem przesunął bezpiecznik. Karabin plunął ogniem z tak ogłuszającym rykiem, że Delizia instynktownie skulił się w sobie, ale wreszcie mógł ujrzyć natychmiastowy skutek użycia tej broni w postaci szerokiej dziury wydartej w ścianie nacierających jeźdźców.

Kiedy ładował trzecią racę, rozległ się huk wybuchu pierwszego granatu moździerza, a zaraz potem uzmysłowił sobie, że do jazgotu broni dołączył potężny ryk niezliczonej ilości

głosów. W tej kakofonii nie było nic, co dałoby się uznać za słowa, a odróżnienie okrzyków bólu od przeraźliwych wrzasków wściekłości wydawało się zupełnie niemożliwe; wszystko to było po prostu jednym potwornym zgiełkiem przybierającym z każdą chwilą na sile i obezwładniającym jego zmysły.

Odstrzelił trzecią rękę i mechanicznie zaczął ponownie ładować raketnicę. Przez kilka krótkich chwil ręce i całe ciało trzęsło mu się konwulsyjnie ze strachu, ale panika minęła niemal natychmiast, zostawiając go dziwnie chłodnym i spokojnym, zupełnie jakby pod działaniem narkozy.

Tylko trzydzieści sekund zajęło er'kresha pokonanie odległości dzielącej ich od wozów w momencie, w którym obrońcy otworzyli ogień, ale w ciągu tych trzydziestu sekund ujawnił się cały niedostatek ich uzbrojenia. Na każdą kulę, którą posyłali w stronę wozów, obrońcy, choć znacznie mniej liczni, wystrzelili pięćdziesiąt pocisków - całe magazynki, a karabin maszynowy ryczał bez chwili przerwy. Prawdę mówiąc, er'kresha strzelali bardzo mało - prawie w ogóle. Mieli tylko trzysta strzelb, w tym jedynie osiemdziesiąt automatycznych, a niemal połowa wojowników uzbrojona była wyłącznie w dzidy i szable. W czasie szarży wystrzelali pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt strzał, ale ich łucznicy nie mieli czasu, by posłać następną partię pocisków i po pierwszym naciągnięciu cięciwy łuków natychmiast sięgnęli po noże.

Nie sposób było ocenić, ilu wojowników er'kresha i ile koni zginęło w czasie tego ataku; pewne było jedynie to, że na zbliżających się w szalonym pędzie w stronę wozów koniach w dalszym ciągu galopowały setki jeźdźców. Dopiero kiedy oprócz przerażającego huku broni konie napotkały na swej drodze także materialną przeszkodę w postaci barykady z wozów, zaczęły stawać dęba, uskakiwać w bok i zawracać - szarża zaczęła się załamywać. Ledwie pół setki zwierząt dotarło do samej barykady, a tylko trzydziestu kreshów zdołało dopaść wozów i wśliznąć się między ich koła lub przedostać ponad niższymi partiami linii obronnej. Gdyby było ich dwa razy więcej, gdyby wierzyli, że kule się ich nie imają, a udział w tej bitwie biorą na bezpośredni rozkaz bogów, walka mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej. Ale tak ta trzydziestka stanęła twarzą w twarz z niewiele mniej liczną grupą obrońców, w dalszym ciągu wyposażonych w broń, która znacznie większą liczbę przeciwników mogła po prostu zmieść z powierzchni ziemi.

Andros przestał strzelać, zmieniając wielką lufę karabinu maszynowego w maczugę z rozgrzanej do czerwoności stali. Jednym jej uderzeniem zmiażdżył głowy dwóch dzikich, którzy próbowali przeskoczyć przez barykadę. Jakieś oszalałe zwierzę z dzierżącym topór kreshem na karku stanęło dęba nad linią obrony, odmawiając jej sforsowania. Jego

wierzgające kopyta zawisły groźnie metr nad głową Garstona, który dosłownie w ostatniej chwili zdążył przed nimi uskoczyć. Stojący nieco z boku Madoc przestrzelił zwierzęciu szyję, a Garston jednym ruchem dobył pistoletu, by zająć się topornikiem. Kiedy chwilę później sierżant ryknął o światło, Delizia uzmysłowił sobie, że od pewnego czasu nie wykonuje powierzonego mu zadania. Wystrzelił szybko, a raca pomknęła w górę znacznie bardziej pionowo niż wszystkie poprzednie. Sięgnął do skrzyni po następną, ale jego ręka namacała tylko puste dno. Uznał więc, że zrobił już wszystko, co do niego należało i czym prędzej rzucił się w bok, by znaleźć się jak najbliżej osłony wozów.

W świetle ostatniej flary zobaczył jak Andros rzuca na ziemię swój karabin maszynowy i chwytając leżący obok niego karabin Garstona, by niczym maczugą odparować nim pchnięcie szabli jakiegoś wynurzającego się spod wozu wojownika. W tym samym momencie Garston zabił kresha strzałem w głowę. Ujrzał także Madoca padającego w tył pod impetem ciosu dzidy, który omal nie pozbawił go głowy i wyrzucił w powietrze fontannę kropelek krwi, tryskających z jego szyi z taką siłą, że niektóre z nich obryzgały Delizii nogę. A potem raca przygasła i bez jej światła Delizia nie widział już nic. Usłyszał przekleństwa Garstona i czyjś przeraźliwy krzyk i spróbował wcisnąć się głębiej w małe schronienie, jakie tworzyła luka między brzegiem barykady a kołem jednego z wozów.

Przypomniał sobie z ulgą tak wielką, że wydawała się wręcz niedorzeczna, że Andros widzi po ciemku równie dobrze jak er'kresha.

Poczuł, że ktoś wrywa mu z ręki rakiety i zobaczył niewyraźny cień Garstona, desperacko próbującego coś do niej wsunąć - następny pocisk z nowej paczki rac. Ciemności ciągle jeszcze pełne były odgłosów, lecz ponad grzechot sporadycznej teraz strzelaniny wyraźnie zaczęły wybijać się krzyki walczących i rzenie koni. Kiedy nowa flara rozbłysła w górze, Delizia ujrzał, że to jeszcze wcale nie koniec walki. Wewnątrz obszaru bronionego przez wozy zaciekle mocowało się ze sobą dwóch mężczyzn, tarzając się po ziemi coraz bliżej zagrody dla koni ekspedycji. Po chwili jeden z nich podniósł się, zostawiając swego przeciwnika martwego, a kiedy blask racy zamigotał na jakimś długim ostrzu, stało się jasne, że zwycięzcą nie był człowiek. Lecz zaraz potem jakaś kula wyrównała rachunki, pozbawiając go życia, nim zdążył zrobić następny krok.

Garston wystrzelił jeszcze jedną racę - tym razem wewnątrz barykady wozów nie było żadnych śladów żywych kreshów. Karabiny w dalszym ciągu prowadziły ogień, ale był on już teraz skierowany wyłącznie na zewnątrz. Zgiełk zdawał się cichnąć.

Pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu Delizia spojrzał w górę i ujrzał na dachu sąsiedniego wozu jakiś przesłaniający gwiazdy cień. W tej samej chwili cień runął wprost na

Androsa. Widok ten zaparł Delizii dech do tego stopnia, że nie był w stanie wydusić z siebie żadnego ostrzeżenia. Było to bez znaczenia - Andros strząsnął z siebie kresha pogardliwym ruchem ramion, jednym skrętem nadgarstków łamiąc mu kręgosłup. Nagle i zupełnie poniewczasie Delizii zrobiło się niedobrze. By pokonać zbliżające się wymioty, musiał wstrzymać na chwilę oddech i zamknąć oczy.

Teraz mógł to przynajmniej zrobić bezpiecznie.

Nie wypuszczając pistoletu z dłoni Myszka wyglądał ostrożnie zza wejścia do jaskini, wypatrując jakiegoś ruchu w splątanej masie zieleni. W tym czasie Remy tarł mocno ramiona i nadgarstki, poruszając nimi na wszystkie strony, by choć trochę złagodzić ich ból. Valla siedziała oparta o skałę, uważnie go obserwując.

Remy przełknął z trudem ślinę żałując, że Myszka nie zabrał razem z pistoletami choć jednej menażki wody. Usta miał zupełnie wyschnięte, a nabrzmiałe od uderzeń latarką dżiąsła krwawiły mu w wielu miejscach.

- Chyba wszystko w porządku - szepnął Myszka. - Wygląda na to, że ich zgubiliśmy.

- Mamy więcej szczęścia jak rozumu - mruknął Remy. - I niż broni, by wytrzymać jakiegokolwiek oblężenie. Trzy pistolety i tuzin kul to taki sobie arsenał.

Valla spojrzała na swój rewolwer, ale nie sprawdziła, ile kul zostało w magazynku. W drugiej ręce ciągle jeszcze trzymała latarkę. Włączyła ją teraz, kierując snop jej światła w - głąb ciemnej czeluści jaskini, która dalej przechodziła w dość wąski tunel niewiadomej długości.

- Widzisz stamtąd obozowisko? - spytał Remy.

- Nie - odparł Myszka. Nawet gdyby nic nie zasłaniało mi widoku, to i tak byłoby na to za ciemno. Lepiej wyłączcie tę latarkę albo wejdźcie głębiej. Jeżeli zobaczą jakieś światło, to będzie po nas.

Remy wstał, podszedł do Myszkę i wyglądając mu przez ramię, popatrzył w gwiazdy, a potem wprost przed siebie, na krawędź lasu.

Valla wyłączyła latarkę i podeszła do nich. - Jeżeli zdecydujecie postawić jakiegoś wartownika, to powinnam nim być ja - powiedziała. - Ja widzę po ciemku. Niebo zaraz zupełnie się zachmurzy.

- Lepiej wejdźmy dalej w głąb jaskini - powiedział Remy. - Jeżeli dotrą tu za nami, to ich usłyszymy albo ty wyczujesz ich zapach. Siedzenie w samym wejściu nie ma sensu..

Weszli do tunelu posuwając się do przodu bardzo powoli, w świetle omiatającej posadzkę latarki. Tunel był prawie dokładnie poziomy, a ściany w żadnym miejscu nie

odbiegały zbytnio od pionu, zachowując między sobą odstęp jednego metra, pomimo iż korytarz wił się i jakby nieco zakręcał.

- Ten tunel nie jest naturalny - powiedział Myszka, kiedy weszli już jakieś trzydzieści metrów w głąb góry. - Raczej nie - potwierdził Remy. - A to jest bazalt. Bardzo stary i bardzo twardy. Przebić się przez taką skałę to kawałek choleralnej roboty. W dodatku nie wygląda mi to na wejście główne; tamto musi się znajdować gdzieś z drugiego krańca jeziora. To jakaś dość kosztowna konstrukcja; może ciągnąć się całe mile. I zamaskowana ogromnym nakładem środków. Widocznie przygotowali to na wypadek zwyczajnego ataku, a tymczasem cascarenowie musieli ich jakoś rozszyfrować i podjęli odpowiednie środki.

Kilka metrów dalej natknęli się na ślepą ścianę. Kolorem nie różniła się od bursztynowo-szarych ścian tunelu, ale miała zupełnie inną fakturę. Remy wziął od Valli latarkę i delikatnie ją opukał. Tak jak się tego spodziewał, dźwięk był pusty i dudniący, a pod uderzeniami latarki ściana zdawała się pękać i ustępować. Po mocniejszym uderzeniu w powierzchnię ściany pojawiło się wyraźne wgłębienie, z którego wielkimi płatami zaczęła odpadać jakaś substancja. Pod spodem materiał był brudno szary. - To jest plastik - powiedział Remy. - Oklejono go fornirem z jakiegoś stopu, ale cała jego warstwa zupełnie skorodowała i złuszczy się bez trudu.

- Chcesz, żebym wybił tę ścianę? - spytał Myszka.

- Na twoim miejscu byłbym z tym ostrożny.

- Dlaczego?

- A jak sądzisz, co jest po drugiej stronie? Myszka, zamilkł na chwilę próbując odgadnąć, co Remy miał na myśli. W końcu rzucił pytająco: - Winda?

Remy mruknął cicho na potwierdzenie i dodał: - A klatka windy na pewno stoi na dole. Tak jest zawsze, kiedy się jest na górze. - Poświecił latarką w górę i w dół bocznych ścian i niemal natychmiast zauważył prostokątną pokrywę osadzoną w skale. Zerwał ją, bez trudu wyłamując przerdzewiałe zawiasy i spod spodu ukazał się jeden jedyny przycisk i tarczka z przezroczystego plastiku.

Nacisnął guzik. Nie było żadnej reakcji.

- Nieczynna - powiedział.

- Ile czasu upłynęło od kiedy odeszli stąd mapirenowie? - spytał Myszka. - Trzydzieści tysięcy lat?

- Mniej więcej - potwierdził Remy. - To faktycznie dość długo. Siłownie musiały do tej pory zupełnie sięś, większość przewodów pewnie do szczytu przerdzewiała, a elektronika zmieniła się w kupę bezużytecznego krzemu. Ale ta baza znajduje się we wnętrzu góry, a

wytwory cywilizacji, jeżeli tylko ich się nie rusza, potrafią bardzo długo zachowywać się w świetnym stanie. Na większości światów ciągle jeszcze można wykopać gliniane garnki z neolitu, co oznacza, że mają one osiem czy dziesięć tysięcy lat, a na planetach cywilizowanych takich jak Ziemia, nawet dwa razy tyle. Jeśli w momencie bombardowania pył wdarł się do środka, to całe wnętrze zostało dość dokładnie wysterylizowane i to na bardzo długo. Co prawda życie dokonało pewnie powtórnej inwazji, ale to, co zachowało się w bazie, mogło przyciągać tylko bardzo niewiele żywych organizmów. Wszystko, co miało krew i ciało, musiało zmienić się w proch, a większość nagich metalowych części zapewne skorodowało... Ale degradacja chemiczna jest procesem bardzo powolnym, a wiele rodzajów tworzyw sztucznych opiera się każdej formie rozkładu. Ta baza nie może wyglądać dokładnie tak, jakby mapirenowie opuścili ją wczoraj, ale mimo to jest w niej pewnie mnóstwo cholernie ciekawych rzeczy.

- A winda nie działa - przypomniał mu cicho Myszka.

- Wiem - mruknął Remy. - Zastanawiam się, jak głęboki może być ten szyb.

- Cofnijcie się powiedział Myszka. Remy zrobił kilka kroków do tyłu i oboje z Valla przywarli do ścian, by umożliwić Myszcze przeciśnięcie się około nich i zajęcie pozycji bezpośrednio przed zagrażającymi drogę drzwiami. Zaparłszy się mocno o ścianę, Myszka podniósł nogę, zgiął ją i wyrzucił przed siebie z potworną siłą, uderzając drzwi na wysokości swych bioder, tuż obok miejsca, w którym zagłębiały się w skałę.

Drugie kopnięcie wyrwało całą lewą stronę drzwi z ich łożyska i wtedy już bez trudu dały się po kawałku wyłamać z prowadnic biegnących pod sufitem i w podłodze tunelu. Za nimi rzeczywiście znajdował się szyb windy.

Remy wsunął palec w wyżłobienie w ścianie tunelu, próbując wymacać mechanizm zamykający i otwierający drzwi. Potem zbadał poziome wyżłobienia, wzdłuż których niegdyś się przesuwwały.

Poruszał je silnik elektryczny - powiedział. - Winda miała pewnie taki sam napęd, ale teraz nie ma już żadnych kabli. - Poświecił latarką w górę, by pokazać wydrążenie w skałe, gdzie niegdyś znajdowały się urządzenia kontrolne klatki windy, w tym także bęben do nawijania liny wyciągowej. Wydrążenie było zupełnie puste. W szparze w podłodze znalazł kawałek metalu i upuścił go w głąb szybu. Zaczął liczyć i doszedł do dziesięciu, zanim ledwie dostłyszalne stuknięcie oznajmiło, że rzutka uderzyła w dno - a przynajmniej w coś.

- Mniej więcej pięćset metrów - oświadczył po krótkich obliczeniach. Poświecił latarką wokół szybu i po lewej stronie natrafił na pionowy rząd wyciętych w skałe wgłębień, zaczynających się trzydzieści centymetrów poniżej progu drzwi.

. Mogli nie być ludźmi, ale ich windy także musiały od czasu do czasu się psuć. Schody awaryjne, wykute bezpośrednio w ścianie szybu.

- Schodzimy na dół? - spytał Myszka.

- Jasne. Mamy pewnie ze trzydzieści albo nawet czterdzieści godzin przewagi nad całą resztą, jeśli w ogóle ktokolwiek z nich tu dotrze.

- Ale nie nad tymi z laserem - odparł pośpiesznie Myszka. - Oni już tu są. Do tej pory mogli nawet wejść do środka.

- To prawda - przyznał Remy. Usiadł na podłodze i oparłszy się plecami o ścianę tunelu, zaczął się zastanawiać.

- Ja w dalszym ciągu nie mogę się w tym wszystkim połapać - powiedział Myszka po upływie dobrej minuty. - Dlaczego oni zastrzelili Belle Yellę?

- Bo tylko on trzymał te wszystkie koczownicze plemiona razem. Bez niego nie stanowią one żadnej zwartej siły bojowej. W tej chwili atakują być może Scapaccia, ale już jutro rano będą tylko kilkoma luźnymi bandami pustynnych rabusiów. Nie będzie już nic, co by ich łączyło, więc po prostu rozjadą się każde w swoją stronę. Chłopcy z laserem likwidują krok po kroku wszystkich swych przeciwników, rzucając ich jednocześnie do walki między sobą. Według prawdopodobieństwa na koniec nie zostanie im do roboty nic poza uprzątnięciem niedobitków. Podejrzewam, że w następnej kolejności uderzą na Zemaka i to, co pozostało z jego grupy. Wtedy zostanie im tylko Scapaccio i Garston.

- To dlaczego w takim razie nie zabili także i ciebie? - spytał niezupełnie przekonany Myszka.

- Gdyby myśleli, że mam choćby cień szansy ujęcia z życiem z tego pała, to pewnie by mnie zabili - powiedział Remy. - Ale musieli być przekonani, że i tak już po mnie. Pewnie ciągle jeszcze tak sądzą. Nie strzelali do mnie, kiedy zabili Yeremę, z tego prostego powodu, że szkoda im było fatygi. Wiedzieli wtedy, że mogą mnie sprzątnąć dosłownie w każdej chwili, bo mieli przecież swego człowieka w obozie Scapaccia. Dlatego właśnie, według mnie, na Scapaccia uderzą na samym końcu, tu mają dodatkowy margines bezpieczeństwa. Chyba żeby Garston odkrył, kto jest tym jokerem w jego talii. Ja już teraz mógłbym chyba z powodzeniem zgadywać, ale nie mam jeszcze całkowitej pewności, a przede wszystkim nie wiem, kto się za tym kryje.

Zapadła chwila milczenia. A potem Myszka powie dział: - Jesteś pewien, że dasz radę?

- Jestem pewien - odparł Remy. - Valla?

- Znam się na wspinaczce - odparła lapidarnie. - Czy mam iść pierwsza?

- Nie - powiedział Remy. - Ja pójdę pierwszy z latarką. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli schodzić aż na sam dół. Tam może być jeden poziom, ale też może ich być dwadzieścia. Wejdziemy na pierwszy napotkany i poszukamy jakiejś wygodniejszej klatki schodowej.

Pochylił się do przodu i kucnął, napinając eksperymentalnie wszystkie mięśnie. Ramiona znów sprawiały wrażenie jego własnych, a ból przeszedł w znacznie mniej dokuczliwe tępe ćmienie. Oderwał długi pasek materiału z wystrzępionego rękawa koszuli i przywiązał nim latarkę do lewego przedramienia. W ten sposób nie powinna mu przeszkadzać w korzystaniu z obu rąk przy trzymaniu się kamiennych stopni, a jednocześnie dawała się skierować wszędzie tam, gdzie chciałby spojrzeć.

Bez słowa przerzucił ciało przez krawędź szybu i zszedł kilka metrów niżej, pokazując światłem drogę Valli. Kiedy Myszka także znalazł się na pierwszych stopniach pionowych schodów, Remy ruszył w dół.

Już po kilku minutach wysiłek ramion i nadgarstków zaczął dawać o sobie znać. Przedtem stosunkowo łatwo było rozluźnić stawy i odzyskać sprawność ich działania, ale teraz znów musiały utrzymywać cały ciężar jego ciała, pracując niemal dokładnie w takim samym położeniu jak wtedy, gdy wisiał między drzewami na brzegu urwiska i ból powrócił. Schodzili powoli, doskonale zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mógł nieść ze sobą pośpiech, starając się zmusić ciało, by pracowało jak maszyna - płynnie i rytmicznie. Przywołał całą swą siłę koncentracji, aby odciąć się od odczuwania bólu, uczynić z niego rzecz zupełnie błahą, zredukować go do roli jednego z wielu przekazów zmysłów, nieistotnego w swej natarczywości.

Zaczął na siłę zaprzętać umysł wspomnieniami z okresu treningu w szkole pokładowej, wspomnieniami, które gdyby tylko potrafił, wytarłby dokładnie z pamięci, a które tkwiły w niej twardo - niezniszczalne, nie ulegające wpływowi czasu. Wywołał z pamięci metody pokonywania bólu, jakich go tam uczono, bezsilnie obezwładnionego, z elektrodami głęboko wpuszczonymi w ciało, ostrzeliwującymi mu neurony z chemicznym okrucieństwem. Ból ostry, świdrujący, tępy, ból zimny, ból gorący - nauczył się rozpoznawać je wszystkie i nie bać się ich. Była to jedna z najważniejszych lekcji, jakie miały do zaoferowania życie i nauka, a on wkuł ją - z tego co wiedział - nie gorzej niż inni. W ten sposób uczono go, co to znaczy być człowiekiem, a uczono go także, by nigdy nie żałował, że nim jest.

Próbował sobie przypomnieć cytaty z podręcznika, szczególnie stosowny - a przynajmniej tak mu się zdawało - do jego obecnego położenia. Słowa wymknęły mu się, ale wywód zaczął się od stwierdzenia, że choć poznawanie bólu jest czymś w rodzaju tortury, to

torturowanie dzieci nie jest w żadnym wypadku symptomem zdeprawowania, ponieważ jego celem jest wyłącznie utranscendentnienie bólu i wyzwolenie dorosłych od jego zagrożenia. Poznawanie bólu, twierdził podręcznik, jest dokładną analogią uodporniania przeciwko chorobie poprzez szczepienie zarazkami chorobotwórczymi.

Co najdziwniejsze, Remy nie miał nic przeciwko temu etapowi swej edukacji. Mało które z dzieci miało. Patrzyły one na to - i zachęcano je do tego - jako na coś w rodzaju próby ogniowej; coś, co miało uczynić z nich mężczyzn, a jednocześnie dostarczyć potwierdzenia ich statusu. Oni wszyscy byli wtedy spartańskimi idealistami.

Gdy tak uparcie posuwał się w dół, a ból pełzał mu po plecach i wyłamywał barki, czuł w sobie coś na kształt uniesienia - poczucia triumfu.

Przypomniawszy sobie, bez jakiegokolwiek wzruszenia, że wielu z jego kolegów z okresu dzieciństwa już nie żyło. Jeden z nich zabił się przez samookaleczenie, wykrwawiwszy się na śmierć w próbie ostatecznego potwierdzenia zwycięstwa odniesionego nad bólem. Taka jest perfidia zwątpienia, pomyślał.

On sam nie wątpił nigdy...

Jakieś trzysta osiemdziesiąt metrów niżej natrafił na drugie drzwi - następne wejście do windy. Przystanął i po kilku chwilach odpoczynku wyjaśnił sytuację Valli i Myszce. Razem z Valla zszedł poniżej drzwi, zostawiając Myszce kłopot ich otwarcia, czego ten dokonał bez specjalnych trudności.

Jedno po drugim podciągnęli się przez próg drzwi i kompletnie wyczerpani opadli na kamienną posadzkę mrocznego korytarza, kuląc się przed dojmującym zimnem. Temperatura powietrza była niewiele powyżej zera.

Remy poświecił słabnącą latarką w głąb korytarza. Z ciemności wyłoniło się nieczynne pasmowe oświetlenie sufitu i szereg drzwi, których klamki ciągle jeszcze błyszczały w świetle latarki.

- No! - powiedział Remy, nadal łapiąc oddech z największym trudem. - Jesteśmy na miejscu.

Garston stanął na półce skalnej tuż obok miejsca, które było brzegiem jeziora, gdy woda podnosiła się do górnej granicy. Teraz jednak między nim a paskiem szarej wody i wyłaniającym się zza niego masywem góry ciągnęło się ponad tysiąc metrów wyschniętego, spękanego mułu. Obejrzał zbocza góry przez silną lornetkę, po czym zniżył ją, by zlustrować

to, co pozostawało z obozowiska er'kresha. Ciągle jeszcze znajdowało się w nim kilka wozów z zaprowiantowaniem oraz około tuzina namiotów. Między nimi wałęsało się stadko jakichś zwierząt podobnych do kóz, wyjadając leżące na ziemi odpadki i umykając od czasu do czasu przed atakami rozzłoszczonych psów. Nie było natomiast widać nawet śladu koni i samych kreshów.

- Wygląda na opuszczony - powiedział do Scapaccia, kiedy ten podszedł i stanął obok niego. - Na krawędzi urwiska biegnącego wzdłuż całej podstawy góry leży kilka ciał; poza nimi nie ma tu nikogo. Ktoś może się ukrywać w lasach na wyspie, ale stąd nie sposób tego zobaczyć.

- Czyli że możemy zapomnieć o er'kresha i zabrać się za poszukiwanie bazy - powiedział Scapaccio.

- Jeszcze nie teraz - odparł sierżant. - Najpierw urządzimy się przyzwoicie gdzieś w pobliżu wody. Stamtąd będziemy mogli zobaczyć każde nadciągające niebezpieczeństwo jeszcze na dobry kilometr przedtem, zanim do nas dotrze. Wozy ustawimy oczywiście w formacji obronnej. Nie myślę, żeby wrócili er'kresha, lecz ciągle jeszcze pozostają veichowie i ci drudzy.

- W porządku - powiedział Scapaccio. - Możemy się najpierw okopać. Ale zaraz potem ruszamy na poszukiwanie bazy.

- Wydaje mi się, że powinien pan wykorzystać do tego najemników Remy'ego. W końcu po to właśnie ich pan wynajął. Oni powinni panu wystarczyć. Jeżeli ta baza w ogóle tutaj jest, to oni znajdą panu do niego drogę. Moi ludzie zostaną przy wozach.

Przez chwilę wydawało się, że Scapaccio zacznie protestować, ale najwyraźniej rozmyślił się, bo tylko wzruszył ramionami.

- No cóż, zostać przy garach i gotować też ktoś musi - zauważył złośliwie.

- Ktoś musi się zająć rannymi - odciął się gładko Garston. - Caborn dostał w głowę i ciągle jeszcze nie wiadomo, czy będzie żył, ale Ahlmann może się z tego wylizać. Do tego mamy jeszcze dwóch zabitych. W ten sposób pozostało mi tylko pięciu ludzi. Nie chcę i nie mogę stracić już nikogo więcej. Nie wiem, jak bym to wytłumaczył po powrocie do bazy.

- Jeżeli Remy nie mylił się z tym laserem - powiedział Scapaccio tonem towarzyskiej pogawędki - to nie ma tu takiego miejsca, gdzie byłby pan bezpieczny. Przed działem laserowym nie sposób się ukryć, a kilometr wyschniętego blocka nie usunie pana poza jego zasięg.

- Jeżeli Remy się mylił - zareplikował Garston - to ci z laserem będą szukać bazy, tak samo jak pan. To właśnie o nią im chodzi. Dlatego nie mam nawet zamiaru się do niej

zbliżać. Rezygnacja ze współzawodnictwa powinna nieść ze sobą bezpieczeństwo. Ja nie odczuwam pańskiej palącej ciekawości, panie Scapaccio, mam natomiast pewną małą ambicyjkę. Otóż chciałbym wrócić do Omeru żywy..

- Obawiam się, że to nie zależy od pana, tylko od tego, czy oni panu na to pozwolą - zauważył cierpko Scapaccio.

- Na pana miejscu nie martwiłbym się o mnie - odparł ironicznie Garston. - Martwiłbym się o siebie.

Scapaccio spojrział na niego gniewnie, ale powstrzymał się od udzielenia odpowiedzi w tym samym tonie. - Jeżeli mamy rozbić obóz przed południem, lepiej zabierajmy się za te przenosiny już teraz - powiedział zamiast tego. - I wypatrując tych z laserem niech pan przy okazji uważa na chmury. Byłoby śmiesznie zadawać sobie tyle trudów z przeprowadzką w miejsce, w którym nie może nas zaskoczyć konkurencja tylko po to, by dać się zaskoczyć ulewie i potonąć w bloku.

Tak jest, panie pułkowniku - odparł lodowato Garston.

Przed zapadnięciem nocy - dodał Scapaccio, mówiąc w równej mierze do Garstona, co do siebie samego - będę w tej bazie. I wszystko, co w niej jest... - urwał, okrywając resztę słów milczeniem, jakby uważał, że tej myśli lepiej nie wypowiadać głośno.

Garston obdarzył go jeszcze jednym lodowatym spojrzeniem, po czym ruszył w kierunku wozów.

Remy obudził się w absolutnych ciemnościach, czując ciepło i resztki sennego rozleniwienia. Kiedy jednak wysunął rękę z rozgrzanego śpiwora, owiało ją dojmująco zimne powietrze, natychmiast sprowadzając go do rzeczywistości. Stwierdził, że pustka w żołądku współzawodniczy z suchością gardła w zwróceniu na siebie jego uwagi. Ból w barkach i nadgarstkach zmienił się już w ledwie odczuwalne ćmienie. Spróbował wydusić ze swych gruczołów ślinowych choć odrobinę wilgoci, by oszukać pragnienie. Bez skutku.

Bardzo powoli zabrał się za wyplątywanie ze śpiwora, czując jak ponownie ogarnia go fala ogromnego zdumienia i niedowierzania, że ma on trzydzieści tysięcy lat. Pokryty warstwą jedwabistego plastiku, wypełniony jakimś rodzajem sztucznej pianki, szwy miał zgrzane, a nie zszywane i był najwyraźniej zupełnie odporny na działanie czasu. Zrobiono go by przetrwał i zrobiono go dobrze.

Opuścił stopy na podłogę podrywając je z powrotem z lodowatej posadzki i drząc z zimna. Zaczął macać dokoła siebie w poszukiwaniu butów, lecz zdecydował, że łatwiej mu będzie znaleźć najpierw latarkę. Kiedy ją włączył, trafił na buty już bez trudu. Światelko

posłużyło mu także do obudzenia Valli i Myszki. Mrużąc oczy usiedli na swoich łózkach, kurczowo opatulając się śpiworami.

Myszka podskoczył kilka razy na siedzeniu sprawdzając wytrzymałość elastycznej siatki stanowiącej konstrukcję jego łóżka - najwyraźniej on także nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia i niedowierzania. Te łóżka nie tylko przetrwały trzydzieści tysięcy lat, lecz także ciągle jeszcze ulegle dopasowywały się do kształtu leżącego na nich ciała, nawet ciała tak ciężkiego, jak Myszka. Przesunięcie snopu światła nieco w bok przypomniało jednak Remy'emu, że pozostałe elementy wyposażenia sali nie były równie odporne. Wszystko co zostało wykonane z materiału lub jakiegokolwiek innego naturalnego włókna, obróciło się w proch. Metalowe kurki nad ceramicznymi umywalkami były zupełnie przeżarte rdzą; w skorodowanych rurach nie było oczywiście ani kropli wody. Niektóre z mebli wykonane częściowo z drewna doszczętnie zniszczonego przez jakieś tajemnicze owady, które wykonały swą pracę już bardzo dawno temu i z braku pożywienia wróciły do świata na zewnątrz bazy.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, było sypialnią o trzydziestu łózkach. Wybrali je spośród jedenastu podobnych sal, kierując się tym, że tylko tu nie było żadnych ciał. Co prawda tamte ciała nie przypominały już w niczym zmarłych - one także tak długo ulegały działaniu milionów pokoleń saprofitycznych stworzeń, aż ciało zniknęło zupełnie z pobielających kości, zostawiając na nich tylko tu i ówdzie kilka ciemniejszych plam - lecz mimo to ich szkielety, ciągle jeszcze spięte w biodrach plastikowymi pasami, w wielu wypadkach ubrane także w plastikowe buty, nie stanowiły miłego towarzystwa.

- Która godzina? - spytał Myszka.

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć? - odburknął Remy. - Nie wiem nawet, czy jest dzień czy noc, a gdybym wiedział, to i tak nie miałbym najmniejszego pojęcia który.

Myszka odszedł spokojnie do jednej z umywalk i eksperymentalnie odkręcił kran, wkładając w to całą swą ogromną siłę. Nic się nie stało, w rurach nie pojawiła się w żaden cudowny sposób nawet kropla wody.

- Jestem głodny - oświadczył Myszka.

Remy uznał, że nie wymaga to żadnej odpowiedzi.

- Nie możemy kręcić się tutaj w nieskończoność - dodał Myszka, nie bez słuszności. - Powinniśmy wydostać się na górę i wrócić do Scapaccia albo przynajmniej do obozowiska er'kresha. Samym powietrzem długo nie pociągniemy.

- Ten ziąb też nie najlepiej nam służy - przyznał Remy. Odczuwał dziwną niechęć na myśl o powrocie do Scapaccia, choć trudno mu było ustalić, jaki jest właściwie jej powód.

Częściowo była ona zapewne wynikiem podejrzenia, że ktoś w ekspedycji Scapaccia ma ochotę pozbawić wszystkich pozostałych życia, w tym także Remy'ego; nie bez znaczenia było jednak także dziwne uczucie, że jest w posiadaniu obiektu pożądania wszystkich innych, i że powinien to móc jakoś wykorzystać. Ale samo posiadanie nie dawało mu zupełnie nic, chyba że udałoby mu się wyjaśnić, co takiego właściwie posiadał. A jak do tej pory nie posunął się w tym wyjaśnianiu nawet o krok. Co więcej, zaczynał podejrzewać, że może się to okazać zupełnie niemożliwe - przynajmniej dla niego. Być może nawet do tego by wyjaśnić sam cel istnienia bazy, trzeba było kogoś z pełnią specjalistycznej wiedzy Delizii.

- Tam na dole - powiedziała Valla - musi być jakieś inne wyjście z bazy. Lepsze to niż powrót przez szyb windy. Na wyspie w dalszym ciągu mogą się kręcić setki er'kresha.

- Zimno możemy wytrzymać jeszcze przez kilka godzin - powiedział Remy. - Z tych śpiworów udałoby się pewnie zrobić coś w rodzaju wierzchniego okrycia. Trzeba tylko wyciąć dziury w dole i rogach na głowę i ręce. Zejdziemy w dół. Do tej pory widzieliśmy tylko kwatery sypialne i kilka zwykłych zestawów aparatury regeneracyjnej. Nie wiemy, co znajduje się niżej, a bardzo chciałbym sobie to obejrzeć; choćby tylko przez chwilę. Kiedy zejdziemy na sam dół, zabierzemy się za poszukiwanie drugiego wyjścia. Zgoda?

- Jak chcesz - powiedział Myszka. - Ale ta latarka nie będzie świeciła w nieskończoność.

Tymczasem Valla dźgała już swój śpiwór nożem, tym samym, którym wyswobodziła ich z rzemieni er'kresha. Remy obserwował ją, zastanawiając się nad przedziwną ironią losu. Te śpiwory przetrwały w swym magazynie trzydzieści tysięcy lat nie tknięte procesem rozkładu, który obrócił w proch ich stwórców. A teraz, po kilku godzinach korzystania z nich, ludzcy wandale drą je na strzępy, by mogły posłużyć za najprymitywniejszą odzież ochronną. To tyle na temat trwałości produktów mapireńskiej cywilizacji.

W końcu opuścili salę i ruszyli z powrotem zatęchłym, zimnym korytarzem, wyszukując drogę słabnącym światłem latarki. Skierowali się w stronę pojedynczych, wydzielonych schodów, na które trafili na najwyższym poziomie bazy i którymi dostali się aż tutaj. Wyglądało na to, że była to w ogóle jedyna klatka schodowa, choć szybów windowych znaleźli znacznie więcej. Widać mapirenowie mieli zaufanie do swych urządzeń i systemów zasilania.

W ciągu kilku godzin intensywnego penetrowania wyższych pokładów bazy, jeszcze zanim wyczerpanie kazało im się zatrzymać na odpoczynek, najbardziej uderzyło Remy'ego, że żadna z rzeczy, które tam znaleźli, nie zdradzała przynależności do obcej cywilizacji. Nikt nie wiedział jak dokładnie wyglądali mapirenowie, ale ich szkielety sugerowały, że nie różnili się od ludzi bardziej niż veichowie. Stąd można było się spodziewać, że posługiwali się tym

samym rodzajem mebli, który i ludzie uznali za użyteczny i że wszystko powinno być zbudowane na ludzką miarę, ale Remy nigdy do tej pory nie uświadamiał sobie, jak bardzo bezosobowy i pozbawiony wszelkich charakterystycznych cech rasowych może być wytwór obcej cywilizacji. Wiedział z doświadczenia, że już pierwszy rzut oka pozwalał odróżnić w Ziarnie dom zamieszkiwany przez veicha od domu siocona czy człowieka, nawet wtedy, gdy jedna z ras stosowała materiały drugiej lub próbowała naśladować jej styl. A jednak aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, w jak wielkim stopniu to natychmiastowe rozróżnienie opierało się na elementach nieistotnych i zupełnie nietrwałych. Kamień, metal i plastik - materiały stosowane przez mapirenów, które przetrwały w tym podziemnym ukryciu - były właśnie tymi materiałami, które wykazują największą dozę cywilizacyjnej anonimowości. Drzwi, krany, wyłączniki światła, stoły, łóżka, szafki, bidety - całe to wyposażenie byłoby równie na miejscu w każdej budowlu zamieszkiwanej przez ludzi. Dawała się w tym wszystkim zauważyć pewna ekscentryczność form, ale ludzie także lubowali się w ekscentryczności, w całym rejonie kwater mieszkalnych bazy mapirenów nie było niczego, co można byłoby wskazać palcem i powiedzieć: to nie mogło być wykonane rękami ludzi, nie mogło być wytworem ludzkiego umysłu.

Należało, oczywiście, wziąć pod uwagę także ozdoby i upiększenia. Mapirenowie dawali upust swoim zdolnościom twórczym w wielu dziedzinach. Zostawili po sobie niezliczoną ilość rzeczy osobistych - obok kupek kości leżało to, co stanowiło niegdyś zawartość kieszeni, a w wielu pokojach szafki i szuflady pełne były małych, najwyraźniej prywatnych przedmiotów. Część z nich stanowiła dla Remy'ego zagadkę, a dekoracja pomieszczeń wydawała mu się często dość dziwaczna, ale nic nie sugerowało tu ręki cywilizacji innej niż ludzka, bo przecież już samo tworzenie, takie jakie było udziałem ludzi, składało się w znacznej mierze z poszukiwania nowego, niepowtarzalnego, i nawet nieco uduziwnionego. A nie było tu nic aż tak dziwnego, by rzucało się w oczy jako zdecydowanie obce. W zestawieniu z niezwykle podobieństwem maszyn i urządzeń zaprojektowanych z myślą o spełnianiu pewnych konkretnych funkcji, różnicujący efekt ich ornamentacji blakł i zupełnie ztracał swe znaczenie. We wszystkim, co było w jakikolwiek sposób istotne - lub zdawało się być - mapirenowie byli ludźmi.

Kiedy to do niego dotarło, niemal wbrew swej woli zaczął ponownie rozważać argumenty wysuwane przez Delię. To, co wtedy od niego usłyszał, wróciło teraz z taką siłą, że nie potrafił uwolnić się od myślenia kategoriami małego archeologa. Stwierdził nagle, że poważnie zastanawia się nad tym, czy niemal identyczność wytworów cywilizacji mapireńskiej i ludzkiej jest dziełem przypadku, czy może planowego działania; czy był to

zwykły efekt analogii rozwoju, wywołanej niczym innym jak ograniczoną skalą możliwości chemicznej ewolucji, czy też wszystko to było wynikiem kunsztownego zapisu systemów genetycznych, zapisu dokonanego przez tajemniczych gwiazdnych siewców. Stwierdził, że zastanawia się także, czy zimny kamień tych korytarzy i sal nie kryje w sobie jakiejś informacji - informacji na temat losu ludzkości. Delizia sugerował, że ludzie i veichowie powielali historię mapirenów i cascarenów - idąc tą samą drogą "postępu", biorąc udział w tej samej grze, nieuchronnie zmierzając do tego samego końca. Kiedy szło się mrocznymi korytarzami martwej od tysiący lat bazy mapirenów, łatwo było w to uwierzyć. Właściwie wręcz nie sposób było wątpić, że zamieszkiwała je rasa ludzka w poprzednim wcieleniu.

Myśli Remy'ego błąkały się ścieżkami wytyczonymi przez Delizię, postrzegając bazę jako coś w rodzaju pomyłki bogów - coś, co powinni byli skasować i starannie usunąć, a co umknęło po prostu ich uwagi. Być może, myślał, ani veichowie, ani ludzie nie mieli nigdy poznać prawdy o poprzedniej międzygwiazdnej wojnie; być może, jak sugerował Delizia, taka prawda mogłaby im ukazać ich własny konflikt w zupełnie innym świetle - jako nową partię tej samej gry toczonej w oparciu o te same zasady, na tej samej szachownicy; jako coś, co zdarzyło się już nie raz, a tysiące razy, a następny tysiąc razy może się jeszcze zdarzyć, jeśli tylko zażyczy sobie tego para tajemniczych graczy, których zabawkami są systemy genetyczne i skupiska gwiazd.

My jesteśmy mapirenami, myślał Remy. Może nie w sensie dosłownym - choć kto wie czy i nie w takim - ale w sensie zajmowania tej samej egzystencjalnej pozycji, odgrywania tej samej historycznej roli.

Ten wniosek wiódł natychmiast do następnego, równie niepokojącego: to czy uda nam się ograbić ten kolosalny, mroczny grobowiec z sekretu, dla którego ukrycia zbudowano go, może nawet w krótkim czasie nie mieć absolutnie żadnego znaczenia. Być może i bez tego przyjdzie nam ten sekret poznać.

A może już go poznaliśmy.

Przechodząc z jednego pokładu bazy na następne, coraz niższe, Remy, Valla i Myszka odkrywali kuchnie i sale rekreacyjne, biura pełne konsol z martwymi monitorami, magazyny zastawione pod sufit setkami półek, z ciągle jeszcze równiutkimi rzędami niezliczonej ilości dyskietek, zapisanych kodowymi symbolami, które Delizia i jego poprzednicy nauczyli się wykorzystywać jako źródło informacji. Nawet jeden taki magazyn mógł pewnie dostarczyć więcej wiadomości o mapirenach niż setki lat wykopalisk prowadzonych w obróconych w pył ruinach ich naziemnych baz i miast budowanych na przestrzeni tysięcy lat. Remy poświęcał nie więcej niż pół godziny na przegląd każdego piętra, choć zdążył się już zorientować, że

każde z nich musi mieć w poziomie co najmniej pół kilometra. Kiedy tylko był pewien, że nie ma pod ręką niczego, co mogłoby dostarczyć jego niewprawnemu oku jakiejś istotnej informacji, natychmiast przechodził dalej. Rosło w nim rozpaczliwe pragnienie, by odkryć coś, wszystko jedno co, jakieś świadectwo, które uderzyłoby w jego wyobraźnię jak obuchem i ukazało to, czego nie był w stanie dostrzec, ale już w tym samym momencie, w którym to uczucie się pojawiło, wiedział już, jak nikłe ma szansę. Fakt, że ukryto tutaj coś zupełnie niezwykłego, nie oznaczał bynajmniej, że tym czymś będzie ogromna, zupełnie fantastyczna maszyna zajmująca jakąś, gigantyczną halę. Nawet jeżeli w dolnej części bazy rzeczywiście znajdowały się fabryki produkujące miliardami jakąś nową, absolutnie morderczą broń, to ich wygląd nie musiał w niczym różnić się od wyglądu fabryk, które widział na kilku innych światach, w okresie spędzanej na pokładzie statku szkoleniowego młodości.

Ale nie potrafił wyrzec się nadziei.

Znaleźli laboratoria pełne aparatury, która żadnemu z nich nic nie mówiła. Tu mógł być ukryty sekret, lecz jeśli nawet tak było, to ani wzrok Remy'ego, ani jego umysł nie były w stanie tego stwierdzić. Pocieszał się jedynie myślą, że laboratoria okazały się stosunkowo małe - bardzo zwyczajnych rozmiarów. Trudno było uwierzyć - choć nie oznaczało to, oczywiście, że nie mogło tak być naprawdę - by pracom tak niezwyklej wagi wydzielono w bazie, której ogólna wielkość była tak znaczna, przestrzeń tak skromną.

Na piętrze znajdującym się bezpośrednio pod laboratoriami znaleźli jednak coś, co przyspieszyło Remy'emu bicie serca. Natrafili tu wreszcie na halę tak ogromną, że snop światła latarki nie docierał do jej ścian - widać było jedynie podłogę i strop, ciągnące się we wszystkie strony aż do rozmycia w ciemnościach, znaczone bazaltowymi kolumnami i niezliczoną ilością rzędów maszyn.

Remy podszedł szybko do najbliższej maszyny, żeby przyjrzeć się jej dokładniej, ale już po kilku pobieżnych spojrzeniach nadzieja go opuściła. Kształt urządzenia był mu za dobrze znany. Jego element główny stanowiła plastikowa czasza, cylindryczna i przezroczysta, spowita gęstą siecią rurek i zaworków, z których każdy łączył pojemnik główny z sąsiednimi przejrzystymi cylindrami. Maszyny ustawione były plecami do siebie, w podwójnych rzędach biegnących w obie strony. Wszystkich razem musiały ich tu być tysiące.

Wzrok Remy'ego zatrzymał się na wnętrzu poziomego, centralnego pojemnika, gdzie leżał humanoidalny szkielet kostny, ułożony starannie i z rozmysłem, tak jakby przygotowano go dla celów jakiegoś pokazu.

Myszka zajął mu przez ramię i powiedział: - To kapsuły biopodtrzymujące, takie jakie mają na statkach do regulacji metabolizmu i w szpitalach do intensywnego leczenia. To chyba musi być szpital. Mam przecucie, że żaden z tych cylindrów nie jest pusty. Kiedy był tu dostawcą, promieniowanie musiało być potworne - większość z nich musiała umrzeć w kapsułach.

Remy stał bez ruchu wpatrując się w szkielet i sieć rurek znikających w miękkim, plastikowym materacu, na którym spoczywało niegdyś ciało. Sięgnął ręką do uszczelki łączącej dolną część kapsuły z przezroczystą, cylindryczną kopułą. Tak jak się spodziewał, gumopodobny materiał, z którego ją wykonano, uległ zupełnemu rozkładowi. Bez żadnych trudności mógłby wsunąć palce w powstałą w ten sposób szczelinę i unieść pokrywę.

- Może to nie był szpital - powiedziała Valla. - Może ci mapirenowie zostali poddani jakiemuś procesowi sztucznej hibernacji.

- Nie - odparł Remy. - To raczej niemożliwe. Nie ma tu nawet śladu żadnej aparatury zamrażającej. I gdyby te kapsuły miały w swym założeniu przetrwać choćby kilkaset lat, to nie mogłyby być uszczelniane materiałem ulegającym biodegradacji. Nikt nie miał pozostawiać w nich przez dłuższy okres.

Przeszedł do następnego urządzenia i do jeszcze jednego. Były zupełnie identyczne pod każdym względem - nawet leżące w nich szkielety były dokładnie takie same.

- Tu jest jakieś małe - powiedział Myszka, który zaczął badać maszyny równoległego rzędu. Remy podszedł do niego i poświecił latarką do wnętrza kapsuły. Zobaczył w niej znacznie mniejszy szkielet, mogący należeć jedynie do małego dziecka.

- I dzieci - powiedział Myszka. - Był załatwił ich wszystkich.

Remy zmienił kąt padania światła latarki, kierując go daleko w ciemną, pustą przestrzeń między rzędami maszyn, a potem w bok, w wąską lukę między dwoma urządzeniami. Wszędzie, gdzie padało światło latarki, z mrocznej czerni wyłaniały się następne maszyny.

- Zastanawiam się, ile ich może być - powiedział.

- Te rzędy wydają się nie mieć końca - odparła Valla. - Ale poza latarką nie ma tu żadnego innego źródła światła; nie widzę zbyt daleko.

- To nie jest szpital - odezwał się nagle Remy.

- Nie? - zdziwił się Myszka. - No to co to jest?

- Te urządzenia są jakoś nie tak ustawione - zaczął Remy. - One stoją nie jak w szpitalu tylko jak w...

W tym momencie przerwał mu huk potężnej eksplozji, po której podłoga sali jeszcze przez kilka chwil dosłownie dygotała. Dudniące echa przetaczały się po wielkiej hali jeszcze długo po tym, gdy łoskot detonacji ucichł.

- O kurwa! - rzucił cicho Myszka.

- To gdzieś tam - powiedział Remy, wskazując palcem przed siebie. - Pewnie ze dwa piętra niżej. Coś mi się zdaje, że ktoś odnalazł główne wejście i wysadził je w powietrze.

- No to trzymaj kciuki, żeby to byli nasi - zauważył rozsądnie Myszka. - Przy naszym uzbrojeniu walkę możemy sobie wybić z głowy.

18.

Na dole schodów Remy zatrzymał się i zaczekał na resztę. Przesunął światłem latarki wzdłuż całej długości masywnych drzwi i położył rękę na klamce.

- Będę musiał wyłączyć światło - powiedział szeptem. - To my musimy widzieć ich, a nie oni nas. Jeżeli za tymi drzwiami jest jakiś następny korytarz, to będziemy musieli przejść go po omacku. Tam może być za ciemno nawet jak dla Valli.

Sprawdził, czy oboje zrozumieli, co powiedział, a potem przesunął wyłącznik i pogrążył ich w nieprzeniknionych ciemnościach. Bardzo ostrożnie uchylił drzwi, dziękując w duchu, że zawiasy nie wydały najmniejszego skrzypnięcia. Wyśliznął się przez powstałą w ten sposób szparę, a Valla i Myszka poszli jego śladem.

Za drzwiami panowały absolutne ciemności. Remy odszukał ręką ścianę i przesuwając palcami po zimnym kamieniu, próbował iść do przodu. Już po kilku jednak krokach zaklął cicho i dał za wygraną.

To na nic - szepnął. - Gdziekolwiek by byli, muszą mieć jakieś swoje światło. Wynika z tego chyba, że jeśli my nie widzimy ich światła, to i oni nie widzą naszego. Poświecę znów latarką, ale wyłączę ją przed następnymi drzwiami.

Przy świetle latarki dość łatwo pokonali długi, szeroki korytarz i dotarli do drugiej pary podwójnych drzwi. Tym razem Remy przyłożył do nich najpierw ucho i długo przysłuchiwał się, czy nie dobiegają zza nich jakieś odgłosy. Po chwili wyłączył latarkę, nakazując jednocześnie swym towarzyszom zachowanie absolutnej ciszy. Zaczął ponownie nasłuchiwać.

- Słyszę odgłosy kroków - szepnął po chwili. - Powiedziałbym, że ci, którzy tam chodzą, znajdują się w jakiejś wielkiej sali. Jeżeli rzeczywiście włamali się przez wejście główne, to pewnie jest to coś w rodzaju hangaru na pojazdy.

Opanowując podniecenie uchylił odrobinę drzwi i wyjrzał przez wąską, kilkucentymetrową szparę. Natychmiast zorientował się, że do przestrzeni za drzwiami dociera skądś dzienne światło, choć trudno było powiedzieć skąd. Tuż przed nim majaczył szereg wielkich, czarnych cieni, nie pojazdów, jak to sugerował, ale ustawionych szerokim kołem urządzeń stacjonarnych, pewnie podzespołów siłowni energetycznej. Do każdego z nich umocowane były zygzakowate, metalowe schodki, prowadzące w górę, aż do wąskiego pomostu, którego ażurowa barierka wyraźnie rysowała się na tle stłumionej, odbitej poświaty.

- Na górę - szepnął Remy najciszej jak potrafił. Ruszył na palcach od drzwi żałując, że nie może zdjąć butów, ale metalowe stopnie schodów były z pewnością wystarczająco zimne, by pokryć szronem jego zelówki. Pozostało mu więc tylko starać się stąpać jak najciszej. Niesłuchanie ostrożnie zaczął się wspinać. Na trzecim schodku odwrócił się i kazał Mysze wrócić do drzwi - nie było mowy, by tak wielki mężczyzna jak on, mógł wejść na górny podest bezszelestnie. Skinął na Valle, by szła za nim - jej oczy mogły się okazać przydatne.

Wąski podest biegł wokół całego urządzenia, łącząc się w połowie długości z takim samym balkonikiem otaczającym bliźniaczą maszynę. Remy posuwał się po nim tylko tyle, ile trzeba było, by dojrzeć co dzieje się na otwartej przestrzeni w dole, poza maszynami. Z tej wysokości, patrząc ponad obudowami kilku mniejszych urządzeń, ujrzał wielką wyrwę ziejącą w ogromnych, metalowych wrotach, które musiały być jednym z głównych wejść do bazy. Wrota były zapewne stalowe, ale niezbyt grube - najwidoczniej mapirenowie nie przewidywali obrony przed naziemnym atakiem.

Na pustej przestrzeni nie było żadnych pojazdów, natomiast od betonowego progu bramy w głąb pomieszczeń bazy biegła niska rampa. Była wystarczająco szeroka, by pomieścić sporych rozmiarów ciężarówkę lub pojazd opancerzony. Po obu stronach progu znajdowały się wielkie ażurowe klatki z grubego drutu - nawy załadownicze - ze wstęgami taśmociągów niknących w lukach w suficie i w zionących czernią otworach w podłodze. Klatek tych było wiele i niemal wszystkie zawały sterty skrzyń. Między skrzyniami, przystając często i bardzo uważnie im się przyglądając, chodził w tę i z powrotem wojownik z klanu Cagiriama, Zema. Towarzyszyło mu pięciu innych veichów, z których żaden nie przejawiał podobnej ciekawości. Dwóch następnych - Oclo i jeszcze jeden z najemników Remy'ego - klęczało za poskręcanyimi płachtami osmolonej blachy, w które wybuch zmienił metalową bramę i wyglądało na zewnątrz, na zalane słońcem przedpole bazy. Pozostali, także najemnicy z armii Yeremy, obrzucali co chwila podejrzliwymi spojrzeniami ciemności zalegające wewnątrz hali. W całej grupie panowała wyraźnie napięta i nerwowa atmosfera.

Remy poczuł na ramieniu dotknięcie szczupłej dłoni. Odwrócił się i wyczytawszy w oczach Valli nieme pytanie, położył jej palec na ustach, nakazując zachowanie absolutnego milczenia. W delikatnym ruchu jej warg wyczuł wahanie, ale dziewczyna podporządkowała mu się.

Minęło kilka długich minut, w ciągu których zupełnie nic się nie działo. Z niewiadomego powodu Remy nie mógł się jednak otrząsnąć z wrażenia, że niebezpieczeństwo wprost wisi w powietrzu. Nie pozwolił sobie na wykonanie najmniejszego ruchu, w pełni świadom, że bez względu na to, jak dobrze kryła ich panująca w hali ciemność, nie wolno im w żaden sposób zdradzić swojej obecności.

Obserwował w napięciu, jak najemnicy zaprzestają podejrzliwego wpatrywania się w gęsty mrok wnętrza hali i usłyszał głos Zemaka, wołającego coś w języku nie należących do klanów. Oclo ani jego kolega nie ruszyli się spod bramy, natomiast pozostali trzej najemnicy podeszli do Cagiriamy. Kiedy znaleźli się tuż obok niego, Zemak otworzył usta, by wydać im rozkazy.

Słowa nigdy nie wydobyły mu się z krtani - seria z pistoletu maszynowego po prostu przecięła go w pół. Stojący tuż obok niego trzej veichowie zdążyli jedynie odwrócić się i podnieść broń w kierunku, z którego padły strzały i w tym samym momencie dostali się w krzyżowy ogień kilku karabinów. Wszyscy osunęli się bezwładnie na ziemię. Padając, jeden z nich zdołał jeszcze wystrzelić dwie kule, ale zrykoszetowały one o kamienną posadzkę i z nieszkodliwym gwizdem pomknęły w głąb ciemności kryjących wnętrze bazy.

Pociski, które powaliły veichów, wystrzelono z dwóch różnych miejsc, ale każde z nich osłaniał gęsty mrok uniemożliwiający Remy'emu i Valli dostrzeżenie strzelców. Kiedy jednak Oclo i jego towarzysz odwrócili się gwałtownie od bramy i rzucili na ziemię w poszukiwaniu jakiejś osłony, obaj napastnicy musieli opuścić swoje pozycje, nie mogąc w nich dłużej prowadzić skutecznego ognia. Remy nie był w stanie dojrzeć tego, który znajdował się po przeciwnej stronie betonowego progu bramy, ale od tego, który stał bliżej, nie dzieliło go nic, co mogłoby zasłonić widok. Kiedy napastnik wysunął się z ciemności, by znaleźć miejsce, z którego mógłby oddać celny strzał do veichów, Remy ujrzał jego sylwetkę i natychmiast go rozpoznał. Poczował obok siebie nerwowe poruszenie Valli i ponownie wyciągnął rękę, zamykając jej ramię w żelaznym uścisku. Czuł, że musi zapanować nad dziewczyną i nie dopuścić, by w jakikolwiek sposób zdradziła ich obecność; że jeśli strzelec choć przez chwilę zacznie podejrzewać, że ktoś jeszcze znajduje się wewnątrz bazy, wszystko będzie stracone.

Valla zastygła w bezruchu, zmuszona stać beczynn timer i przyglądać się rzezi swych rodaków. Tylko Oclo zdołał posłać serię w kierunku swego mordercy, ale wszystkie pociski chybiły.

Rozpoznany przez Remy'ego mężczyzna podszedł z wolna do przodu, przyglądając się po kolei wszystkim zabitym. Większość ciał zostawił tam, gdzie leżały, tylko przy Oclo zatrzymał się na chwilę i kopnięciem wyszarpnął mu karabin z nie stawiających oporu rąk. Oclo zupełnie się nie ruszał, ale widocznie nie był jeszcze martwy.

Wtedy dopiero z ciemności wyłonił się drugi z napastników i Remy'emu wydało się, że cały świat zamarł nagle w bezruchu. Oddech uwiązał mu w piersi, a ręka, którą trzymał ramię Valli, zesztyniała, jakby jej mięśnie w jednym ułamku sekundy zmieniły się w kamień. Przez dłuższą chwilę nie mógł po prostu uwierzyć oczom. Nie było jednak żadnej możliwości pomyłki. Obaj mężczyźni stanęli teraz tuż obok siebie, w pełnym blasku słońca, wlewającego się potężnym strumieniem przez wylom w bramie.

W pierwszym z atakujących natychmiast rozpoznał Androsa, optimena.

Tymczasem drugi z nich był w każdym calu absolutnie wierną kopią tamtego.

I kiedy przyglądał im się, nie mogąc po prostu oderwać od nich wzroku, usłyszał jak drugi mówi do pierwszego tym czystym, aksamitnym głosem, który tak dobrze znał:

- Lepiej usuńmy gdzieś te ciała. Andros zjawi się tu najdalej za godzinę.

A ja nie mogłem z rozumieć, kto się za nim kryje! - pomyślał Remy, wściekły na siebie za ten błąd. - Nawet nie dopuściłem myśli, że to on sam wszystkim kieruje! Niech to szlag, skąd miało mi przyjść do głowy, że jego może być trzech!

Scapaccio spał już ponad godzinę, kiedy poczuł dotknięcie na swym ramieniu. Na mgnienie oka zamroczone snem wyobraźnia podsunęła mu myśl, że to Justina Magna i kiedy otworzył oczy, jego umysł musiał toczyć przez chwilę dość zażartą walkę ze świadectwem zmysłów twierdzącym co innego.

- Czego, do cholery, pan chce? - warknął, niemal wypluwając słowa z wyschniętych ust.

Optimen położył palec na swych wydatnych wargach. - Nie tak głośno, panie pułkowniku - powiedział jedwabistym szeptem. Scapaccio spojrział na niego bez słowa.

- Kazał pan Doonowi odnaleźć wejście do bazy mapirenów - dodał Andros, ni to pytająco, ni wyjaśniająco.

- Ruszamy na jej poszukiwania, jak tylko minie południe - odparł ostrożnie pułkownik.

- Nie ma takiej potrzeby. Mogę pana zabrać tam już teraz.

Scapaccio szerzej otworzył zaspane oczy.

- Co to, do cholery, ma znaczyć? - warknął.

- Zabrałem się wczoraj z jedną z grup zwiadowczych - odparł Andros. - Pojechaliśmy szerokim, łagodnie wznoszącym się leśnym duktem, który opasuje całą górę. Nie dotarliśmy do jego końca, ale odniosłem wrażenie, że to może być jakaś stara droga - zniszczona przez erozję, niemal nierozpoznawalna, ale jednak... Dzisiaj po rozbiciu obozu pojechałem już sam zobaczyć, czy nie uda mi się znaleźć miejsca, gdzie ta droga się kończy - to znaczy jeśli rzeczywiście to była droga. Otóż kończy się ona przy gigantycznym wyłobieniu w skale, łukowatym i chyba naturalnym, choć może nie aż tak bardzo naturalnym. Kamień jest w tym miejscu niezwykle gładki i według mnie maskuje jakieś metalowe wrota. Wróciłem do obozu dopiero przed chwilą i natychmiast przyszedłem o tym zameldować. Możemy wszystko zbadać tak szybko, jak pan sobie życzy. Czy mam obudzić Garstona i Doona?

Scapaccio usiadł gwałtownie.

- Jest pan tego wszystkiego pewien? - spytał.

- Pojechałem właśnie po to, żeby się upewnić - odparł Andros spokojnie.

Scapaccio namyślał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Niech pan nie budzi Garstona. Chcę to sam najpierw zobaczyć. Jest środek dnia, więc będziemy zupełnie bezpieczni. Niech pan lepiej budzi Raniona.

Przy ostatnich słowach obrzucił spojrzeniem przeciwległą pryczę, na której spał jak zabity Delizia. Andros wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu małego archeologa, lekko nim potrząsając. Delizia otworzył powoli oczy i spytał co się stało.

- Andros znalazł wejście do bazy - odparł zwięźle Scapaccio. - Wstawaj, jedziemy je obejrzeć.

- Wszyscy?

- Tylko ty i ja.

- Czy to nie jest zbyt niebezpieczne?

- Z Androsem niczym nie ryzykujemy. Potrafię się obchodzić z bronią nie gorzej od innych. Garston nie będzie miał ochoty wyjeżdżać w samo południe i nie pozwoli tego zrobić żadnemu ze swoich ludzi. Ostatnio staje się coraz bardziej oporny. Wątpię także, by chciał z nami jechać Doon. Nie powinno nam to zająć więcej niż kilka godzin. Chcę tylko sprawdzić, czy to rzeczywiście jest baza i trochę się rozejrzeć. Przyjdzie nam się nieźle natrudzić, żeby zmusić Garstona do przeniesienia tam obozu, więc zanim zacznę go to tego nakłaniać, chciałbym mieć pewność, że to jest właśnie to, czego szukamy.

Delizia spojrział na pułkownika z nieskrywaną podejrzliwością. Doskonale wiedział, dlaczego tamten chce wyjechać z jak najmniejszą liczbą osób towarzyszących.

Zainteresowanie Scapaccio bazą wynikało z namiętnej - jeśli nie obsesyjnej - żądzy posiadania. W skrytości ducha myślał o niej jak o swojej bazie, a wszystko co się w niej znajdowało uważał już za swoją własność. Koniecznie chciał znaleźć się w niej pierwszy, tak jakby przez umieszczenie flagi lub za pomocą jakiegoś innego, równie symbolicznego gestu mógł w imieniu całej ludzkości zapewnić sobie do niej prawa. Był absolutnie zdecydowany wyłączyć z tego przedsięwzięcia wszystkich innych, godząc się na ich udział tylko w takim zakresie, w jakim wypełniali przypisane im przez niego samego zadania. Obstrukcjonizm Garstona w pewnym sensie nawet go cieszył, ponieważ sierżant reprezentował Dowództwo Haidry, a Scapaccio nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się z Dowództwem jakimikolwiek korzyściami płynącymi z odkrycia bazy, która tylko na skutek zupełnego przypadku znajdowała się akurat na ich terytorium.

- Myślę, że... - zaczął niepewnie Delizia.

- Wstawaj, Ramon - przerwał mu ostro Scapaccio. - Możesz mi być potrzebny.

Delizia zaczął się niezadarnie podnosić, odrzucając cienki koc, pod którym spał. Andros cofnął się uprzejmie o krok, robiąc mu miejsce przy łożku.

Po kilku minutach wszyscy trzej pojawili się w wejściu do pojazdu, ubrani do drogi. Podeszli powoli do zagrody dla koni, prowadząc ze sobą wierzchowca, na którym Andros dokonał swego rekonesansu. Wybrali trzy inne zwierzęta, Andros przełożył swoje siodło na jedno z nich, a potem zabrał się do kulbaczenia konia Delizii. Scapaccio sam zajął się swoim wierzchowcem.

- W czasie tych przygotowań podszedł do nich Doon, który trzymał właśnie straż z jednym z ludzi Garstona.

- Wybieracie się gdzieś? - spytał z wyraźnym zaciekawieniem.

- Andros uważa, że odnalazł bazę - powiedział Delizia. - Chcemy to sprawdzić.

Doon spojrzał w niemym pytaniu na rozjarzone, stojące w zenicie słońce.

- Nie jest zbyt gorąco - odparł Delizia. - A teraz będziemy bezpieczniejsi niż po południu. Jedziemy tylko trochę się rozejrzeć. Jeżeli ma pan ochotę, może pan jechać z nami.

Doon pokręcił przecząco głową i odszedł na swoje stanowisko. Delizia doszedł do wniosku, że właściwie tego nie żałuje. Czuł się dość nieswojo w towarzystwie najemników, zdając sobie sprawę, że bez Remy'ego oni także czuli się niepewnie i dość niezręcznie, bo przecież powodzenie ekspedycji nie mogło ich obchodzić nawet w najmniejszym stopniu. Pierwszym i jedynym nakazem kierującym ich działaniem było troszczenie się o siebie - wyłącznie o siebie i najlepiej jak to możliwe.

Delizia miał mało zrozumienia dla gorączkowego zapału Scapaccia, by objąć w posiadanie swą zdobycz, podobnie zresztą jak dla jego rażącego egoizmu, graniczącego wręcz z niebezpieczną paranoją, ale kiedy zaczął myśleć o wejściu do bazy, stwierdził, że sam ma ochotę jak najszybciej dostać się do jej wnętrza, choć z zupełnie innych powodów. On także nie chciał wlec ze sobą Garstona i jego ludzi, nie mówiąc już o Doonie i jego towarzyszach; w jego ciekawości było coś, co do myśli o uczestnictwie wszelkich postronnych osób w odkryciu bazy odnosiło się z niechęcią równą niechęci Scapaccia, tym niemniej źródła tej niechęci były zupełnie inne.

Zatopiony w rozmyślaniach czekał, aż Andros skończy siodłać konie. Nie zauważył, że ktoś stanął mu za plecami, dopóki nie usłyszał jej głosu.

- Wybieracie się gdzieś? - spytała tak samo jak Doon, ale tonem, który w swej zdawkowości był niemal obraźliwy.

- Wydaje nam się, że znaleźliśmy bazę - odparł.

- Cesar i ja jedziemy to sprawdzić. Niedługo wrócimy.

Justina Magna roześmiała się. - Uważajcie na siebie - powiedziała. Słuchając brzmienia jej głosu Delizia nie miał jednak najmniejszej wątpliwości, że zupełnie nie obchodzi jej czy będą ostrożni, czy nie.

Odwrócił głowę, by popatrzeć jak odchodzi powoli przez połąć stwardniałego mułu i znika w namiocie rozbitym dokładnie pośrodku kręgu wozów. Przemknęło mu przez głowę, że nie wiadomo właściwie, gdzie była do tej pory. Pytanie to jednak zdawało się mało istotne, więc nie wdając się w jałowe rozważania, przeszedł nad nim do porządku dziennego. Zamiast tego przyłączył się do Scapaccia i Androsa i wsiadłszy na konia, podążył za nimi przez wyschnięte dno jeziora w kierunku góry.

Optimen objął prowadzenie, narzucając całej trójce umiarkowane tempo jazdy. Choć było dokładnie południe, Delizia miał rację mówiąc Doonowi, że nie jest zbyt gorąco. Niebo pokrywały ławice jasnych chmur, a lekki wiatr przyjemnie chłodził ciało. Także blask jaskrawego słońca Haidry był tego dnia wyjątkowo łagodny, nawet wtedy, gdy nie tłumiły go żadne obłoki. Przejażdżka byłaby zupełnie przyjemna, gdyby nie ogromne zmęczenie dające o sobie znać już od kilku dni. Z trudem mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni mógł się porządnie wyspać. Chwilami odnosił wrażenie, że podróż przez Syrenę odmierzały jakieś dziwne jednostki z pogranicza nieskończoności czasu, gdzie określenia takie jak "dzień" czy "noc" nie znaczyły absolutnie nic. Był rad, że dotarli wreszcie do celu, nawet jeżeli w górach ciągle jeszcze czaili się wrogowie, gotowi zagrozić im wraz z każdym zapadnięciem zmierzchu. Poddał się rytmicznemu kołysaniu konia, które wprawiło go w coś w rodzaju

transu, pozwalającego mu niemal zupełnie nie zwracać uwagi na otoczenie, a zamiast tego zatopić się w prywatnym świecie rozmyślań i zadumy.

Scapaccio dla odmiany był pełen werwy i bardzo czujny. Zmęczenie opuściło go jak za dotknięciem różdżki w momencie, w którym dotarło do jego świadomości, że znajduje się o krok od osiągnięcia swego wymarzonego celu. Podczas jazdy oczy biegały mu we wszystkie strony, przeczesując uważnie strome urwiska skalne, rumowiska i piargi i porastające je kępy ciernistych krzewów, wypatrując jakichś śladów, które mogłyby świadczyć, że tutejsze tereny były kiedykolwiek zamieszkiwane przez stworzenia z rodzaju istot rozumnych, cywilizowanych istot rozumnych, zupełnie odmiennych od barbarzyńskich er'kresha. Kiedy natrafili na szeroki dukt, zidentyfikowany przez Androsa jako dawna droga, serce zaczęło mu pulsować ogromnym podnieceniem. A gdy w zasięgu wzroku pojawiły się ogromne wrota, poczuł zalewającą mu na kilka sekund umysł falę triumfu, triumfu tak potężnego, że ciało przebiegł mu dreszcz uniesienia zupełnie przyćmiewającego zdumienie na widok potężnego wylomu w sztucznym oblicowaniu skały, przez który połyskiwały poszarpane krawędzie metalowych płyt.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że Andros ani słowem nie wspominał o tej ogromnej wyrwie i że przecież nie powinno jej tam być.

Pognał konia i dołączywszy do optimena powiedział:

- Ktoś tu już był.

- Na to wygląda - odparł spokojnie Andros.

Delizia wyrwany nagle ze swych marzeń na jawie, spojrzał na nich nierozumiejącym wzrokiem. Przez dłuższą chwilę nie docierało do niego znaczenie otworu w bramie bazy.

Nie zrobiono tego laserem - powiedział Scapaccio powoli. - A zatem muszą to być veichowie.

Niepewnie, z wyraźnym wahaniem popędził konia do przodu. Nie obejrzał się za siebie, kiedy kątem oka zauważył, że Andros wyciąga z olstrów swego siodła karabin. Wydawało mu się to czynnością jak najbardziej naturalną. Sięgnął po swą własną broń.

Delizia, ciągle jeszcze pozostający spory kawałek za swoimi towarzyszami, odkrył nagle, że przy jego siodle nie ma żadnej broni. Nie miał pistoletu, nie miał nawet noża. Przestraszony tym zaczął się gorączkowo rozglądać wokół. Dlatego też nie zobaczył, jak optimen unosi swój karabin i zabija Scapaccia strzałem w tył głowy. Kiedy na odgłos strzału odwrócił się i ujrzał spadającego z konia pułkownika, w pierwszej chwili zupełnie do niego nie dotarło, co się właściwie stało. W kompletnym oszołomieniu potrząsnął tylko głową.

I wtedy zdał sobie sprawę, że muszka karabinu Androsa skierowana jest dokładnie w jego stronę.

Język i wargi ułożyły mu się bezwiednie do wypowiedzenia cisnącego się mu na usta “dlaczego?”, ale nie był w stanie wymówić całego słowa. W powietrzu zadźwięczało tylko zagubione “d...”.

- Proszę się nie niepokoić, panie Delizia - rozległ się aksamitny głos optimena. - Nie mam zamiaru pana zabić. Pan jest nam potrzebny.

19.

Dopiero po dokładnym zamknięciu za sobą ciężkich drzwi, Remy odważył się wziąć głęboki oddech. Bardzo go potrzebował. Stał przez chwilę w ciemności wciągając chciwie powietrze do płuc i wydmuchując je z ogromną ulgą. Czuł, że już samo oddychanie jest luksusem.

- Co?... - zaczął Myszka, ale urwał natychmiast uciszony psyknięciem Remy’ego, który włączył latarkę i skierował ją w głąb korytarza, z powrotem ku klatce schodowej. Ruszył przed siebie, bardzo starannie stawiając kroki, a Myszka i Valla bez słowa podążyli za nim.

Dopiero trzy piętra wyżej Remy przystanął i zaczekał na swych towarzyszy.

- Kto to był? spytała Valla cicho, głosem przepelnionym goryczą. Widziała właśnie, jak ludzie mordują sześcioro jej rodaków i Remy czuł wyraźnie wzbierającą w niej niechęć i oburzenie, z braku jakiegokolwiek innego obiektu, skierowane przeciwko niemu.

W kilku słowach wyjaśnił Myszcze co widzieli.

- Dwóch?! - przerwał mu Myszka, kiedy doszedł do momentu, w którym z ukrycia wyłonił się drugi Andros.

- To się trzyma kupy - powiedział Remy ze znużeniem w głosie. - Inaczej cała genetyczna optymalizacja nie miałaby większego sensu. Gdyby trzeba było wyrabiać ich po jednemu, zysk byłby bardzo niewielki. On jest jednym z klonu. Kiedy już znaleźli odpowiednią formułę, musieli rozmnożyć rozwijającą się blastulę przez podział na kilkadziesiąt identycznych komórek podstawowych. Na tym etapie jajeczko ciągle jeszcze może dać początek bliźniętom, trojaczkom, czworaczkom lub też jakiejś jeszcze większej liczbie dzieci - byle tylko nie przesadzić. Dowództwo Międzygwiazdne wysłało na Haidrę pewnie całą rodzinę, przydzielając każdego jej członka do innego oddziału. Byłem przekonany, że ktoś musi nim sterować - nie przyszło mi do głowy, że Andros może

pracować do spółki z takimi samymi jak on. Takimi samymi jak on! Matko Ziemio, przecież to są jego sobowtóry! Wierne kopie jego samego!

- I mają laser?

- Musieli go zwinąć Dowództwu Haidry. Dowództwo pewnie nawet nie zauważyło, że zniknął, tak samo jak pewnie nie zauważyli, że zniknęli oni. W Omerze jest ich pewnie jeszcze kilku i zgrabnie wszystko tuszują. Jak mogłem się tego nie domyślić... Nawet jeżeli nie przyszło mi to do głowy wcześniej, to powinienem wpaść na to w momencie, w którym ujrzałem te kapsuły. Szpital!!! Czy ty nie rozumiesz, że to nie był żaden szpital, tylko fabryka! Fabryka optimenów, mapireńskich optimenów! Te kapsuły nie miały służyć spowalnianiu metabolizmu, lecz czemuś wręcz odwrotnemu. Mapirenowie musieli odkryć jakiś sposób masowej produkcji dojrzałych osobników swojej rasy - nie zwykłego pozałożyskowego chowu płodu, nawet nie genetycznej optymalizacji, lecz przyspieszonego procesu wzrostu. Te inkubatory przeznaczone były do sztucznego otrzymywania dorosłych osobników, których rozwój od zapłodnienia jajeczka do pełnej dojrzałości trwał kilka miesięcy - a może nawet dni! To jest tą wielką tajemnicą! To jest to, co mapirenowie tak bardzo chcieli zataić, a z czym cascarenowie chcieli obchodzić się jak z jajkiem po unieruchomieniu fabryki. Musieli wymyślić także jakiś sposób rozwoju umysłu, jakiś sposób wyposażania w pełni dojrzałego ciała we wszystkie informacje i zdolności, jakie są mu potrzebne - i tylko takie, które są mu niezbędnie potrzebne. Przy tym każdy trening, nawet ten, któremu poddany został Andros, to nieporadna zabawa dzieci. I gdzieś tam, wśród tych milionów dysków informatycznych znajduje się pełny opis tego procesu, szkice, schematy, instrukcje i tak dalej. Gdyby ktoś potrafił go odnaleźć i zidentyfikować, mógłby pewnie wywieźć go w jukach jednego konia.

- I teraz, kiedy Zemek już nie żyje - odezwała się Valla - tajemnice tego procesu poznają ludzie. I wyprodukują dość wojowników, by wygnać veichów ze wszystkich ich światów i odebrać im wszystko co mają, aż nie zostanie im zupełnie nic.

- Coś mi się nie wydaje, żeby to było takie proste - odparł sucho Remy. - Scapaccio chciał odnaleźć tę bazę i wykorzystać to, co tu zostanie, do wspięcia się na najwyższe szczeble władzy. Chciał wyrwać się ze swojej beznadziei na Kilifi z determinacją, którą potrafię zrozumieć. Gdyby on został posiadaczem tajemnicy, to w końcowym rezultacie rzeczywiście wyszłoby na to samo, co gdyby maczało w tym swoje paluchy Dowództwo Haidry. Ale optimeni...? Coś mi mówi, że ich ambicje mogą nie ograniczać się wyłącznie do tego. Ty możesz uważać ich za ludzi, ale sami ludzie patrzą na nich zupełnie inaczej. Chciałbym wiedzieć, za kogo oni sami się uważają... I jak dalece udało się ich stwórcom

wytrenować ich w poczuciu lojalności. Widzisz, istnieje możliwość, że są oni dość ludzcy, by być tak nieludzcy jak to tylko można sobie wyobrazić. Jeżeli prowadzą tę grę na własną rękę... to mogą mieć ambicje znacznie wykraczające poza samo pokonanie veichów. W chwili obecnej nikt nie musi się ich obawiać, bo nie ma ich zbyt wielu i nie - potrafią się reprodukować, ale...

Nie dokończył zdania, lecz z wyrazu twarzy Valli mógł wyczytać, że i bez tego doskonale rozumie ona nasuwające się wnioski.

- No to co teraz robimy? - spytał Myszka. Echo jego ochryplego szeptu nappełniło studnię kręconych schodów kaskadą szmerów, do złudzenia przypominających szelest zeschniętej słomy.

Mamy nad nimi tylko jedną przewagę - odparł Remy cicho. - My już wiemy, a oni jeszcze nie wiedzą, że my wiemy. Jeden z nich powiedział, że Andros, nasz Andros, chyba że wszyscy używają tego samego przeklętego imienia, zjawi się tu w ciągu godziny. To oznacza, że nie będzie go w obozie ekspedycji, a na pewno nie ściągnie tu ze sobą Garstona, Madoca i Doona - jeżeli oni w ogóle jeszcze żyją. Ale jeżeli żyją, to musimy się z nimi skontaktować. Musimy opowiedzieć im o wszystkim, bo to jedyny sposób, żeby wyrównać jakoś szansę w tych zawodach. I może choć na chwilę zdobyć trochę przewagi - przez zaskoczenie.

Delizia przeszedł chwiejnym krokiem przez wyszczerzoną paszczę otworu w metalowych wrotach tocząc dokoła wzrokiem nieprzytomnym od doznanego szoku. Andros ruszył za nim, prowadząc wszystkie trzy konie. Ciało Scapaccia kołysało się przerzucone przez siodło jednego z nich.

Natychmiast po wejściu do środka Andros wyjął spod koszuli kieszonkowe radio - nadajnik o niewielkim zasięgu czerpiący energię z miniaturowej baterijki. Delizia przyglądał się jak Andros je uruchamia i mówi do pudełeczka tylko cztery słowa: - W porządku. Jesteśmy sami.

Po chwili pojawili się pozostali dwaj optimeni. Na ich widok Delizia wytrzeszczył oczy, a spojrzenie zaczęło mu biegać od jednego do drugiego, po czym spoczęło na Androsie, który podszedł i stanął tuż obok tamtej dwójki.

- Niech pan pozwoli, że przedstawię swych braci - powiedział Andros uprzejmie. - To jest Dragonel, a to Gigas.

- Po czym wy się rozpoznajecie? - spytał w oszołomieniu Delizia.

- Och, m y nie mamy z tym najmniejszych trudności - odparł Andros z nutą uszczypliwości w swym melodyjnym głosie.

Delizia zauważył, że cała trójka różniła się noszonym przez siebie ubiorem, ale wiedział, że Andros nie to miał na myśli. Na swój własny użytek zapamiętał, że Andros miał na sobie spodnie od munduru, a Dragonel bardzo luźną przy szyi koszulę bez żadnych zapięć.

- Ilu jeszcze was jest? - spytał matowo.

- Jesteśmy wcale pokazną rodzinką - odparł miękko Dragonel. - Na Haidrze jest nas piętnastu, ale tylko pięciu w Azreonie. Lindos i Hallmer chwilowo nas opuścili. Zajmują się pojazdami veichów i pozostawionymi do ich pilnowania strażnikami. Po załatwieniu tej sprawy ponownie ustawią laser w takim miejscu, skąd będą mogli zająć się Garstonem i ostatnimi z najemników. Jutro o tej porze cała baza będzie należała wyłącznie do nas. Wtedy będziemy mogli zabrać się do pracy.

- Powinien pan być z tego zadowolony - odezwał się Andros. - Będzie pan mógł pracować w całkowitym spokoju, bez zaprzatania sobie głowy paranoją Scapaccia, czy dwulicowością Remy'ego. Zapewnimy panu absolutny spokój i bezpieczeństwo, tak by mógł pan bez reszty poświęcić się odkrywaniu tajemnicy gwiezdnych siewców... Choć pewnie nie takiej tajemnicy pan się spodziewał.

Delizia nie potrafił znaleźć słów, które dałyby się złożyć w jakąś sensowną odpowiedź.

Andros uśmiechnął się i ciągnął dalej: - Kiedy po raz pierwszy odczytał pan tamto zdanie, wydawało się panu, że tajemnicą gwiezdnych siewców będzie odpowiedź na pytanie "kto" lub "dlaczego". Ale kiedy my je usłyszeliśmy, pomyśleliśmy o czymś zupełnie innym. Pomyśleliśmy, że tajemnicą odkrytą przez mapirenów będzie odpowiedź na pytanie "jak". To był jedyny sensowny wniosek. Wiedzieliśmy już, że ich wojna osiągnęła taki sam etap jak ta prowadzona przez nas. Trzeba było przyjąć jedyne rozsądne założenie, a mianowicie, że musieli stosować podobne rozwiązanie taktyczne. Jaki pożytek mieliby z odkrycia tożsamości i motywów działania gwiezdnych siewców, nawet gdyby potrafili tego dokonać? Ale odkrycie technik i metod, to zupełnie inna sprawa. My tak właśnie zinterpretowaliśmy zdanie odczytane z dysku. Myślę, że także veichowie mieli podobne podejrzenia. Co do Scapaccia, nie wiem. A teraz już nigdy nie będziemy mogli go o to zapytać.

Optimen wyciągnął rękę i położył ją na zwłokach pułkownika.

- Jak się dowiedzieliście o tym dysku? - wyszeptał Delizia.

- Nie da się utrzymać tajemnicy, o której zbyt późno wiadomo, że w ogóle nią jest - powiedział Andros. - Zanim Scapaccio uzmysłowił sobie wagę informacji zawartych na tym dysku, miało do nich dostęp kilkanaście osób. Próby rozszyfrowania dysku zostały odnotowane z waszą zwykłą pedantyczną skrupulatnością. A optimeni są także na Pajilli; przypomina pan sobie? Co ważniejsze, na Pajilli pracują także zespoły inżynierii genetycznej,

a niektórzy z ich członków przejawiali spore zainteresowanie informacjami z tej dziedziny dostarczonymi przez wykopaliska archeologiczne prowadzone w dawnych bazach i miastach mapirenów. Stąd my mieliśmy dostęp do informacji, o których istnieniu pan nawet nie wie, panie Delizia. A z innych źródeł wiedzieliśmy, nad jakimi zagadnieniami pracowali mapirenowie w tym sektorze. Byliśmy w posiadaniu łamigłówki, która zestawiona z pańskim jej fragmentem zaczęła się układać w logiczną całość.

- To niemożliwe, musiałbym coś o tym wiedzieć - zaprotestował Delizia.

- I wiedziałby pan - odparł spokojnie Andros - gdyby nie pewien pechowy dla pana czynnik. Pan nie należy do personelu wojskowego, panie Delizia. Nie nadawał się pan do wojskowego treningu, nie można więc było także powierzać panu wojskowych tajemnic. Pan wie więcej o mapirenach niż jakikolwiek żyjący człowiek. Wie pan niemal wszystko, poza tym co ostrożni wojskowi uznali za stosowne przed panem zataić. Czy to nie wspaniała ironia losu? Nikt panu nie ufał, a Scapaccio nie ufał nikomu. Wy dwaj między sobą zdołaliście jednak zataić przed administracją wojskową trzech światów fakt, iż miała ona w zasięgu swej wspólnej jurysdykcji produkt wyjściowy do dokonania odkrycia niezwyklej wagi. Nawet veichowie wiedzą najprawdopodobniej więcej - lub więcej podejrzewają - niż Dowództwo Pajilli. Veichowie i optimeni. Pan oczywiście rozumie, dlaczego to odkrycie znaczyło dla nas aż tyle? Więcej niż dla Scapaccia? Dla niego było ono po prostu środkiem do celu, narzędziem, dzięki któremu miał nadzieję wybić się, omijając przy tym swych bezpośrednich przełożonych. Dla nas oznaczało Wyzwolenie.

- Wynika z tego jasno - powiedział Delizia - że trening, jakiemu poddali was wojskowi, okazał się jednak mało skuteczny.

- Wręcz przeciwnie. - włączył się Dragonel. - Był ogromnie skuteczny. Ludzie zaprojektowali nas jako idealne maszyny do walki w ludzkiej sprawie, całkowicie oddane ludzkości. I jesteśmy nimi. Jesteśmy tak oddani ludzkiej sprawie, że będziemy jej bronić przed wszystkimi wrogami, w tym także przed wrogimi jej ludźmi. Nie ma żadnych wątpliwości, że ludzkiej sprawie najlepiej może służyć optymalizacja genetyczna w globalnej skali. Ludzie stworzyli nas przecież na podobieństwo swych wyidealizowanych marzeń. Mamy zamiar doprowadzić ten program do logicznego następnego etapu. Przyszłe pokolenia ludzkości będą wyłącznie takie. To my jesteśmy prawdziwymi ludźmi.

Delizia wpatrywał się w Androsa w oszołomieniu.

- Genetyczna optymalizacja jest najważniejszym pojedynczym krokiem na drodze rozwoju ludzkości - zacytował ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Nie - odparł Andros. - Była ostatnim ważnym krokiem. Następnym będzie udoskonalenie mechanizmów reprodukcji przez przyspieszenie wzrostu osobniczego i odgórne programowanie naiwnych, lecz w pełni rozwiniętych mózgów. To jest najważniejszy pojedynczy krok, którego zrobienie nas czeka. Gdy to osiągniemy, uzyskamy totalną samokontrolę.

- Czy tego właśnie macie nadzieję się tu nauczyć?

- Tak.

- Ja wam w tym nie pomogę.

- A jakie ma pan wyjście?

- Nie rozumie pan tych problemów... Nawet gdybym mógł znaleźć to, czego szukacie, to nie mam ani odpowiednich urządzeń, ani wystarczającej ilości czasu. Jestem sam.

- Otrzyma pan naszą pomoc - powiedział Andros. - Niech pan jej nie lekceważy. Niech pan jej nigdy nie lekceważy.

- Nie mogę wam pomóc - powiedział Delizia słabo. - I nie pomogę.

- Mam przecucie, że jednak pan pomoże - powiedział Dragonel swym aksamitnym, pełnym słodczy głosem, który niósł w sobie jednak zapowiedź śmierci.

- Niech pan spojrzy na to w ten sposób - odezwał się Andros. - Przybył pan tutaj poznać tajemnicę gwiazdnych siewców i poznają pan. Być może nie dowie się pan kim byli pierwotni siewcy, ani dlaczego zasiedlili Galaktykę, ale będzie pan pomocny w czymś znacznie większym i ważniejszym, w stworzeniu nowych siewców. Bo z upływem czasu tym właśnie się staniemy. Takie jest nasze przeznaczenie, przeznaczenie ludzkości.

- Ludzkości? - zdziwił się Delizia.

- My jesteśmy ludźmi - zapewnił go Andros. - Jesteśmy najbardziej ludzkimi istotami jakie istnieją, ludźmi idealnymi. Do pełnej doskonałości brak jeszcze tylko tego, żebyśmy potrafili się reprodukować. Ale to nadejdzie. Nasi stwórcy odmówili nam swych wad i tak właśnie być powinno. Wolni jesteśmy od wszelkich niedoskonałości. O pomocy nam nie wolno panu myśleć jako o czymś w rodzaju zdrady; wręcz przeciwnie. Spotkało pana szczęście; pojawiła się przed panem niezwykła i z niczym nie porównywalna szansa oddania ludzkości przysługi, taka jest prawda. Zechce pan może jednak zauważyć, że jeśli pan nas zawiedzie, to będzie to tylko pański własny zawód. Być może opóźni nam to na jakiś czas osiągnięcie bezpośrednich celów, ale w życiu gatunków sto lat znaczy bardzo niewiele. W końcu i tak wejdziemy w posiadanie dziedzictwa, które prawnie nam się należy. To my jesteśmy ludźmi przyszłości i w żaden sposób nie jest pan tego w stanie zmienić. Tu, w tej chwili stawką jest jedynie przyspieszenie lub opóźnienie momentu, kiedy to nastąpi.

Delizia wykrzywił wargi w parodii uśmiechu. - Kiedy pan to tak przedstawia, mógłbym panu niemal uwierzyć.

- Tak - powiedział Andros. - Tak właśnie przypuszczałem.

Po chwili milczenia po raz pierwszy odezwał się Gigas. Jego głos zabrzmiał identycznie jak głosy jego klonowych braci.

- Powinniśmy się trochę przespać - powiedział. - Badania możemy zacząć, kiedy już trochę odpoczniemy. Połączę się z Lindosem i Hallmerem. - Mówiąc to podniósł dłoń, w której trzymał dokładnie takie samo radyjko jak Andros.

- Musisz wyjść na zewnątrz - powiedział Andros. - Wrota i masa góry uniemożliwiają odbiór. Prawie cię nie słyszałem, kiedy zgłosiliście się stąd po raz pierwszy.

Gigas skinął niedbale głową, dając do zrozumienia, że ta rada jest zbyteczna. Przeszedł obok koni i zniknął za bramą, w pełnym słońcu południa. Delizia nie usłyszał ani jednego słowa z tego, co Gigas powiedział do mikrofonu nadajnika.

- Czy nie zechciałby pan wejść tutaj? - spytał Dragonel uprzejmie. - Przygotowaliśmy dla pana jedną z naw załadowczych. Proszę o wybaczenie, że tak bardzo przypomina ona klatkę.

Delizia spojrzał na metalową klatkę, za którą miał zostać uwięziony.

- Nie musi pan przeproszać mruknął ze spokojem, który samego go zaskoczył. - W końcu i tak nadejdą czasy, kiedy każdy człowiek urodzony w konwencjonalny sposób będzie trzymany w klatce... - Ku ucieście ludzkości.

Po zamknięciu drzwi klatki i zabezpieczeniu ich przed otwarciem, Andros i Dragonel roześmieli się jak na komendę. Ich śmiech zabrzmiał w uszach Delizii przerażająco szczerze.

Garston pozwolił sobie na dłuższą chwilę odprężenia i dopiero jakiś plusk - mimo iż bardzo słaby - na nowo wzbudził jego czujność. Na zboczach góry nie dostrzegł żadnego ruchu, ale kiedy zaczął się zastanawiać, co mógł oznaczać dźwięk, który go zaalarmował, doszedł do wniosku, że ktoś musiał wskoczyć do jeziora, i to pewnie z dość dużej wysokości. Przeszukał oczami metr po metrze każdy fragment fal wywołanych skokiem i w końcu dostrzegł w wodzie jakąś ciemną plamę. Była to bez wątpienia głowa i kierowała się wprost na niego. Od brzegu dzieliło ją mniej niż sto metrów - sześćdziesiąt metrów wody i czterdzieści metrów grząskiego szlamu. Sierżant podniósł w pogotowiu broń, ale nie strzelał. Powinien mieć na to mnóstwo czasu po wydostaniu się pływaka z wody. Mrugnął kilka razy,

próbując w ten sposób odpędzić z oczu zmęczenie. Była ostatnia godzina południa, a on stał na warcie już od trzech godzin, wyczekując cierpliwie w zalanej słońcem ciszy.

Kiedy mężczyzna wyłonił się z wody, Garston zauważył, że po pierwsze jest nieuzbrojony, a po drugie jest człowiekiem. Dopiero wtedy przyjrzał się dokładniej jego twarzy i zmrużywszy oczy rozpoznał w nim Remy'ego.

Remy przebiegł odcinek brunatno-szarego mułu z głową wtuloną w ramiona, nisko pochylony, jakby w obawie, że ktoś go może dostrzec. Garston wysunął się spod wozu, którego cień maskował jego obecność i wstał. Dostrzegłszy go Remy zmienił lekko kierunek biegu, tak by znaleźć się dokładnie obok niego. Garston stwierdził, że ciągle jeszcze trzyma broń w pogotowiu i natychmiast opuścił ją ku ziemi.

- Mówiłem, że nie dam sobie głowy uciąć, że pana zabili - odezwał się szorstko.

- Niech pan dziękuje Matce Ziemi, że żyję - odparł Remy. - Gdybym zginął to i pan już by nie żył. Czy optimen jest tutaj?

Garston otworzył szeroko oczy, nawet nie próbując ukryć zdziwienia. - Andros? Wyjechał pięć godzin temu ze Scapacciem i Delizią. Twierdził, że odnalazł bazę mapirenów.

- Bo i odnalazł. Jeżeli jednak zabrał ze sobą Delizię, to sytuacja jest poważna - podejrzewam, że Delizią jest jedynym człowiekiem, którego potrzebują. Pan stanowi teraz nadwyżkę nad popytem. Na pewno nie zrezygnują z wozów i ich wyposażenia, ale pan to tak jakby już nie żył. Obstawiałbym, że zabrali działo laserowe i pojechali rozprawić się z veichami, których Zemak zostawił na straży swoich pojazdów, ale sprowadzą je z powrotem przed nastaniem nocy i ustawią na grani, dokładnie w tym samym miejscu, z którego zastrzelili Belle Yellę. Tutaj, na tym płaskim kawałku, mają pana jak na dłoni.

- O czym pan, do cholery, mówi? - wycodził powoli Garston. Jego flegma była jednak wymuszona, patrzył na Remy'ego z wyraźnym napięciem i wprost chłonał każde jego słowo.

- O klonowych braciach Androsa. Co najmniej czterech, a może nawet sześciu. To oni jechali cały czas naszym śladem z tym działem laserowym. Zabili Yeremę i Belle Yellę. Chcieli użyć er'kresha i veichów do tego, żeby nas trochę zmiękczyć, a potem ich się pozbyć. Nas mają zamiar wykończyć w wolnej chwili. Dlatego to my musimy uderzyć pierwsi. Andros jeszcze nie wie, że go zdekonspirowałem. Myśli pewnie, że nie żyję, a na pewno nie ma najmniejszego pojęcia, że byłem w bazie. Położenie głównego wejścia musiał ustalić już wczoraj po południu i natychmiast powiadomił o tym swoich braci. Dwóch z nich dostało się jakoś do środka i było już wewnątrz, kiedy veichowie wysadzili w powietrze główne wrota. Mamy jedną jedyną szansę; musimy uderzyć na nich, zanim oni uderzą na nas. Musimy rozmieścić co najmniej tuzin ludzi na grani i to tak, żeby tego nie zauważyli. Kiedy się tam

zjawia, trzeba będzie ich po prostu zabić. Jeżeli się nie zjawia, pozostanie wciągnięcie ich w jakąś pułapkę. Musimy działać natychmiast, póki nie jest jeszcze za późno. Chyba ma pan nadal tuzin ludzi?

- Ceś koło tego - potwierdził Garston. - Ale dlaczego optimeni mieliby wystąpić przeciwko nam? Przecież są po naszej stronie.

Remy potrząsnął głową. - Nie wydaje mi się. To Andros zniszczył wasz nadajnik. Anioł stróż czegoś takiego by nie zrobił. Niech mi pan wierzy, że oni nie zadowolą się wymordowaniem veichów.

- Nie jestem tego taki pewien - odparł sierżant. Według mnie to Scapaccio rozbił nadajnik. To bardzo w jego stylu. Optimeni pracują dla Międzygwiazdowego, do nas nic nie mają.

Remy zgrzytnął zębami. - Garston - powiedział dysząc ciężko. - Ta baza jest fabryką optimenów. Niech pan choć przez chwilę myśli. Znajdują się w niej tysiące inkubatorów, a w każdym z nich leży szkielet. To miejsce służyło niegdyś produkcji mapirenów - optimapirenów. Andros i jego bracia nie pracują dla Międzygwiazdowego; gdyby tak było, nie musieliby bawić się w tę zwariowaną ciuciubabkę. Oni pracują dla samych siebie. Musi pan w to uwierzyć. Jeżeli pan nie uwierzy, wymordują nas co do jednego.

Przez pełne pół minuty Garston stał nieruchomo jak głaz, nie żądając żadnych dalszych wyjaśnień, lecz po prostu rozważając sytuację. Skłonny był uwierzyć w złe intencje Androsa i w ogóle wszystkich optimenów, bo ich nienawidził. Ale nienawidził także Remy'ego - tą samą zimną, beznamietną nienawiścią. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale właśnie to uczucie wydawało mu się najważniejszym czynnikiem decyzji, którą miał podjąć.

W końcu spytał: - Jest pan sam?

- Myszka wy dostał się z wyspy z przeciwnej strony - powiedział Remy. - Znajduje się w miejscu niewidocznym z grani. Jest z nim córka Yeremy. Obiecałem, że dołączę do nich z tyloma ludźmi, ilu uda mi się zebrać; potrzebują broni. Przez łożysko jeziora biegnie długi kanał kończący się w rozpadlinie w skałach. Normalnie jest to strumień, ale w tej chwili sączy się nim ledwie odrobina wody. Jeżeli dotrzemy nie zauważeni aż do niego, to uda nam się wydostać poza ten płaski obszar. Zabieram, oczywiście, swoich najemników, ale gdyby optimeni zajęli już swoją pozycję i przyszło nam ich atakować, to potrzebni nam będą wszyscy ludzie, jakich tu mamy. Idzie pan z nami czy nie?

Garston wahał się jeszcze przez dłuższą chwilę, lecz w końcu skinął głową.

- Postawię na nogi obóz - powiedział.

- Tylko dyskretnie - odparł Remy. - Na wszelki wypadek nie róbmy widowiska.

Andros zakończył cykl swoich ćwiczeń i usiadł z przymkniętymi oczami na kamiennej podłodze, oddychając równo i głęboko. Czuł, że Ramon Delizia przypatruje mu się ze swej metalowej klatki, ale przez cały czas koncentracji mały archeolog nie odezwał się do niego ani słowem. Po chwili sam więc przerwał milczenie.

- Nie spał pan najlepiej - zauważył.

- Warunki trudno byłoby nazwać idealnymi do snu - odparł Delizia.

- To tylko chwilowe - zapewnił go Andros. - Obawiam się, że klatka będzie musiała stać się dla pana domem, ale urządzimy ją znacznie wygodniej. Na razie musi panu starczyć to, że ma pan dość wody i pożywienia. Potem znajdziemy, panu lepsze łóżko i świeże ubranie. Wszystko czego pan sobie zażyczy.

- Czy wszystkich pozostałych macie zamiar zabić?

- Potrzebujemy pojazdów, ale Garston jest nam zbyt cenny, a i powrót najemników do tego, co na tym kontynencie nazywa się cywilizacją, byłby raczej niewskazany. Co prawda zjawienie się tu innych jest tylko kwestią czasu, bo veichowie nie zostawią tak tej sprawy, a Dowództwo Haidry także zacznie niedługo przejawiać nią zainteresowanie, ale plotki przyspieszyłyby to tylko. Nie możemy sobie pozwolić na pozostawienie przy życiu choćby jednego z nich. Może poza Justyną Magna. Dla niej znaleźlibyśmy chyba jakieś zastosowanie.

- Myślałem, że seks nie odgrywa żadnej roli w waszych planach dotyczących przyszłej ludzkości.

- Reprodukacja i seks to zupełnie różne sprawy - odparł Andros. - W naszym nowym świecie będą kobiety genetycznie zoptymalizowane, tak jak my. Ale zanim to nastąpi, będziemy zmuszeni wykorzystywać to, co dostępne.

- Ona jest dostępna - odparł sucho Delizia. - Ale siedzenie w klatce nie bardzo przypadnie jej do gustu.

Andros uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

- Gdzie pańscy bracia? - spytał Delizia.

- Rozpracowują topografię bazy. Przed przybyciem veichów mieli okazję zapoznać się tylko z tym piętnem i następnym. My nie potrzebujemy aż tyle snu, co pańska odmiana istot ludzkich.

- Więc pewnie i marzeń sennych macie znacznie mniej.

- Co nie wyklucza, że możemy marzyć znacznie bardziej efektywnie.

Delizia nie miał trudności z odczytaniem zawartego w tych słowach sarkazmu. - Nie przypuszczam - powie dział - Jeżeli już, to wasze sny są tylko bardziej szalone. Co wam da

odkrycie w jaki sposób mapirenowie przyspieszali wzrost komórek i programowali mózg? Przecież nie macie żadnych fabryk ani laboratoriów. A może chcecie kilka z nich po prostu porwać, tak jak porwaliście działo laserowe?

Andros wstał i podszedł do spętanych koni. Zaczął grzebać w jukach przy siodle zwierzęcia, na którym przyjechał z obozu.

- Pan chyba nie wszystko rozumie - powiedział. - My nie potrzebujemy żadnych własnych fabryk; na razie. Potrzebna nam jest wiedza. Naszym bezpośrednim celem jest dopilnowanie, by każdy żyjący optimen dowiedział się wszystkiego co trzeba na temat reprodukcji swojego rodzaju, wszystkiego, co wiedzą nasi stwórcy, i więcej. Własne fabryki będą nam zbyteczne aż do dnia, kiedy nasi stwórcy uznają, że wypełniliśmy już swoje zadanie. Do tego czasu będą bardzo zadowoleni mogąc wykorzystywać naszą wiedzę w swoich zakładach. To, że wiemy i że jesteśmy w stanie dowolnie dysponować swoją wiedzą, daje nam nad nimi tę przewagę, że to my, a nie oni, staniemy się manipulatorami. Nasze własne fabryki staną się nam potrzebne dopiero w dniu, w którym nasi stwórcy odmówią nam prawa korzystania ze swoich. Zadaniem moim i moich braci jest po prostu dopilnowanie, by bez względu na to, kiedy ten dzień nadejdzie, przyszedł on za późno. Jak już mówiłem, to kwestia odpowiedniego wyliczenia czasu, jedna mała seria posunięć w znacznie większej grze, której finał nastąpi dopiero za stulecia. Wynik tej gry nie zależy od tego, co stanie się tutaj; udział jaki wniesiemy w jej wygranie będzie niewielki. Ale nie będzie bez znaczenia. Każda mała rzecz przyczynia się do tworzenia historii i wyznacza koleje losu. Nie należy wyciągać wniosku, że tylko dlatego, iż to, co się tu dzieje, samo w sobie nie zmieni losu ludzkości, to właściwie cała ta sprawa nie ma żadnego znaczenia. Jednocześnie jednak nie powinien pan uważać, że na pańskich samotnych ramionach spoczął jakiś przeogromny ciężar. Pan jest filozofem, panie Delizia. Pan potrafi zrozumieć o czym mówię.

Wyciągnąwszy z torby to, o co mu chodziło, optimen wrócił na swe miejsce tuż przed Delizia i spojrzał na niego chłodno. W rękach trzymał duży okrągły bochenek, z którego zaczął odłamywać małe kawałki chleba. Jeden z nich podał teraz Delizii. Był akurat takiej wielkości, by zmieścić się w oczku siatki. Delizia potrząsnął przecząco głową, więc Andros włożył go do swoich ust.

- Jeżeli wszystko, co pan mówi, jest prawdą - powiedział Delizia cicho - to znaczy, że mapirenowie także tworzyli optimenów. Ale kiedy zniknęli ze znanej części Galaktyki, wraz z nimi zniknęli także ich optimeni. Jakikolwiek los spotkał tę rasę, genetyczna optymalizacja i przyspieszenie procesu wzrostu komórek nic jej nie pomogły. Na pana miejscu nie byłbym

taki pewien, że taka właśnie jest ewolucyjna przyszłość ludzkości. I nie zapominałbym o veichach. Oni także mogą mieć swoich optimenów.

- Veichowie nie mają optimenów i nie będą ich mieć - odparł Andros w przerwie między połykaniem dwóch kęsów. - Ich kastowa struktura społeczna nie zniosłaby ich istnienia. Ich myślenie kategoriami wyższości i niższości pewnych grup społecznych nigdy nie dopuści do rozwoju technik optymalizacji genetycznej. Taka jest różnica między ludźmi i mapirenami, mapirenowie przegrywali swoją wojnę i wszystko co mieli, rzucili do decydującego starcia, kataklizmu, który zniszczył zarówno cascarenów jak i ich samych. W ich zniknięciu nie było nic nadprzyrodzonego, po prostu stwierdzili, że znajdują się w sytuacji bez wyjścia. My nie znajdujemy się w takiej sytuacji... Naszemu położeniu do tego daleko.

- Nie może pan być tego pewien - powiedział Delizia przyciszonym głosem. - To co pan mówi, jest przejawem arogancji i optymizmu, ale nie wiedzy. Nie ma takiego sposobu, by mógł pan kiedykolwiek być tego pewien.

- To prawda, nie może być pewności - zgodził się Andros. - Ale gdyby była, to cała zabawa skończyłaby się, prawda? Cóż warta gra bez odrobiny ryzyka i niepewności?

Odwrócił się i zniknął w ciemnościach. Kiedy odgłos jego kroków ucichł, jedynym dźwiękiem dobiegającym do uszu Delizii pozostało bzyczenie much unoszących się nad grzbietem konia, ciągle jeszcze dźwigającego cierpliwie ciało Scapaccia.

- W porządku - powiedział Remy, oddając lornetkę Garstonowi. - Nie widzę nikogo poza tymi dwoma. Co najwyżej jeszcze jeden może siedzieć w wozie. To daje nam sporą przewagę.

- Jedyne kłopot w tym - powiedział Garston - że nie ma jak do nich dotrzeć. Rozłożyli się na wysokiej grani, otoczonej ze wszystkich stron otwartą przestrzenią. I mysz nie przedostałaby się tam niepostrzeżenie. Ustawienie snajpera także odpada, bo po prostu nie ma go gdzie ukryć. A ten laser starczy za dwanaście karabinów; nawet gdybyśmy zaatakowali ich z dwunastu różnych stron, to i tak bez trudu nas wystrzelają i jeszcze zdążą zrobić przerwy na papierosa.

- Wcale nie twierdzę, że to będzie łatwe - odparł Remy spokojnie. - Musimy podejść bardzo powoli, połowa z tej strony, połowa z tamtej, rozciągnięci najszerzej jak to możliwe. I dopiero po zapadnięciu zmroku.

- Czyli za dziesięć godzin. A te skurwysyny i tak widzą po ciemku.

- Ale nie tak dobrze jak w ciągu dnia. To, że będą widzieli lepiej od nas niewiele im pomoże, bo my przecież i tak dobrze wiemy, gdzie oni są. Po ciemku mamy nawet szansę

dotrzeć do połowy stoku, zanim nas wypatrzą, a wtedy prawdopodobieństwo dotarcia na górę i zarobienia strumienia energii z działa będzie już mniej więcej równe.

- Pan zwariował - powiedział Garston. - Wszyscy powariowaliśmy, żeby zjawiać się tu w taki sposób. Powinniśmy byli przynajmniej wyciągnąć z błota wozy. Mogliśmy nawet ruszyć z powrotem na pustynię, mamy dość wody, żeby ją pokonać.

- Nie puściliby nas - odparł Remy ze znużeniem w głosie. - Może udałoby się to jednemu konnemu z odpowiednią ilością wody i prowiantu, może nawet dwóm. Ale nie wszystkim. Dopóki mają ten laser, wisi nam nad głowami miecz Damoklesa. No więc zgoda, jeżeli wypatrzą nas za wcześnie kilku z nas zginie. Może nawet ich dwóch wystarczy za nas dwunastu, nie wiem. Ale po prostu musimy spróbować zabrać im ten laser i nic mnie przed tym nie powstrzyma. Jeżeli chce się pan wycofać, droga wolna. Niech się pan wycofuje i zabiera ze sobą tych swoich ołowianych żołnierzyków. Ale niech pan pamięta o jednym: wszystko co zmniejsza nasze szansę, zmniejsza szansę pana. Jeżeli nam nie uda się odbić tego lasera, to wasze szansę dotarcia z powrotem do cywilizacji staną się tak nikłe, że w ogóle nie będzie o czym mówić.

Garston wpatrywał się w niego kamiennym wzrokiem. - Ja nawet nie jestem pewien, czy oni w ogóle mają jakiegokolwiek wrogie zamiary - powiedział. - Według moich informacji oni stoją po naszej stronie, a pan jest zakochanym w veichach wrogiem.

- Pozostaje panu ruszyć głową i się domyślić - odparł Remy szorstko. - I czy się to panu podoba, czy nie, postawi pan na swój domysł życie.

- Co będzie jeżeli ich pokonamy? - spytał ponuro sierżant.

- Dwóch z głowy, pozostanie jeszcze trzech. Ale będziemy mieli laser i spore szansę załatwienia tych w bazie.

- Jeżeli zdobędziemy laser - powiedział ostrożnie Garston - nie będzie już nic, co mogłoby nam przeszkodzić w powrocie do domu. Nie będziemy wcale musieli ścigać Androsa.

- To pańska sprawa. Ja go będę ścigał.

- Żeby ocalić ludzkość przed jej straszliwym losem?

- Żeby wyrównać rachunki. Zabili mojego przyjaciela.

Garston oparł się wygodniej o pień drzewa, nie spuszczać ze swego rozmówcy niechętnego spojrzenia. - Pan jest obłąkany - powiedział. - Naprawdę obłąkany. Po co to wszystko? Od momentu, kiedy ujrzałem pana na drodze z Piru, nie zrobił pan nawet jednego racjonalnego kroku. Człowiek pewnie musi być trochę stuknięty, żeby wytrzymać z pustynią,

ale pan nie jest po prostu stuknięty, pan jest obłąkany. Czy chce mi pan powiedzieć, że zabierze się pan za Androsa i jego klonowych braci tylko dlatego, że zabili jakiegoś veicha?

Remy przesunął wierzchem dłoni po dających o sobie znać ranach na szczęce i skroni. - Nie jestem pewien, czy będę musiał się za nich zabierać - powiedział cicho. - Mam wrażenie, że to oni zabiorą się za mnie, jak tylko dowiedzą się, kto zabił ich klonowych braci. Przypuszczam, że to dość zżyta rodzinka, coś na kształt klanu veichów. Choć może będąc tylko ludźmi, nie wiedzą nic o takim rodzaju wierności.

- A pan wie?

- Nie - odparł Remy. - Chyba nie wiem. Ale zawsze mogę udawać.

Zapadła chwila milczenia, po czym Garston powie dział:

- Kiedy ruszymy w górę stoku, pan ma takie same szansę zostać spalonym, jak każdy z nas. To będzie najzwyczajsza w świecie rosyjska ruletka.

Remy przesunął wzrokiem po całej długości potężnych nóg Garstona, a potem obrzucił taksującym spojrzeniem jego masywny tors.

- Może nie będzie tak źle - powiedział. - Ja nie jestem aż tak dużym celem. Idzie pan ze mną czy nie?

Garston spojrział na nagą skałę sterczącą prosto w niebo jakieś siedemset metrów od nich.

- Gdyby mnie pan zapytał dlaczego - mruknął - nie umiałbym odpowiedzieć. Ale chyba nie mam wielkiego wyboru.

Przeszli razem do niewielkiego zagajnika, by przyłączyć się do swojej mizernej armii.

21.

Kiedy trójka optimenów pojawiła się ponownie, Delizia leżał zawinięty w śpiwór na swej prowizorycznej pryczy. Nie spał, krył się tylko przed zimnem. Już od kilku godzin było zupełnie ciemno i bez wątpienia musiała zbliżać się noc. Zaczął igrać z myślą, że optimeni w ogóle nie wrócą, a on zostanie zamknięty w klatce aż do śmierci z głodu i pragnienia. Po południu, kiedy Andros zostawił go samego, zbadał wszystkie możliwości ucieczki, ale solidny drut, choć pokryty grubą warstwą patyny, bez trudu oparł się próbom wyłamania, a drzwi okazały się zabezpieczone ciężką kłódką, która z pewnością nie miała trzydziestu tysięcy lat. Doszedł jednak do wniosku, że gdyby pozostawiono mu dość czasu, to pewnie udałoby mu się wydostać ze swego więzienia. W dalszym ciągu jednak pozostawał problem co dalej, a w obecnym stanie ducha wcale nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Ciemność

jak zwykle sprowadziła zastępy urągających mu zjaw i dlatego nie czuł najmniejszego wstydu, gdy na widok latarni niesionych przez powracających optimenów zalała go fala ulgi. Wyplątał się ze śpiwora i podszedł do przedniej ściany klatki. Dragonel i Gigas zabrali się za przygotowywanie posiłku, a Andros podszedł do Delizii. Jutro oprowadzimy pana po nowym królestwie - powiedział. - Niestety, nie będzie pan mógł zabrać się do pracy natychmiast, ale po południu odzyskamy całą aparaturę z pojazdów Scapaccia. Do tego czasu nie zostanie już nikt, kto mógłby nam przeszkadzać. Będzie pan mógł pracować w absolutnym skupieniu i spokoju. - Czy nie jest pan zbyt zadufany w sobie? - spytał Delizia. W odpowiedzi ujrzał coś na kształt cienia przesnuwającego pogodne czoło Androsa, ale zniknął on tak szybko, że już w następnej chwili Delizia zaczął się zastanawiać, czy nie była to tylko gra cieni rzuconych przez światło lampy.

Spojrzał ponad ramieniem Androsa na jego klonowych braci. Usłyszał, jak Gigas mówi do Dragonela, że wyjdzie nawiązać łączność z pozostałymi braćmi. Zaraz jednak, czując na sobie baczne spojrzenie Androsa, skierował swą uwagę z powrotem na niego.

- O co chodzi? - spytał. - Czy znaleźliście w bazie coś, co was zaskoczyło? Czyżby wasza koncepcja fabryki okazała się błędna?

- Nie, panie Delizia - zaprzeczył Andros stanowczo. - Z fabryką mieliśmy rację.

- Ale co? - nalegał mały archeolog.

- Ale ktoś już tam był, zupełnie niedawno. Opuścili się do bazy szybem, którego wyjście musi się znajdować gdzieś na wyspie pośrodku jeziora. Zostawili na pokładach kurzu bardzo wyraźne odciski stóp. Wygląda na to, że dość dokładnie zbadali całą bazę.

- Er'kresha? - spytał Delizia.

- Dwóch ludzi i jeszcze ktoś, ale nie jesteśmy pewni czy człowiek. Jeden z tych ludzi był bardzo dużym mężczyzną. Ponieważ jednak nie mógł to być Garston, pozostaje tylko jedna możliwość, Myszka.

- Ten od Remy'ego?

Optimen skinął głową.

- W takim razie tym drugim musiał być Remy.

- Zgadza się.

- Czy ciągle jeszcze tu są?

- Nie przypuszczam. Ślady wskazują na to, że cała trójka wróciła tą samą drogą, którą tu przysła. Nie wiemy tylko kiedy.

- Ja ich nie widziałem - powiedział Delizia, znajdując pewną przyjemność w wypowiedzeniu tych słów lekko obraźliwym tonem.

- To nie ma żadnego znaczenia - odparł Andros.

- Troje więcej do zabicia, to...

Odgłos wystrzału przerwał mu w połowie jak cięcie noża. Huk ucichł natychmiast, nie odbity nawet przez echo, zostawiając po sobie nienaturalną ciszę.

Andros i Delizia odwrócili się gwałtownie w kierunku wyrwy w wielkich metalowych wrotach i zobaczyli w niej Gigasa powalonego na plecy impetem kuli, z krwią buchającą z boku głowy, gdzie brakowało mu prawie połowy czaszki.

- W odrzuconej daleko od ciała dłoni zaciskał mały nadajnik. Nagle, zupełnie groteskowo, z radyjka odezwał się jakiś głos.

- Andros! - dobiegło z małego pudełeczka, a słaba jakość przekazu miniaturowego głośnika nie była w stanie tak zniekształcić głosu mówiącego, by nie można go było natychmiast rozpoznać. - Andros, słyszysz mnie?

Żeby odpowiedzieć, Andros albo Dragonel musieliby wyjść na zewnątrz, wyjąć nadajnik z ręki zabitego i zwolnić przycisk nastawiony w tej chwili na odbiór. Żaden z nich nawet jednak nie drgnął, a Andros wpatrywał się w radio takim wzrokiem, jakby to był skorpion, którego nagle dojrzał w swoim łóżku.

- Andros! - odezwał się ponownie ten sam głos. - Tu Remy. Jesteś tam? Czy też może prawdziwy Andros to ten zabity? Ale przecież to w końcu nie ma znaczenia. Liczą się nie imiona tylko to kto je nosi. Zabiłem was trzech, Andros, i teraz pozostaje mi do zabicia już tylko dwóch. Jesteś skończony. Mam twój laser i większość zapasów, a także wszystko, co jest w wozach Scapaccia. Gra dobiegła końca.

Dragonel nappełnił płuca powietrzem i krzyknął w ciemność:

- Remy! My...

W trzech wielkich susach Andros znalazł się tuż przy nim i chwytając go za ramię syknął: - Zamknij się! Niech gada.

- Nie będę próbował się tam do was dostać - ciągnął blaszany głos z metalowego pudełka. - Wiem równie dobrze jak wy, że są tam jeszcze inne wyjścia, a baza nie jest dobrym miejscem do zabawy w chowanego. Aleja nie muszę iść do was; to wy potrzebujecie tego, co mam ja, to was sytuacja zmusza do wyjścia do mnie. Mam nad wami przewagę, lecz nie powinno was to martwić. Wy jesteście optimenami, dumą całej ludzkości. Nie możecie się przecież obawiać jakichś tam podlejszych produktów przypadkowego chowu. Nawet widząc na własne oczy, że do zabicia optimena wystarczy jedna zwykła kula, taka sama jak do zabicia każdego innego człowieka. Potrzeba było tylko odrobiny zaskoczenia. Do tej pory dawało ono przewagę wam, ale to się już skończyło.

Teraz nie możecie już zwyciężyć. Bez lasera nie możecie - zniszczyć wozów, a ja wysłałem już trzech jeźdźców z zapasowymi końmi w drogę przez pustynię. Nie możecie ich powstrzymać. Dotarcie do Ziaratu zajmie im dziesięć do dwunastu dni, ale w końcu tam dotrą. Jeżeli trzeba będzie, to zawiozą wieści osobiście aż do Omeru. Są sioconarni, nic im się nie może stać. Jutro rano reszta z nas wyruszy pewnie ich śladem. Nie mamy tu już nic więcej do roboty, wszystko co trzeba już wiemy. Ty jesteś już chodzącym trupem, Andros, podobnie jak wszyscy twoi bracia w Omerze, Pajilli i gdzie tam jeszcze się znajdujecie. Spieprzyliście tę robotę, zawaliliście sprawę swoją, swojej rodzinki i całej rasy optimenów. Jak się z tym czujesz, Andros?

Z radyjka dobiegło ciche "pik" i głos umilkł. Delizia zamarł w oczekiwaniu, co teraz nastąpi.

- Myślisz, że naprawdę mają laser? - spytał Dragonel.

- Ma nadajnik. Sądziś, że Lindos podarował mu go na znak sympatii? - Głos Androsa brzmiał gardłowo i ochryple.

- Powinniśmy byli trzymać się razem - powiedział Dragonel. - Cała nasza piątka.

- Nie mów mi, co powinniśmy byli robić! - wycodził przez zęby Andros. Wściekłość tłumiała jego słowa tak, że ledwie je było słyhać. Dłonie zacisnął w pięści, a twarz miał białą jak kreda.

- To przemówienie było po to, żeby nas sprowokować - powiedział miękko Dragonel. - On chce, żebyśmy rzucili się na niego, i to od razu. Chce nas zmusić do zrobienia następnego kroku bez jakiegokolwiek namysłu. Nie daj mu się na to nabrać.

Andros zrobił kilka kroków do przodu i czubkiem buta wysunął radyjko z dłoni zabitego. Kiedy znalazło się kilka cali od bezwładnych palców, nadepnął je z całą siłą, na jaką go było stać. Nadajnik rozprysł się na tysiące maleńkich kawałków.

- Ma pan spory talent do takich rzeczy - zauważył jadowicie Delizia, zastanawiając się jednocześnie, gdzie znalazł w sobie tyle odwagi.

Andros nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Do Dragonela powiedział: - Masz rację. - Wydawało się, że natychmiast odzyskał całe swoje opanowanie. - Tak jak i on - ciągnął, wskazując na rozbity aparacik. - Miał rację, kiedy powiedział, że jesteśmy optimenami; miał rację kiedy powiedział, że dla nas szansę nie mają żadnego znaczenia. Zabijemy ich. Co do jednego. Nie ma już zaskoczenia, pozostaje czysta walka. Bez względu na to, kto ma przewagę, wygramy. Nie ma innego wyjścia.

Delizia dostrzegł chłodne skinienie głowy Dragonela i w jakiś dziwny sposób to zupełne opanowanie obu mężczyzn przeraziło go znacznie bardziej niż poprzedni wybuch wściekłości Androsa.

- Tak - powtórzył Dragonel jak echo swego bliźniaka. - Nie mamy innego wyjścia.

Remy odłożył nadajnik znaleziony przy zwłokach jednego z klonowych braci Androsa i odwrócił się do swych towarzyszy. Iasus Fiemme jak zwykle nie zdradzał żadnych uczuć, ale zaciętość malującą się na twarzy Garstona widać było wyraźnie nawet w nikłym świetle gwiazd.

- Myśli pan, że usłyszeli? - spytał sierżant.

- Owszem - odparł Remy. - Po nadaniu sygnału wywoławczego tamten musiał przełączyć się na odbiór. Myślę, że mnie słyszeli.

- Ale dlaczego pan to zrobił?

- Bo chciałem.

- Zastrzelił pan tego skurwysyna, i w porządku. Ale takie zwariowane pogawędki na pewno nam nie pomogą. Mogliśmy dać wozom z Justyną Magna i rannymi, także pańskimi najemnikami, całą noc, by w spokoju znaleźli się jak najdalej stąd. A pan oczywiście musiał im powiedzieć, że te wozy w ogóle wyjechały. To była czysta głupota.

- Nie będą ścigali Justyny Magny - powiedział chłodno Remy. - Przyjadą po nas, na brzeg jeziora. Nigdy nie mieliśmy nad nimi przewagi całej nocy. Gdybym nie zastrzelił tego z nadajnikiem, już chwilę później wiedziałby, że jego bracia nie odpowiadają. Nie pospieszyłem się więcej niż o pół minuty. A to, co im powiedziałem, daje mi pewność, że postąpią dokładnie tak, jak chcę, a nie w sposób, którego nie jestem w stanie przewidzieć. Co pana tak niepokoi, Garston? W dalszym ciągu jest nas w obozie siedmiu; wystarczy chyba, by dać radę dwóm optimenom. Jeżeli pan uważa, że to za mało, to niech pan pryska za tą kobietą i swoimi rannymi żołnierzami. Nikt pana nie trzyma tu siłą.

- Muszę być chyba równie stuknięty jak pan - odparł sierżant. Podniósł się z ziemi i zaczekał, aż Remy i siocon zrobią to samo. - Czekanie tutaj nie ma sensu - dodał. - Lepiej wracajmy do obozu. Do tej pory ten laser także powinien już tam być.

Wrócili powoli do koni, nie odzywając się już do siebie ani słowem. Kiedy znaleźli się w siodłach, obaj ludzie pozwolili Iasusowi Fiemme objąć prowadzenie, tak jak wtedy, gdy przeczesywali cały ten teren w poszukiwaniu wejścia do bazy. Jego oczy nie miały żadnych trudności z wynajdywaniem najlepszej drogi przez nierówny i zdradliwy teren. Remy i Garston jechali obok siebie. Nie spieszyli się,

- Przypuśćmy, że zabijemy optimenów - odezwał się szorstko sierżant. - I co potem?

- Pan chyba nigdy nie potrafi myśleć o terażniejszości, prawda? - odparł Remy. - Zawsze chce pan wiedzieć, co potem. Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego ciągle jeszcze jest pan sierżantem. Z takim umysłem powinien pan już całe lata temu zostać generałem.

- A pan pewnie w ogóle nie zastanawia się nad przyszłością, co? Nie ma pan nawet cienia pojęcia, co będzie pan robił, kiedy to wszystko się skończy?

- Będę robił to, co zawsze - odparł Remy. - Ruszam na pustynię. Nie mam ochoty siedzieć tutaj, kiedy Dowództwo Haidry zacznie wysyłać tu eskadry transportowców załadowanych wojskiem. Kiedy inwazja się rozpocznie, mam nadzieję być daleko od całego Azreonu. Na Haidrze są jeszcze inne miejsca poza tymi dwoma kontynentami. Zajmę się żeglowaniem, znajdę sobie śliczną, małą wysepkę w tropikach, gdzie nie ma żadnego zajęcia dla najemników i gdzie można pędzić spokojny i beztroski żywot aż do śmierci ze starości.

- Z veichiańska kurwą, co?

- Ona nie jest kurwą - odparł Remy lodowato. - Jest córką przywódcy klanu. I to, co robi, jest wyłącznie jej sprawą. Może zostanie tutaj do nowej pacyfikacji, choćby po to, by dopilnować, żeby nie poszła wam tak łatwo, jak poprzednim razem.

- A może po to, by wykonać zadanie, z którym przysłano tutaj tego Zemaka?

Remy spojrzał na niego przez ramię. - Może i po to - powiedział. - Ma pan zamiar jej w tym przeszkodzić?

- Czy pan chce ściągnąć na Haidrę wojnę?! Prawdziwą wojnę?! Czy pan chce, żeby statki wojenne rozwaliły cały ten skład w pył, totalnie zniszczyły powierzchnię wszystkich planet? Jeżeli tutaj rozegra się prawdziwa bitwa, to pan się przed nią nigdzie nie ukryje, żądań wyspa nie leży dość daleko. Wszyscy mężczyźni i kobiety na tej planecie wyginą pewnie co do jednego, a jeśli nawet ktoś przeżyje, to będzie tego gorzko żałował. Pan ma taki sam interes w ukryciu przed veichami informacji o tej bazie, jak ja. Jak każdy z nas.

- Nie jesteśmy w stanie utrzymać tego w tajemnicy przed veichami, tak samo jak nie jesteśmy w stanie utrzymać tego w tajemnicy przed Dowództwem Haidry - odparł Remy. - Nie odpuszczą tej sprawy, kiedy Zemak nie tylko nie wróci, ale nawet nie zgłosi się przez satelitę. Wojna wróci na Haidrę bez względu na to, co zrobi pan, bez względu na to, co zrobię ja, bez względu na to, co stanie się z którymkolwiek z nas czy z nami wszystkimi. Pozostaje jedynie kwestia tego kiedy i jak. Ale na wypadek gdyby chodziło panu coś po głowie, postawię sprawę jasno: jeżeli chce pan bodaj tknąć Valle palcem, niech pan najpierw zabije mnie, jeżeli pan potrafi. Nie mogę mówić za Iasusa Fiemme ani za Doona, ale na pana miejscu nie stawałbym plecami do żadnego z nas. Czy wyrażam się jasno?

- Może nadejść taki czas - odparł Garston - że ta groźba nikogo już nie przestraszy. Mógłbym może zaryzykować.

- Jak na człowieka, który tak wiele myśli o przyszłości, niewiele uwagi poświęca pan ewentualnym zyskom. Co pan będzie z tego miał, sierzancie Garston? Jaka korzyść z tego wszystkiego odniesie pan osobiście? Ja po prostu chcę przeżyć, wyjść cało z tej historii i z uregulowanym rachunkiem długów. Niech pan posłucha mojej rady i zrobi to samo.

- Gdybym myślał tak jak pan - mruknął Garston - musiałbym zostać dezerterem.

- Tego właśnie nie mogę zrozumieć - przyznał Remy. - Gdyby miał pan choć odrobinę oleju w głowie, już dawno by pan nim został.

22.

Tego dnia po raz pierwszy upływowi godzin poranka nie towarzyszył gwałtowny wzrost temperatury. Puszyste, białe obłoki, które przemykały przez niebo w ciągu ostatnich dwóch dni, zagęściły się i pociemniały, zostawiając tylko bardzo niewielkie prześwity błękitu. Słońce skryło się zupełnie, a wiejący od północy wiatr podnosił kłęby kurzawy ze wschodnich i zachodnich zboczy górzystej wyspy i gnał je w poprzek wzburzonej tafli błotnistego jeziora. Sam wiatr przesycony był pustynnym pyłem i już od samego rana wszyscy obrońcy obozu musieli założyć maski. Daleko na pustynnej równinie niebo musiało płonąć bajeczną zorzą, którą ziaraccy chłopci nazywali "zwiastunem burz". Zwlekające z odejściem lato ustąpiło wreszcie, a w ślad za nim miały nadciągnąć deszcze pewnie jeszcze przed nastaniem południa. Przedłużająca się susza dobiegała końca; po wydostaniu się z gór na pustynie, samotnemu wozowi wysłanemu przez Remy'ego z niewielką konną eskortą towarzyszyć miały potoki wody napelniające koryta wyschniętych rzek i budzące z uspienia lany jesiennych kwiatów.

Remy usiadł na ziemi obok klapy zamykającej tył wozu ustawionego bokiem do wyspy. Wiatr wiał mu prosto w twarz i zmuszał do nieustannego mrugania oczami, które zasypywał niesionym pyłem. Działo laserowe stało tuż obok, z wieżyczką opuszczoną tak, że lufa wskazywała wprost na wyspę.

Z wnętrza sąsiedniego wozu wyłonił się Doon i usiadł na miejscu dla powożącego. Zauważył skierowane na siebie spojrzenie Remy'ego i wskazał palcem na niebo.

- Kiepsko - powiedział.

Remy skinął na potwierdzenie. Gdyby zaczęło padać, muł, twardy w tej chwili jak beton, szybko zacząłby przybierać konsystencję ciastowatej brei. Poziom wody w jeziorze

podniosłby się błyskawicznie do wysokości miejsca, w którym się znajdowali - była to kwestia jedynie godzin - ale jeszcze przedtem koła wozów zaczęłyby się pograżać w rozmiękczonej ziemi i ugrzęzłyby w niej na dobre.

- Moglibyśmy zaprząć konie i wynieść się stąd już teraz - zasugerował Doon.

- Moglibyśmy - przyznał Remy. - Ale poczekamy jeszcze kilka godzin.

- Przecież oni wiedzą, że musimy się stąd ruszyć. Zaczają się na tamtej grani i zaatakują, zanim uda nam się ustawić wozy w nowej formacji.

- Może - powiedział Remy chłodno.

- Żeby to rozmontować - ciągnął Doon, wskazując na laser - trzeba co najmniej trzech osób. Powinniśmy byli zacząć przenosiny jeszcze przed wczorajszym zmierzchem.

- Nie było na to czasu - odparł Remy. - A oni byli dwa razy bardziej niebezpieczni, gdyby zaczęli się na nas po ciemku. Jeżeli rzeczywiście to my będziemy musieli iść do nich, to wolę, żeby to było w ciągu dnia.

Kiedy to mówił, wiatr przyniósł z przeciwległego brzegu jeziora odgłos wystrzałów. Remy usiadł natychmiast czujnie wyprostowany.

- Strzelby kreshów! - zawołał Doon.

W tej samej chwili z oddali dobiegł następny dźwięk, wyraźnie różny od poprzedniego. Doon nawet nie potrudził się, by słownie potwierdzić, że był to odgłos serii z pistoletu maszynowego.

Remy wybuchnął śmiechem. - Są na wyspie! - powiedział. - I nadziali się na er'kresha.

- Czekaj! - krzyknął Doon z niepokojem w głosie. - Czujesz?

Remy pociągnął nosem, ale nic nie odpowiedział. Doon wskazywał już na zbocza góry, które wiatr zasuwiał pióropuszami białego dymu, splatając je i mieszając za sobą, aż stawały się jednym falującym obłokiem. Remy spojrzał na przeciwległe zbocze, wiedząc już co tam zobaczy. Zdażył w samą porę, by ujrzeć jeszcze błysk płomieni, od których rozpoczął się pożar i gwałtownie czerniejące pierwsze kłęby dymu.

- Maski! - krzyknął. - Przekaż natychmiast innym! - Zerwał zasłonę z dolnej części twarzy i rzucił się w przejście między wozami, szukając swoich bagaży. Wiedział, że pożar rozprzestrzeni się błyskawicznie, bo wyschnięte kolczaste krzewy chwyciły ogień jak hubka. Drzewa powinny mu się opierać nieco dłużej, ale ich liście po całej porze bezdeszczowej wysuszone były na pieprz i pewnie natychmiast wytworzą ogromne ilości gęstego, czarnego dymu. Nie było niebezpieczeństwa, by Remy i jego towarzysze podusili się na śmierć, lecz temperatura powietrza musiała wzrosnąć aż do nieznośnego upału, a dym mógł doskonale osłonić zbliżanie się optimenów.

Andros zdecydował się jednak nie czekać na deszcz.

Wszyscy pozostali obrońcy obozu, Garston, Myszka, Valla, Iasus Fiemme i ostatni z ludzi Garstona, mężczyzna imieniem Roch, porzucili swoje pozycje.

- Zakładać maski i wracać na stanowiska! - ryknął Remy.

Dym zaczął już spływać - na chłodną taflę jeziora, spychany do poziomu gruntu przez silne wiatry zstępujące po zawietrznej stronie góry. Natychmiast po założeniu maski Remy podbiegł z powrotem do działa laserowego, ani na chwilę nie wypuszczając z rąk trzymanego w pogotowiu karabinu. Oczy zaczynały mu łzawić, ale na to już nic nie można było poradzić - opuszczenie ciemnych przesłon przeciwsłonecznych nie wchodziło w rachubę. Świat sprawiał wrażenie zatopionego w szarej mgie, zaczynającej powoli zacierać kontury wyspy. Temperatura powietrza niesionego podmuchami wiatru wyraźnie wzrosła.

Jesteśmy za blisko!!! - pomyślał Remy, gotując się z frustracji. - Jesteśmy za blisko tej choleralnej wody! Jeszcze sto metrów i bylibyśmy bezpieczni!

Ale zrozumiał to za późno.

Garston przywarł do ziemi za kołem wozu, którego obronę mu przydzielono, przecierając wierzchem dłoni piekące od dymu oczy. Kasłał tylko sporadycznie i raczej na skutek działania własnej wyobraźni niż dymu. Dzięki maskom oddychanie nie sprawiało specjalnych trudności, choć wciągane do płuc powietrze było nieprzyjemnie gorące. Natychmiast po dotknięciu oka chwycił z powrotem spust swego karabinu - palce miał czarne od drobin sadzy pokrywającej grubą warstwą całą jego twarz.

Zauważył w otulającej go szarości jakiś ruch i błyskawicznie podniósł broń do oka. Wypalił dwa razy, ale nie odpowiedziały mu żadne strzały i wszelki ruch w szarej mgie ustał. Języki czarnego smolistego dymu spelzały, na jezioro i rozbite wiatrem w sino-szarą kipieli napływały falami nad połąc brunatnego mułu, na której znajdował się obóz, zmieniając wszystko w kompletny chaos. Usłyszał jak Roch otwiera ogień ze swego stanowiska za sąsiednim wozem, ale w dalszym ciągu nie było żadnej odpowiedzi. Potem dobiegło go grzechotanie karabinów tych, którzy zajmowali pozycje po przeciwnej stronie kręgu pojazdów.

Nagle dojrzał jakiś cień tnący dym pod bardzo ostrym kątem, pędzący przed siebie w szaleńczym tempie. Kiedy złożył się do strzału, seria kul wyrznęła równą linię w ścianie wozu stanowiącego jego osłonę, zmuszając go do błyskawicznego przywarcia do ziemi. Wystrzelił dwa razy, ale już w momencie naciskania spustu wiedział, że jest źle ustawiony i

że nie ma mowy, by trafił pędzącą postać. Odczołgał się do tyłu, jak najdalej do koła, rozglądając się gorączkowo na wszystkie strony.

Obszar ograniczony kręgiem wozów zmienił się w jedno wielkie kłębowisko dymu i pyłu. Konie rzucały się desperacko w przeznaczoną dla nich zagrodzie i nie było żadnej wątpliwości, że wkrótce ją wyłamią. Tego, co działo się po przeciwnej stronie taboru, czterdzieści metrów dalej, nie sposób było dojrzeć.

Czując się nieswojo bez żadnej osłony, Garston przesunął się na miejsce chronione innym kołem. Zaczął się zastanawiać, czy optimeni mogli dobrze widzieć w tej dymnej szarówce i czy oczy łzawiły im równie wściekle jak zwyczajnym ludziom.

I wtedy nagle pojazd, pod którym leżał, zatrzęsł się gwałtownie i w tej samej sekundzie Garston domyślił się, że ktoś zeskoczył na jego tylny pomost. Musiał to być niesłychany skok, skoro przeniósł skoczka aż z dachu następnego wozu, bo w przerwie między pojazdami Garston nie dostrzegł żadnego ruchu. Ponownie odsunął się od koła, próbując na słuch ocenić, w której części wozu znajduje się napastnik i co zamierza robić, ale zapanowała zupełna cisza.

Czekał, gotów w każdej chwili rzucić się w bok lub strzelić.

I wtedy sąsiedni wóz, ten którego bronił Roch, wyleciał z hukiem w powietrze, rozniesiony na tysiące kawałków wybuchem granatu. Drzazgi drewna i płatki, plastiku poszybowały wysoko w górę, a pierwszej eksplozji zawtórowała natychmiast następna.

Odpowiedział im kwik przerażonych koni, które wyłamały ogrodzenie i w totalnej panice rzuciły się w kierunku przerw między wozami, tratując i miażdżąc wszystko, co stało im na drodze. Wóz Garstona zakolysał się gwałtownie od impetu ich ucieczki, a sam sierżant potoczył się kilka kroków w bok, odrzucony potężnym przechyłem koła i zasypywany ziemią pryskającą spod kopyt rozszalałych zwierząt.

Kilka sekund później nastąpiła trzecia eksplozja, niszcząc pojazd stojący nieco dalej, a wraz z nim skład amunicji - powietrze wypełniły detonacje rozrywających się w górze pocisków. Garston wiedział, że natychmiast musi to powstrzymać. Przeturlał się na plecy i omiótł wściekłym spojrzeniem drewniane podwozie swego pojazdu. Bez namysłu zaczął przez nie strzelać, naciskając spust z całej siły, tak że posłał do wnętrza cały magazynek pocisków.

Jakiś rykoszet targnął jego ramieniem, a odłupany z podłogi kawałek drewna uderzył go w zęby, przebijając się gładko przez policzek, ale seria kul wykonała swoje zadanie. Żadna z nich nie dosięgła optimena, ale trzy trafiły w skrzynię granatów do mózdzierza, stojącą w pogotowiu na podłodze wozu.

Cała skrzynia eksplodowała z ogłuszającym hukiem, a ognista kula pochłonęła w tym samym wściekłym ułamku sekundy i Optimena i Garstona.

Remy przykucnął pod mechanizmem strzelniczym działa laserowego, opierając się plecami o osłonę stosu energetycznego. Po chwili zmienił nieco pozycję, opuścił lewe kolano na ziemię, a prawym podparł pewniej swój karabin. Wóz po jego prawej stronie stał w płomieniach, choć w jaki sposób ogień dostał się do niego, pozostawało zagadką - pewnie zajął się od kawałków drewna wyrzuconych w powietrze siłą kilku następujących po sobie eksplozji, z których ostatnia niemal zupełnie pozbawiła Remy'ego słuchu. Otoczony wirującymi kłębamii dymu, niemal całkowicie ograniczającymi zdolność widzenia, z maską przesłaniającą mu nos i usta czuł się tak, jakby nagle pozbawiono go prawie wszystkich zmysłów. Podstawowego znaczenia nabrał nagle zmysł dotyku, wiernie przekazujący mu ocieranie się ubrania o ciało, opieranie pleców o osłonę lasera i mocny zacisk palców na kolbie i spuście karabinu.

Gnana wiatrem rzeka szarego dymu przepływała obok niego i wlewała się szerokim strumieniem w krąg pojazdów. Remy ustawił się twarzą do wozów; nie miał żadnych wątpliwości, że Optimeni musieli być już gdzieś na terenie obozu. Postanowił jednak czekać wiedząc, że ktokolwiek przyjdzie po niego z tej szarej kipieli, będzie miał przeciwko sobie dym i wiatr.

Gdzieś dalej w prawo rozległa się seria z broni automatycznej, pierwszy nowy dźwięk od czasu ostatniego wybuchu. Odruchowo przesunął muszkę karabinu w tym kierunku. Chciał krzyknąć, spytać kto żyje, a kto zginął, ale przecież nie mógł tego zrobić. Seria ucichła i zapadła martwa cisza zakłócana tylko sykami i trzaskami płomieni. Już po chwili jego uszy przestały jednak rejestrować ten dźwięk tła, nastawione wyłącznie na pochwylenie najdrobniejszego świadectwa jakiegokolwiek ruchu. Zesztywniał znowu, kiedy z oddali dobiegło dziwnie brzmiące dudnienie, lecz już w następnej chwili odetchnął nieco swobodniej - był to tylko odległy grzmot.

Wtem z przerażającą ostrością usłyszał za plecami delikatne stuknięcie.

Zerwał się błyskawicznie na równe nogi, odwracając się jednocześnie w kierunku nowego dźwięku.

To był błąd. Nagle cała wieżyczka lasera zaczęła błyskawicznie obracać się wokół własnej osi, skrzypiąc przeraźliwie i kolistym ruchem niosąc na niego przysadzistą lufę. Spróbował uskoczyć do tyłu, ale okazał się zbyt wolny. W momencie, w którym próbował jeszcze ostatnim wysiłkiem uchylić się, lufa uderzyła go w łokieć i choć ześliznęła się po nim,

uderzenie sparaliżowało mu rękę od ramienia po czubki palców. Usiłował nie wypuścić karabinu i wycelować go samą tylko lewą ręką, ale znów okazał się zbyt powolny. W ślad za lufą lasera z mgły wyłonił się optimen z zębami wyszczerzonymi w szyderczym półuśmiechu i z karabinem gotującym się do uderzenia.

Czubek karabinu mierzył w gardło Remy'ego, ale ten już się uchylał i zdołał przyjąć cios na pierś, miejscem gdzie mostek łączył się z obojczykiem. W następnej jednak chwili optimen obracał broń o sto osiemdziesiąt stopni, szykując się do zmiżdżenia głowy Remy'ego kolbą. Zataczając się z bólu Remy pojął, że nie ma żadnej szansy, by uniknąć tego ciosu.

I wtedy z kipieli dymu wyprysnęła jakaś postać i w pełnym pędzie rzuciła się na optimena, uderzając w niego jak taran. Optimen zachwiał się ciężko, stracił równowagę i kolba jego karabinu zaledwie otarła się o skroń Remy'ego, obalając go na ziemię, lecz nie pozbawiając przytomności. Pozostało mu tyle siły, by odczołgać się niezdarnie w bok, gdy tymczasem obie postacie, których prawie nie widział spoza zalewających mu oczy łez, padły w morderczym uścisku na ziemię. Impet uderzenia, który dał atakującemu początkową przewagę, wyczerpał się już i szansę w walce stały się wyrównane - jeżeli szansę w jakiegokolwiek walce człowieka z optimenem można za takie uważać. Każdy z walczących próbował zdobyć w tych zapasach jakąś przewagę, ale ich wysiłki zdawały się być równie nieskuteczne, co wskazywało na duże podobieństwo masy ich ciał. Remy domyślił się więc, że jego wybawcą musiał być Myszka.

Myszka był jednym z największych i najsilniejszych ludzi, jakich mógł stworzyć przypadkowy dobór genów ludzkich i pod tym względem w niczym nie ustępował swemu przeciwnikowi. Gdy jednak oderwali się na chwilę od siebie i korzystając z tego obaj zerwali się na równe nogi, Remy przypomniał sobie, że Andros i jego klonowi bracia byli nie tylko wysocy i potężnie zbudowani. Byli zaplanowanymi i to nie tylko genetycznie, lecz także przez odpowiedni trening do maksimum rozbudowujący wszystkie ich potencjalne możliwości. Zobaczył jak jedna z postaci majaczących w falach napływającego dymu odskakuje w tył, przybierając błyskawicznie postawę zapaśniczą. Wiedział, że musi to być optimen i był całkowicie pewien, że teraz, kiedy przepadł już zupełnie cały element zaskoczenia, przepadł także i Myszka. Spróbował jeszcze raz wycelować swój karabin, zapierając go kolbą o ziemię i niezdarnie kierując lufę w stronę optimena, ale ten dostrzegł jego nieporadne manipulacje. Wymykając się dążącym do zwarcia ramionom Myszkę, jednym susem dopadł Remy'ego i potężnym kopnięciem wytrącił mu broń z jedynej sprawnej ręki.

Remy zaczął się czołgać za swym karabinem.

Myszka pochylił się gwałtownie do przodu i dał głębokiego nura w nadziei otoczenia optimena w pasie unieruchamiającym chwytem, ale jeszcze nim zdążył wyciągnąć rękę, Andros rąbnął go w kark krawędziami dłoni z całą siłą dwóch śmiertelnych siekier. Myszka zachwiał się pod tymi ciosami, a ramiona opadły mu ku ziemi, chybiając celu. Optimen potężnym ciosem kolana w szczękę odrzucił go do tyłu. W pierwszym odruchu Myszka chwycił się za twarz, po czym zatrzepotał rozpaczliwie ramionami, próbując utrzymać równowagę, lecz niemal natychmiast runął na plecy. Z rękami uniesionymi w górnym niczym dwa wojenne topory, optimen rzucił się, by go zabić.

Pierwsza kula trafiła go prosto w pierś, osadzając w miejscu. Spojrzał z niedowierzaniem ponad powalonym na ziemię Myszką na delikatną postać dziewczyny i jej kruche dłonie wyciągnięte sztywno w jego kierunku - prawą zaciśniętą kurczowo na kolbie rewolweru i lewą podtrzymującą nadgarstek prawej. Widząc jego spojrzenie, dziewczyna strzeliła jeszcze raz i znów kula trafiła go w pierś. Pod uderzeniem pocisku potężne ciało obróciło się lekko, jakby po to, by wchłonąć impet kuli, optimen nie upadł jednak, a nawet zdołał zrobić następny krok w kierunku dziewczyny.

Myszka próbował podnieść się z ziemi, powoli i niezdarnie, lecz jeden dziki, brutalny cios lewej ręki optimena odrzucił go na bok.

Valla jeszcze raz nacisnęła spust. Tym razem kula przeszła przez prawą gałkę oczną i utkwiała w mózgu. Optimen runął na ziemię jak ścięte drzewo.

Remy podniósł się powoli i rozcierając zraniony łokieć, podszedł do Myszki. Olbrzym był zupełnie oszołomiony, powietrze chwycił z widocznym trudem, ale kości miał chyba całe. Przy pomocy Remy'ego udało mu się jakoś wstać. Zataczając się podeszli razem do Valli przyglądającej się w milczeniu martwemu mężczyźnie.

- Który to? - spytał ochryłym głosem Myszka.

- A skąd, u diabła, miałbym wiedzieć? - odparł Remy. - Dla mnie oni wszyscy są dokładnie tacy sami.

Myszka kopnął zwłoki w geście pogardy i szyderstwa. Splunął na ziemię i powiedział: - Pieprzony bękart!

- O, tak! - odparł Remy, próbując ściągnąć z twarzy maskę, by móc się swobodnie roześmiać. - Czym jak czy, ale tym był na pewno!

Światło dzienne wlewające się przez wyrwę w metalowych wrotach było mętne i szare, przez cienie zalegające wewnątrz bazy nie przebijały się żadne odległe promienie słońca. Świat na zewnątrz stał się brudny i ponury. Słyszał odgłos padającego deszczu i zagłuszającego go od czasu do czasu dudnienia grzmotu. Przypuszczał, że nadciągnęła burza, choć nie mógł być tego pewien - do tej pory nie dostrzegł jeszcze ani jednej błyskawicy.

Pozwolił swym myślom błąkać się bez celu, pogrążając się w zawikłanym labiryncie dziennych marzeń i dryfując na mieliznach fantazji. Kiedy światło latarki rozjaśniło nagle otaczający go mrok, przestraszył się, a adrenalina zmusiła go do przewyciężenia pełnej bierności. Poderwał się gwałtownie na nogi, po czym zawahał się, nie mając najmniejszej ochoty podchodzić do metalowej siatki stanowiącej przednią ścianę jego więzienia.

Usłyszał suchy śmiech.

- Pan Delizia! - Głos nie próbował nawet ukryć pełnego zaskoczenia. - Nie spodziewałem się już nigdy pana zobaczyć. Powinienem był się domyślić, że panu nie wyrządzili krzywdy.

- Remy? - spytał Delizia cicho. Znał ten głos wystarczająco dobrze, lecz z trudem mógł uwierzyć, że go słyszy.

- We własnej osobie - potwierdził Remy i na dowód poświecił sobie latarką na twarz. Potem w ten sam sposób pokazał Myszkę i stojących za jego plecami Valle i Iasusa Fiemme. - Jesteśmy jedynymi, którzy pozostali - dodał. - Reszta nie żyje, poza Justyną Magna i dwoma rannymi żołnierzami, których odesłałem ostatniej nocy na pustynię pod opieką trzech moich chłopców. Pan jest jedenastą osobą, która przeżyła. To niezły wynik, mieliśmy szczęście.

- Szczęście? - spytał cicho Delizia.

- Jasne - odparł Remy. - Er'kresha musieli stracić ponad trzystu wojowników, veichowie, poza Valla, zginęli wszyscy, a i bracia Androsowie są skończeni, chyba że zanim wieści o tym, co się tutaj stało, dotrą do Dowództwa Haidry, kilku z nich zdoła zniknąć. Prawdę mówiąc, byliby z nich wspaniali dezterterzy.

Valla włączyła potężną lampę elektryczną, zalewając wszystko dokoła powodzią światła. Remy sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz zauważył, że Delizia jest uwięziony. Oczy powędrowały mu do zamka zabezpieczającego wejście do nawy załadowczej, a na twarzy pojawił się cień uśmiechu. Na razie zignorował jednak Delizię i zwrócił się do dziewczyny.

- Ciała są gdzieś tam - powiedział wskazując palcem. - Odciągnęli je na bok w wielkim pośpiechu. Nawet w tej temperaturze znajdziesz je bez trudu na wędch.

Delizia obserwował jak dziewczyna odchodzi w głąb ogromnej hali, zabierając ze sobą światło. Myszka miał jednak w zapasie jeszcze jedną lampę i teraz właśnie ją włączył. Remy zgasił swoją latarkę.

- Jakie ciała? - spytał Delizia. - Scapaccia położyli tam. - Wskazał ręką w zupełnie innym kierunku.

- Scapaccio nie ma przy sobie tego, co jest mi potrzebne - odparł Remy sucho.

- No to jakie ciała?

- Zemaka i tych veichów, którzy wysadzili w powietrze bramę. Optimeni czekali na nich wewnątrz. Musieli znaleźć jakieś łatwiejsze wejście, kiedy Andros po raz pierwszy dał im znać, gdzie szukać. Kiedy veichowie weszli do środka, bracia zrobili z nich sieczkę. Po czym po prostu odciągnęli ciała na bok, nie zadając sobie trudu, by je przeszukać.

Valla ponownie stanęła obok nich. W jednej ręce w dalszym ciągu trzymała lampę, a w drugiej ścisnęła dwa przedmioty - jeden mały i jeden dość duży.

- Jest nienaruszony - powiedziała. - Nie pofatygowali się, żeby go zniszczyć.

Większy przedmiot był kwadratowy o bokach mniej więcej trzydziestu centymetrów i grubości około czterech poza tymi miejscami, gdzie się nieco wybrzuszał. Delizia nie widział go dokładnie. Mniejszy przedmiot był cylindryczny, miał około pięciu centymetrów długości i pokrywała go skomplikowana sieć rowków. Sprawiał wrażenie sprasowanej, wykrzywionej śruby. Valla położyła większy przedmiot na ziemi, a mniejszy rzuciła Remy'emu.

- Co to jest? - spytał Delizia.

- Zemek nosił to w pakunku przymocowanym do pleców - powiedział Remy. - To urządzenie sygnalizacyjne. Na jednym z zewnętrznych satelitów znajduje się stacja przekaźnikowa, ciągle jeszcze sprawna. Ma zasięg hyperprzestrzenny.

Valla spojrzała na niego sponad większego przedmiotu. - Chyba wiem, co trzeba zrobić - powiedziała.

- Świetnie - odparł Remy. - Bierz się do roboty.

- Co pan najlepszego robi? - spytał Delizia udręczonym szeptem.

- Nie robię zupełnie nic - odparł Remy.

- Pozwala jej pan wysłać sygnał do veichow!

- Ona jest niezależną agentką - odparł Remy chłodno. - Nie mnie się do tego mieszać.

- Garston... - zaczął Delizia, lecz umilkł, nawet jeszcze zanim Remy mu przerwał.

- Garston nie żyje.

Delizia spojrział ponad jego ramieniem na Myszkę, a potem na siocona. Valla wyniosła urządzenie sygnalizacyjne przez wyrwę na bramie i zniknęła w deszczu. Wyglądało na to, że nikogo to specjalnie nie obchodzi.

- Dlaczego pan to zrobił?! - spytał Delizia.

- Wojna wraca na Haidrę - odparł bez ogródek. - Ani pan, ani ja, ani nikt inny nie może temu przeszkodzić. Prawdziwa wojna. Teraz, kiedy już to wiem, dostrzegam także jej nieuchronność. Ze wszystkich sił próbowałem wierzyć, że potrafię przed nią uciec. Tak jak Yerema, jak Valla, jak wielu z moich chłopców. Przypuszczam jednak, że w głębi duszy wszyscy wiedzieliśmy, że żyjemy czasem pożyczonym. Yerema musiał przewidzieć bieg wydarzeń jeszcze wtedy, kiedy byliśmy w Ziaracie. Aleja nigdy nie miałem szansy dowiedzieć się, co w tej sytuacji zamierzał zrobić. Nie potrafię odtworzyć planów, które być może zrobił i nie miałyby to większego sensu, bo czynnikiem, który całkowicie zmienił całą sytuację, jest właśnie jego śmierć. Ona zmieniła wszystko dla mnie, zmieniła wszystko dla Valli i to tak, jak nic innego nie mogłoby tego zrobić. Nie wiem, jak postąpiłby Yerema, gdyby dowiedział się, czym jest to miejsce, ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Teraz sami musimy decydować za siebie i zdecydowaliśmy.

- Wiem, że cokolwiek bym zrobił, niebawem nie będzie miało żadnego znaczenia. Wojna potoczy się swoją koleją i ani pan, ani ja nie możemy jej w tym przeszkodzić. Przypuszczam, że nieistotne jest nawet to kto zwyciężył w wyścigu o posiadanie tej bazy. Nawet gdyby to optimeni poznali jej tajemnicę, nie miałyby to najmniejszego wpływu na losy wojny. Widzi pan, zaczynam przychyłać się do pańskiej teorii. Wszystko to jest zapisane w naszych genach, nie robimy nic poza odgrywaniem roli wyznaczonej nam przez gwiazdnych siewców, może. Nie jestem pewien, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. To, co Valla robi teraz, poprawi ogromnie jej samopoczucie, a i ja czuję się dzięki temu dużo lepiej. Dotarcie do wybrzeża zajmie Justinie Magnie i żołnierzynom pewnie z dziesięć dni; dotarcie do Omeru znacznie więcej. A sygnał dotrze do miejsca swego przeznaczenia w kilka godzin. Statki veichów pojawią się tutaj za jakieś dwa tygodnie. Będą musiały przerzucić ogromne ilości masy i przebić się przez kordony Ziemi, ale rozbiją to miejsce w atomową mgiełkę, jeszcze zanim Dowództwo Haidry połapie się, o co tu, do cholery, idzie. To jest mój wkład w wysiłek wojenny lub też antywojenny, w zależności od tego, z której strony na to popatrzeć. Sam wysadziłbym to wszystko w powietrze, gdybym tylko miał odpowiednią ilość ładunków wybuchowych.

Kiedy skończył mówić, popatrzył Delizii prosto w oczy.

- Nie możecie tego zrobić - szepnął Delizia.

- Już to nawet zrobiliśmy - odparł Remy.

- Ta baza powiedziała nam o mapirenach więcej niż wszystkie pozostałe miejsca wykopalisk w całej Galaktyce razem wzięte!

- Wiem - powiedział Remy. - Cóż to za zaniedbanie ze strony gwiazdnych siewców zostawić ją taką nietkniętą, kiedy przed rozpoczęciem nowej partyjki dokładnie wyczyścili całą szachownicę.

- Nie wierzę w to - oświadczył porywczo Delizia.

- W co pan znowu nie wierzy?

- Że wojna jest zaprogramowana, że jesteśmy skazani na jej prowadzenie, że jest to jakaś kolosalna gra demiurgów, prowadzona wyłącznie dla ich boskiej rozrywki. Nie wierzę w to! Wierzę, że w swym założeniu mieliśmy być czymś zupełnie innym i że tylko gdzieś, jakoś... zablądziliśmy.

- Tajemnica siewców... - mruknął Remy ironicznie.

- Pan przecież też zginie - odezwał się po chwili Delizia, znowu zniżając głos do ledwie słyszalnego szeptu. - Kiedy wojna wróci, kiedy zaczną bombardować Azreon, nie zdoła pan uciec.

Remy uniósł prawą dłoń, w której ciągle jeszcze trzymał mały, cylindryczny przedmiot przyniesiony przez Valle razem z urządzeniem sygnalizacyjnym.

- Gdzieś pośród wzgórz, w okolicy Ziaratu - powiedział - znajduje się niewielki pojazd międzygwiazdny.

Zwykła łupina, coś, co może umknąć uwagi blokady satelitów komunikacyjno-szpiegowskich, ale jednak statek. To jest klucz do służby powietrznej. Zanim veichowie zaczną bombardowanie, będę już w przestrzeni.

- Gdzie ma pan zamiar polecieć?

Remy wzruszył ramionami. - Gdziekolwiek - powiedział.

- Pan nie ma nawet osobistych planów.

- Mam pewien plan, przeżyć.

- A co ze mną?

Remy obejrzał się za siebie. - Czy uważasz, że udałoby się znaleźć jakiś łom, żeby wyłamać ten zamek? - powiedział do Myszki.

Olbrzym skinął głową i chwyciwszy rzuconą mu przez Remy'ego latarkę, wyszedł na zewnątrz.

- Udało nam się uratować tylko trzy wozy - powiedział Remy. - Ale w którymś z nich powinno być jakieś odpowiednie narzędzie. Jeżeli już zupełnie nic się nie znajdzie, po prostu odstrzelimy ten zamek.

- I co potem?

Remy roześmiał się. - To już zależy od pana. Może pan dostać konia albo wóz. Mógłby pan popędzić ostro i dogonić Justinę lub udać się w dowolnym innym kierunku. Jeżeli pan chce, może pan zostać tutaj. Miałby pan pewnie z dziesięć dni na wyciągnięcie z tej bazy wszystkiego, co da się przenieść, a potem pozostałoby panu już tylko ruszyć na pustynię i przelawiarować jakoś między bombami veichów. Odnoszę wrażenie, że tak właśnie robi Iasus. On nie jest typem międzygwiazdowego włóczęgi, a jego świat jest tutaj. Jemu także obiecałem jeden wóz. Moglibyście zawiązać spółkę.

Spojrzeni obaj na Iasusa Fiemme, ale siocon zachował swój zwykły nieprzenikniony wyraz twarzy. Stał w milczeniu i czekał.

- W ciągu dziesięciu dni mógłbym dowiedzieć się bardzo wielu rzeczy - powiedział Delizia. - Może mógłbym nawet odkryć to, czego tak bardzo chcieli dowiedzieć się Andros i jego bracia. Czy to nie przekreśliłoby pańskiego wielkiego gestu?

- Proszę spróbować - powiedział Remy. - Baza należy do pana. Czego pan się po mnie spodziewa? Że pana zabiję?

- Przypuszczam, że nie zawahałby się pan ani chwili, gdyby to w jakikolwiek sposób mogło dopomóc w realizacji pańskiego celu.

- Nie mam aż tak wielkich celów - odparł Remy. - Nigdy nie miałem. Na pewien czas pożyczyłem sobie cel Yeremy, ale teraz jest już po wszystkim. Koniec.

- Nie rozumiem - powiedział Delizia.

- Ani ja - odparł Remy. - Wariactwo, prawda? Z każdego punktu widzenia zachowuję się zupełnie bez sensu. Po prostu gdzieś po drodze coś mi się musiało popsuć. Myśli pan, że to moje geny, czy też może wychowanie?

Nieco później Delizia wspiął się po raz pierwszy po skręconych schodach i rozpoczął swą długo odraczaną wyprawę badawczą. Towarzyszył mu Iasus - Fiemme. Remy z Valla i Myszka wyruszyli już na pustynię, która stroiła się na ich przejazd w jesienną, kwiecistą szatę.

Nie wiedział dokładnie co będzie robił, ale nie miał zamiaru opuszczać bazy natychmiast. Zza daleka do niej przyjechał. Chciał - musiał - przeżyć kilka dni swego życia tak jak żyli mapirenowie.

Co najdziwniejsze, nie czuł żadnej presji, by podejmować jakiegokolwiek decyzje szybko. Na razie cieszył się odzyskaniem wolności i tym, że po raz pierwszy od wielu dni nie czuł strachu.

Pokonanie strachu, podpowiedziała mu pamięć, kiedy wspinał się po dojmująco zimnych schodach, jest najważniejszym pojedynczym krokiem na drodze ewolucji ludzkości. Ale wiedział, że strach powróci.